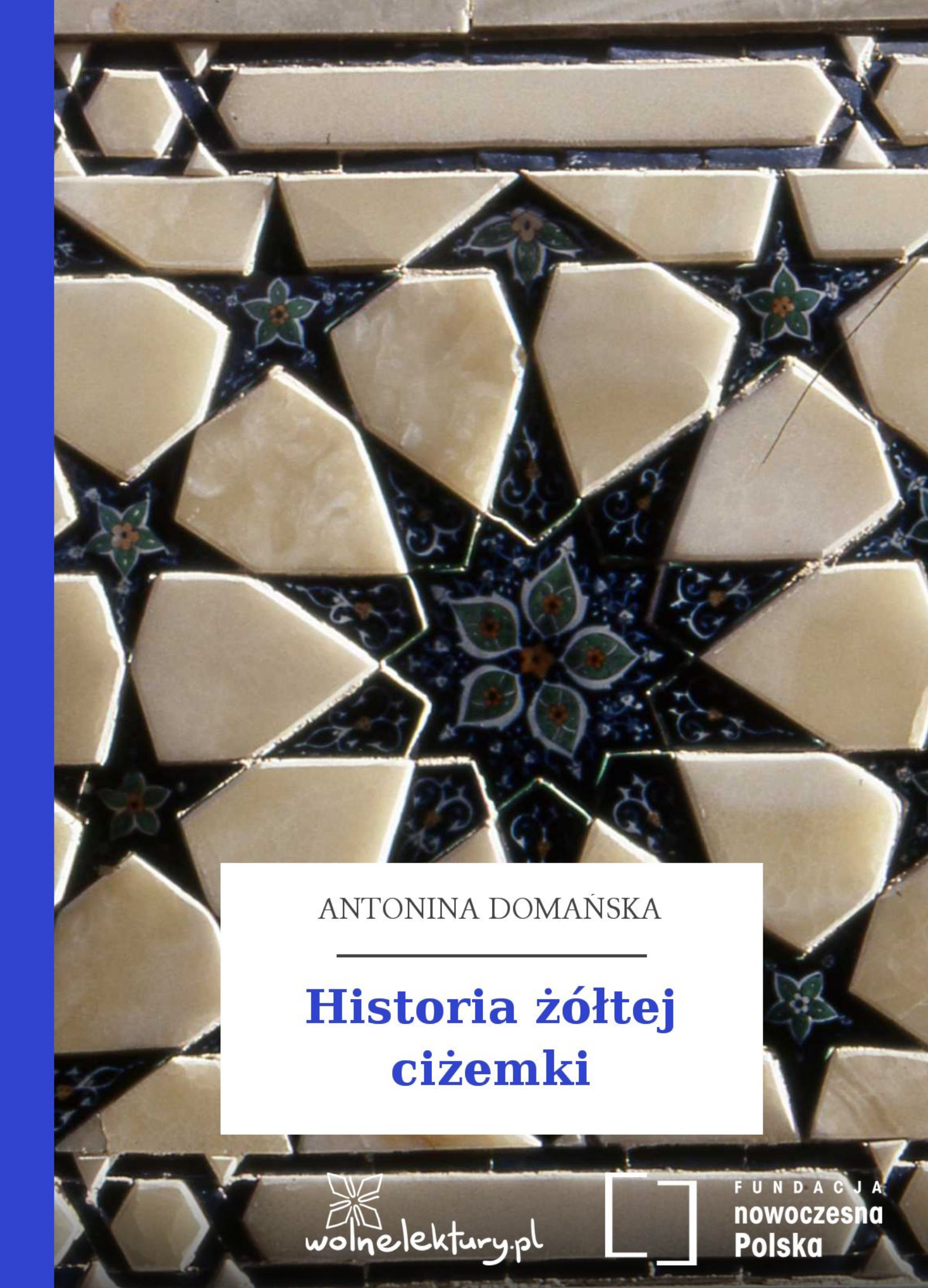




ANTONINA DOMAŃSKA

Historia żółtej cizemki

ANTONINA DOMAŃSKA

Historia żółtej ciżemki

1489–1867

Cenny klejnot starego Krakowa, chluba Polski, arcydzieło mistrza Wita Stwosza¹ i pomnik jego chwały — wielki ołtarz w kościele Panny Marii, fundowany przez bogate mieszczaństwo krakowskie w r. 1489, chylił się ku upadkowi.

Blisko cztery wieki rzeźba ta przewspaniała zajmowała najcenniejsze miejsce w świątyni, blisko cztery wieki opierała się niszczącemu wpływowi czasu, wreszcie uległa.

Oto co powiada sprawozdanie dozoru kościoła Panny Marii z r. 1867:

„...od chwili gdy się przekonano o groźnym stanie ołtarza, zajęto się bezzwłocznie szukaniem środków uratowania go dobrze obmyśloną restauracją. Imiona Piotra Michałowskiego² i Karola Kremera³ wiążą się z tą myślą. Oni pierwsi badali stan i przedstawiali środki. A choć nie doczekali szczęśliwej chwili rozpoczęcia pracy, za pobudzanie i nawoływanie do niej cześć ich pamięci!”

Komitet restauracji wielkiego ołtarza składał się, prócz stałych członków dozoru kościelnego, z następujących mężów: prof. Czyrniański, pr. Dunajewski, W. Eliaz, P. Filippi, ks. Grzybowski, prof. Kuczyński, prof. J. Kremer, H. Kieszkowski, M. Kukalski, J. ks. Lubomirski, prof. Łepkowski, P. Popiel, F. Paszkowski, F. Pokutyński, E. Stehlik, H. Seredyński, ks. Wilczek.

Przytaczam dalej słowa sprawozdania:

„...przystąpiono do zupełnego rozebrania ołtarza, do wyjęcia wszelkich rzeźb i ornamentyki, kawałek za kawałkiem. Wtedy to ruszyła się przez wieki nagromadzona ilość kurzu, znalazły się ważne odłamki, znalazł się osnuty pajęczyną trzewik średniowiecznego robotnika, zgubiony przed 400 laty...”

Wielki ołtarz, odnowiony i zabezpieczony gruntownie przed zniszczeniem na dalsze setki lat, służy znów Bożej chwale, zachwyca oczy i serca patrzących, głosi sławę nieśmiertelną mistrza Wita Stwosza.

Znaleziono za ołtarzem trzewik, żółtą ciżemkę... Skąd się tam wzięła? Do kogo mogła należeć? Czy był rzemieślnikiem człowiek, co używał safianowego obuwia? Czy umyślnie rzucił trzewik za ołtarz? Ale dlaczego? Czy dorosły mężczyzna mógł mieć taką małą stopę? A może to był chłopiec? Może to było dziecko?

Odkąd przeczytałam zagadkowy ustęp sprawozdania i oglądałam żółtą ciżemkę, niepokoiły mię⁴ te myśli, szukałam na nie odpowiedzi...

¹Wit Stwosz (ok. 1448–1533) — niemiecki rzeźbiarz, grafik i malarz, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli późnego gotyku w rzeźbie. Mieszkał i pracował w Krakowie w latach ok. 1477–1496.

²Michałowski, Piotr (1800–1855) — malarz, organizator życia społecznego i gospodarczego, uczestnik powstania listopadowego.

³Kremer, Karol (1812–1860) — architekt krakowski.

⁴mię — dziś popr.: mnie.

„Już nigdy nie będę!” — Co przeżył i kogo znał organista Walanty. — Dokąd można zajechać na drewnianej jaszczurce. — Zabłąkany w puszczy. — Pieśń wieczorna wilka.

— O mój tatusiu, mój złocisty... nie bijcie! Jeszcze mi ten ostatni raz darujcie! Już⁵ nigdy, a nigdy, a nigdy nie będę!

— Co dzień obiecujesz, co dzień bicie bierzesz, końca temu nie ma! — krzyknął z gniewem ojciec, trzymając chłopca za kołnierz u koszuli, a oglądając się za rzemykiem.

— Ady⁶ mu przecie wybaczyć, kiej⁷ tak święcie przyrzeka — wstawiła się matka, odsuwając garnek z jagłami⁸ od ognia. — Takiś zawzięty na ono⁹ dziecko, a Bogiem i prawdą nie ma o co. Mały jest, to się i bawi; cóż ci wadzi, że se ta kozikiem w deszczuleczce dłubie? Sprzykrzy mu się, rzuci, ano za tydzień będzie nowa zabawka.

— A ile razy do kości palce pozacinał i nie rzucił noża? Skórę prać rzetelnie, to może usłucha. Gdzie postronek¹⁰?

— Puść go! Mówię ci po dobroci; obiadować¹¹ pora. Wawrzuś, przysuń tatusiowi ławę.

— Zawdy¹² musi być babskie na wierzchu — mruknął Wojciech.

Usiedli wszyscy troje za stołem i jedli w milczeniu. Pokrzepiwszy się, gospodarz zwrócił się znowu do synka i mówił już spokojnie:

— Pamiętajże se, coś sam powiedział: „ostatni raz”. Chłoposko¹³ dziewięci¹⁴ lat sięga, a bydłatku nie da rady. Wygoń wszystkie trzy na pastwisko, a dawaj pozór¹⁵, coby¹⁶ ci znów która nie uciekła. Mam co lepszego do roboty, jak za krowami po boru biegać. No, idź.

Wawrzek wyskoczył z chałupy uszczęśliwiony, że dzięki matusi ominęła go kara, i pełen jak najlepszych postanowień, pomaszerował z krowami na łąkę. Wojciechowa pomyślała statki¹⁷ i zasiadła przed warsztatem tkackim, z którego już spory kawał szarego płótna aż do ziemi zwisał. Największą jej dumą było, że jak Poręba Porębą, żadna gospodyni tyle lnu nie siała, tyle nici nie przędła, tyle płótna nie tkęła, co ona. Wzięła się więc ochoczo do roboty, ino¹⁸ raz na jakiś czas pociągając sznurek od podłużnego kosza, zawieszonego na hakach u powały. W tym koszu spało jej najmłodsze dziecko, trzymiesięczna Kondusia. Siedmioletnia Marysia uciekała raz wraz do „babusi”, a rodzice nie bardzo jej tego bronili, bo matka Wojciecha, zgrzybiała staruszka, potrzebowała i posługi, i rozweselenia, a Marysię okrutnie lubiła.

Wojciech nasadził na głowę białą sukienną czapę, poprawił rzemyki u postolów¹⁹, przystanął chwilę we drzwiach, jakby się namyślając, wreszcie zawrócił w prawo i poszedł ku wsi.

— Juści²⁰ tak najlepiej — mówił do siebie półgłosem — do samego proboszcza nie pójde, gdziebym ta śmiał zaprzętać głowę jego wielbności tym nicponiem. Walantego się poradzę albo i Pietra. Organista, kościelny, uczone osoby, na każdej książce znają czytać, prędzej umiarkują niż ja, co by za leki skuteczne były na Wawrzkową chorobę. Ale gdzie onych szukać? Walantowa herod-baba, stary ucieka z domu, kiej ino może; pewnikiem zemknął do Pietra i miód se oba pociągają.

⁵jeszcze... już (gw.) — jeszcze, już; w wielu gwarach polskich występuje zjawisko mazurzenia, tj. wymowy głosek „cz”, „ż”, „sz”, „dż” jako „c”, „z”, „s”, „dz” (mazurzeniu nie podlega „rz”).

⁶ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ale.

⁷kiej (gw.) — kiedy, skoro.

⁸jagły — kasza.

⁹on, onego (daw.) — ten, tego a. on, jego; tu B. lp r.n. ono: to.

¹⁰postronek — sznur.

¹¹obiadować (daw.) — jeść obiad.

¹²zawdy (daw.) — zawsze.

¹³chłoposko (gw.) — chłopisko, chłopaczysko.

¹⁴dziewięci — dziś popr.: dziewięciu.

¹⁵dawać pozór — zwracać uwagę, pilnować.

¹⁶coby (gw.) — żeby.

¹⁷statki — tu: naczyńia.

¹⁸ino (gw.) — tylko.

¹⁹postoty — obuwie z łyka (łapcie) a. ze skóry zwierzęcej (skórznie).

²⁰juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

Słusznie się Wojciech domyślał: organista i kościelny siedzieli w sadzie na darniowej ławie pod rozłożystą jabłonią, kamionka²¹ z miodem i cynowe kubki przed nimi.

— Niech będzie pochwalony... witajcie, kumotrowie! — rzekł kmieć, podchodząc ku nim.

— Na wieki wieków — odparli razem, a gospodarz dodał: — Siadajcie wedle²² nas, Wojciechu; Jaguś... jeszcze jeden kubek! Jakże tam u was, wszystko zdrowe?

— Dziękować Panu Jezusowi, krzepimy się jako tako — odpowiedział gość i usiadł na zydłu przyniesionym przez córkę gospodarza.

Mówić o interesie zaraz po przywitaniu uważane jest na wsi za wielką nieprzyzwoitość i brak wychowania; tak samo pojmowano grzeczność i przed wiekami. Dlatego też Wojciech ani wspomniał, z czym przychodzi, owszem, przeprosił przyjaciół, że im przerwał rozmowę.

— A o czymże pogwarka? — spytał Piotra.

— Spominamy²³ se stare dzieje — odparł kościelny — raczej Walanty opowiada, a ja słucham. Człowiek to niemal na pamięć umie, a nigdy mu się nie znudzi, zwłaszcza od naocznego świadka słyszeć.

— O czymże takim?

— Sprawiedliwie gadają Piotr²⁴; rozmawialiśmy o bitwie pod Warną²⁵.

— O moiściewy²⁶... nie przerywajciez sobie; toć i ja strasznie bym rad usłyszał, jak to było. Na wsi ludzie niewiela²⁷ wiedzą o świecie, prawdę rzec, a nie zełgać, nawet nie ciekawi; a już co nasza Poręba, to prawie jak za murem. Puszcza niezmierzona od zachodu słońca i od północy, rzeka nas opływa w półkole, w ciężkiej robocie rok za rokiem przemija, człek się rodzi, żyje i umiera, nieświadomy niczego. Jeszcze łaska boska, jeżeli zna imię najmiłościwszego króla. Ach, gadajcie, gadajcie... serce mi z ciekawości młotami bije.

— Juści trudno, żebyście co z onego czasu zapamiętali — rzekł organista — ani was może na świecie jeszcze nie było.

— A ileż ta temu będzie? — spytał Wojciech.

— Czekajcie, zaraz wyrachujemy. Miłościwy król Władysław²⁸ dwadzieścia lat miał, gdy zginął w onej strasnej bitwie. Za wielką chlubę i cześć sobie poczytuję, że w jednych obaśmy leciech²⁹ byli: dlatego też łatwiej³⁰ mi to wyliczyć. Tedy dziś mamy... dziś mamy... rok pański... Pieter?

— Tysiąc czterechsetny siedemdziesiąty dziewiąty.

— Juści, prawiuteńko się zgadza, bo mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło³¹. Zatem, jak raz trzydzieści pięć lat temu będzie w dniu dziesiątym listopada.

— Prawdę gadacie, że mnie na świecie nie było, bo mi się skończy w żytnie żniwa trzydzieści cztery roki³². Ale co ta o mnie, powiadajciez od początku. Pietrowi ta wszystko jedność, kiej zna³³, jak było, a ja nie.

— A więc posłuchajcie: Jak się miłościwy pan gotował na oną wyprawę, wszystkie narody i wszyscy monarchowie radowali się, że mieczem polskiego króla moc turecka zostanie na proch zgnieciona. Węgierskie wojsko pod dowództwem, jakże mu to było...

Grzeczność, Obyczaje

Kondycja ludzka, Chłop,
Pamięć

²¹kamionka — gliniane naczynie.

²²wedle — obok, przy.

²³spominać (daw.) — wspominać.

²⁴Sprawiedliwie gadają Piotr (gw.) — Piotr mówi prawdę.

²⁵o bitwie pod Warną — Szczegóły historyczne o bitwie pod Warną wzięte z *Kroniki Bielskiego*. [przypis autorski]

²⁶moiściewy (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

²⁷niewiela (gw.) — niewiele.

²⁸Władysław III Warneńczyk (1424–1444) — syn Władysława Jagiełły, król Polski (1434–1444) i Węgier (1440–1444).

²⁹leciech (daw.) — dziś popr. forma Ms. lm: latach; w jednych leciech: w tym samym wieku.

³⁰łatwie (daw.) — łatwo.

³¹mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło (gw.) — skończyłem pięćdziesiąt sześć lat.

³²roki, roków (gw.) — lata, lat.

³³znać (gw.) — wiedzieć.

aha... Huniad³⁴, wojewoda siedmiogrodzki. Więc Węgrzy, Siedmiogrodzianie³⁵ i nasi, a nad wszystkimi hetmanem nasz młody król, Władysław. Ale się miłościwy pan gryzł niesłuchanie, że tak niewiele miał wojska: ino dwadzieścia tysięcy. A o Turkach gadano, że się ich zebrało tysięcy³⁶ sto, tedy pięć razy tyle, co naszych.

Walenty łknął miodu i prawil dalej:

— Mnie wzięto między ciury³⁷, do posług, alem się wyprosił u jednego starszego i pozwolił mi, jak przyjdzie do bitwy, iść z łucznikami.

— A umieliście się z kuszą obchodzić?

— Byli już tacy, co nauczyli — odparł organista — a nauczyli niezgorzej, bo w kilku potrzebach³⁸ człek posłał pohańców³⁹ do piekła diabłu na pociechę z pół kopy⁴⁰, jeśli nie więcej. Idzie tedy chmara ludu, wszystko zbrojne, wyćwiczone, a takie łakome krwi tureckiej, niczym wina. Po drodze zamki bez wiela kłopotu zdobywają nasi, gdzie niektóre ze strachu same się poddają, a my ino naprzód a naprzód. Trzeciego dnia października miesiąca przepawiliśmy się przez Dunaj. Aż tu przyjeżdża z cztery tysiące⁴¹ wojska Dragula, wojewoda wołoski⁴². Odradzał on strasznie naszemu miłościwemu panu tę turecką wyprawę; aż płakał pono. Wreszcie syna własnego z onymi czterema tysiącami przy królu zostawił, a sam do dom powrócił. Młodym wtedy był⁴³, niczego nie rozumiejący, ani mnie o to głowa nie bolała, kędy⁴⁴ nas wiodą, szedłem jak baran za inszymi, za łaskę to sobie mając, że mnie, chudzinę, biednego ciurę, choć czasem między żołnierstwo wetkną. Pod jednym zameczkiem tom się tak siepał, tak dokazował⁴⁵, aż mnie rotmistrz zauważył i w nagrodę przeznaczył do posług miłościwego pana.

— O Jezu... toście go mogli z bliska oglądać?

— No jakże? Ma się wiedzieć, że się temu cudnemu obliczu do syta napatrzył... Ilekroć wspomnę o tym wszystkim, to go jak żywego przed sobą widzę.

— O mój Walenty, powiadajcież, jaki był?

— Rosły był; gdy stał w polu z inszymi hetmany⁴⁶ w naradzie, to z daleka powiewały białe pióra na jego hełmie, pół głowy ponad tamtymi. Śniadego był ciała i czarnych włosów, twarzy pociągłej, a oczy... niczemu nie przyrównane — królewskie. Zanim usta przemówiły słowo, rozkazywały oczy. Gdy na cię spojrział, ogień i mróz cię przelatował⁴⁷. A w insze razy znowu, gdy te gwiazdy łaskawie ku tobie zwrócił, to jakby głos jakiś wołał wielki: na kolana! Ilem ja razy chciał przypaść do nóg umiłowanego króla i stopy jego całować... ino nie śmiał. Przed namiotem jak pies leżeć i snu pańskiego strzec, to był zaszczyt najpiękniejszy i niejedno mi tego szczęścia zazdrościł.

Zamilkł i przymknął oczy, szukając w duszy smutnych wspomnień wątku.

— Ano, tedy szliśmy a szli, niczym burza, co po drodze drzewa łamie i z korzeniami wyrzywa. Ażeśmy stanęli pod Warną⁴⁸.

— Twierdza jaka czy stolica królewska?

— Miasto niewielkie nad morzem... jakimś Czarnym. Dopierośmy się tam dowiedzieli, jakie niezliczone chmary pogaństwa zgromadził sułtan Amurat przeciw nam. Zaraz po wschodzie słońca zaczęto ustawiać chorągwie według rozporządzenia królewskiego. Ja

Uroda

Król, Sluga

Wzrok

³⁴Huniad — właśc. Jan Hunyady (1387–1456), magnat węgierski, wojewoda siedmiogrodzki, po śmierci Władysława Warneńczyka regent Węgier, sprawujący władzę w zastępstwie czteroletniego nowego króla.

³⁵Siedmiogrodzianie — dziś popr. forma M. Im: w Siedmiogrodzianie; Siedmiogród a. Transylwania — kraina w środkowej części dzisiejszej Rumunii, zasiedlona w średniowieczu przez osadników węgierskich i niemieckich. W XVI i XVII w. księstwo zależne od tureckiego Imperium Osmańskiego, potem przeszło pod władzę Austrii i Węgier. Z Siedmiogrodu pochodził król Polski Stefan Batory (1533–1586).

³⁶tysięców — dziś popr. forma D. Im: tysięcy.

³⁷ciura — sługa obozowy, dbający o ekwipunek, konie i jedzenie dla żołnierzy.

³⁸potrzeba (daw.) — bitwa.

³⁹pobaniec (daw., pogard.) — poganin; tu: muzułmanin, Turek a. Tatar.

⁴⁰kopa — 60.

⁴¹z cztery tysiące — dziś popr. forma: z czterema tysiącami.

⁴²wołoski — z Wołoszczyzny, krainy położonej w pld. części dzisiejszej Rumunii. Wołoszczyzna, rządzona przez hospodara, pozostawała zależna politycznie od Węgier i Turcji.

⁴³młodym wtedy był — byłem wtedy młody.

⁴⁴kędy — dokąd.

⁴⁵dokazował — dziś popr.: dokazywał.

⁴⁶z hetmany (daw.) — dziś popr. forma N. Im: z hetmanami.

⁴⁷przelatował — dziś popr.: przelatował.

⁴⁸Warna — miasto i port nad Morzem Czarnym na terenie Bułgarii.

stałem przed drzwiami namiotu, nasłuchując, kiedy w dłonie kłaśnie, co znaczyło, że posługi mu potrza⁴⁹... Na dany znak wszedłem, zatrzymałem się u proga i pokloniłem się do ziemi. „Podawaj zbroję” — rzekł mi krótko. Upiąłem na nim wszystko sprawnie (już bym dziś chyba nie zdołał⁵⁰, takie te sprzączki i haczyki misterne były); podaję hełm, wziął go ode mnie, aliści wyslizga mu się z rąk⁵¹, toczy się z brzękiem po ziemi. Ciary mnie przeszły, a król przeżegnał się trzy razy. Wychodzimy na pole, giermek podprowadza konia, a ten dęba staje, głową kręci, zadem rzuca, trzech go musiało trzymać, zanim dał wsiąść na siebie. Znowu mi coś serce ścisnęło jakby żelazną obręczą.

— I że też to miłościwy pan tych przestróg z nieba nie usłuchał.

— Taki był. Widno po dziadku Olgierdzie⁵² upór odziedziczył; tamten, powiadają ludzie, srodze był twardej woli. Myślicie, że na tym koniec? Wróżka Cyganka skądśi przedarła się do obozu i na świętości zaklinała króla, coby⁵³ w pole nie wyruszał. On zaś wytłumaczył to sobie, jako oną wieszczkę Turkowie posłali, by serce we wojsku⁵⁴ osłabić. Może mu ta nie bardzo wesoło na duszy było, ale się ino rozśmiał i babę precz napędzić kazał. Ruszają tedy z obozu, chorąży z proporcem królewskim na przedzie; wiatr się zrywa niemały. Skręcił chorągiew około drzewca, zaczęł ją rozwinąć z nagle i w trzy kawały poszarpał.

— Znak od Boga — westchnął kościelny.

— Rycerze najznamienitsi, którzy to widzieli, nuż błagać miłościwego pana, coby swej drogocennej osoby nie narażał, a życie dla dobra ojczyzny szanował. Zmarszczył brwi, gniewny srodze, i umilkli wszyscy. Rozpoczęła się wielka bitwa, okropna rzeź. Turcy ustawili swe wojska w półkole, na podobieństwo księżycy, bo ten od nich wielkiej czi doznawa⁵⁵. Pomnijcie, żem był w tłumie, w ścisku, i czasu potykania się z Turki⁵⁶ jednym ino pilnował, a to, coby moje strzały nie chybiały celu. Tego zgiełku, wrzasku, jęków, łomotu kopii uderzających o pancerze, tętentu i rżenia koni, tego zamieszania straszliwego, na które wspomnieć niepodobna, bo się w głowie zawraca i wszelkie myślenie ustaje, tego wam nie wypowiem, a choćbym nawet zdołał, gadać o tym nie chcę.

— A król miłościwy? — rzekł Wojciech i zająknął się.

— Królam ja ani widział wśród tego ludzkiego mrowiska. Gdy się tysiące na tysiące, niczym psi wściekli, rzucają, wtedy nie pyta nikt, gdzie mu stać wyznaczono, starszyzny już cale⁵⁷ nie słucha, upamiętanie traci, czerwone łuny latają mu przed oczyma; o własną skórę, o życie mu chodzi, nie o co inszego. Tak było i ze mną. Czterech czy pięci⁵⁸ ob-skoczyło mnie kosoockich Tatarzynów z krzywymi szablami. Boska opatrność sprawiła, żem się mógł plecyma⁵⁹ o jakiś wóz obozowy oprzeć; miecz umarłemu rycerzowi poprzódzi jeszcze z rąk wyrwałem i w strachu niezmiernym — bom śmierć niechybną nad sobą widział, jąłem rąbać na prawo i na lewo, i przed się, ciężki oręż oburącz ściskając. A takem walił na oślep, żem ino za każdym razem czuł, jako się miecz na czymś przez okamgnienie zatrzymuje... Aż tu nagle pociemniało mi w oczach, nogi drętwią, runąłem jak kłoda na one pogańskie cielska, którem zesił Panu Chrystusowi na chwałę, a sobie na duszne zbawienie.

— Jezusie, Maryjo... ranili was?

— W tym właśnie największe miłosierdzie okazało się nade mną, że ino ze znużenia i z głodu przytomność mię⁶⁰ na chwilę odbieżyła, bom niemal od wschodu słońca uczciwie pracowałem, a nie było czasu kęsa chleba przełknąć. Dziś, jak se wszystko do pamięci przywołuję, nic inszego w tym przydarzeniu nie widzę, ino cudowną opiekę mego świętego patrona. Bo żem ja, dwudziestoletni wyrostek, pierwszy raz w życiu miecz okrutny

Omen

Walka

Wierzenia

⁴⁹potrza (gw.) — potrzeba.

⁵⁰zdolić — zdołać, dać radę.

⁵¹podaję hełm... wyslizga mu się z rąk — Ten szczegół i wszystkie następne wzięte z *Kroniki Bielskiego*. [przypis autorski]

⁵²Olgierd (zm. 1377) — wielki książę litewski, ojciec Władysława Jagielly.

⁵³coby (gw.) — żeby.

⁵⁴we wojsku (gw.) — w wojsku.

⁵⁵doznawa — dziś popr.: doznaje.

⁵⁶z Turki (daw.) — dziś popr. forma N. Im: z Turkami.

⁵⁷cale (daw.) — wcale, zupełnie.

⁵⁸pięci — dziś popr.: pięciu.

⁵⁹plecyma (daw. forma liczby podwójnej) — plecami.

⁶⁰mię — dziś popr.: mnie.

do rąk chwyciwszy, pięci Tatarom dał rady, to chyba nie ziemską, ino niebieską moc sprawiła. A bez⁶¹ to, iżem leżał na kupie trupów krwią ociekający, to mnie już insze psułaty nie tykały i wypocząłem se godnie. — Tylem wam opowiedział, ile oczy widziały i czym się ręce trudniły. Co więcej, to potem dopiero zasłyszałem od ludzi. Ale właśnie to *insze* leży na sercu, niczym głaz na grobie.

— O mój Walanty, rzeknijcież aby dwa słowa.

— Co mam rzec? Chociaż rycerze błagali i zaklinali króla, aby zważał na swą świętą osobę, on nie pytał na przestrogi, ino się rwał do boju niczym w tany. Gdzie największa ciżba, gdzie ino buńczuk⁶² starszego agi⁶³ powiewał (po naszymu pułkownika), tam pan miłościwy sadził z koniem, drogę sobie trupami ścieląc. Turkowie pomiarkowali, co się święci, więc też który ino hełm o białych piórach zoczył i konia cisawego, gdy nie zdołał w bok umknąć, rzucał się twarzą do ziemi. A król Władysław, jakby się śmierci w służbę zaprzedał, krwawe żniwo czynił, sam jedną strzałą nie draśnięty. Żadne ufce⁶⁴ tureckie oprzeć mu się nie mogły, pierzchało wszystko w popłochu. Najwaleczniejsi spomiędzy wojska Amuratowego byli janczarowie⁶⁵, tych należało pobić i rozproszyć. Król wydał rozkaz rotom, by szły za nim, ale Huniad wojewoda za ręce go chytał, siłę nieprzyjaciela przed oczy mu stawiał, śmierć niezawodną przepowiadając. Zasię mu król odrzekł: „Wolej⁶⁶ zginąć, niż się cofać”. I skoczył naprzód, nie zważając, jako niemal sam ostał, bo Huniady precz uciekli ze swymi. Wpadł tedy król między one janczary, baszę⁶⁷ azjatyckiego, który tam się był skrył, usiekł i parł koniem w nieprzeliczoną gęszcz pohańców, pewny, że wojsko tuż za nim. Tymczasem janczarowie ochłonęli co nieco, a widząc, jak się król niebacznie zapędził, obokoczyli go dokoła, konia pod nim ubili, po czym rzucając się nań jak wilcy⁶⁸, ucięli mu głowę. Tę wsadzić kazał basza na wysokie drzewce i z tryumfem do namiotu sułtana ją zaniesiono. Garstka naszych, co była przy królu, zginęła walecznie, broniąc pana. Polegli dwaj bracia Tarnowscy, dwaj Zawiszowie i inne rycerze. Taki był koniec bitwy pod Warną.

— Oj, dziękuję wam też, dziękuję, mój Walanty; niech wam Pan Jezus dobrym zdrowiem zapłaci, żeście nieumiejącego oświecili. A jakże z wami potem było?

— Ano, ślubowałem świętemu patronowi za jego łaskę i cudowne od psich synów ocalenie, że Panu Bogu w duchownym stanie do śmierci już służył będę. Ale widno nie na księdza mnie Pan Jezus stworzył, bom się w Krakowie do szkoły parafialnej u Panny Maryi dostawszy, ino czytania i pisania dokumentnie nauczył. Zasię łacina szła jak z kamienia. Ani wymówić, ani wyrozumieć — jednym słowem nie dało się i tyła. Gryzło mnie sumienie bez przestanku i strach serce uciskał, że obietnicy świętemu Walentemu danej i ślubu nie dotrzymuję, za co na tamtym świecie jako wiarołomca wiecznie gorzeć będę. Aż nie mogąc wytrwać dłużej w takowej turbacji, zwierzyłem się jego miłości bakałarzowi. Ten się aż za głowę chcił, mniemając wraz ze mną, że bez nijakiego wątpienia Pan Jezus mnie grzesznika piekłem skarże. Ale na wielkie moje szczęście natchnął go stróż anioł dobrą myślą. „Idź no, Waluś — powiada — na przełaj przez rynek na Żydowską ulicę. Wiesz kędy?” — „Za matola mnie, wasza miłość, trzymacie — gadam — po śpiączku trafię; dyć⁶⁹ dziesięć miesięcy minęło, jakem tu zaszedł; do Krakowam drogi nie zmylił, a Żydowskiej ulicy bym nie znał. Kościółek Św. Anny drewniany na góreczce tam stoi, a tuż śmiecisko straszne... Czy o tę ulicę waszej miłości chodzi?” — Śmiecisko zauważył, mądralo, a *Collegium Maius* wiesz gdzie?” — „Jakie kolegium?” — gadam ja. — „Ot, żeś matol — gada on. — Akademia przez króla Jagiełłę fundowana, a przez królową Jadwigę wyposażona”. — „Juści, gdzie Akademia, to wiem; ale jakosi inaczej mówiliście” — gadam ja. — „Sprawiedliwie cię piekło czeka — gada on — dwóch słów

Śmierć bohaterska, Rycerz

Sumienie, Przysięga,
Nauka, Głupota, Piekło

⁶¹bez (gw.) — przez.

⁶²buńczuk — długie drzewce ozdobione włosiem końskim, symbol władzy wojskowej.

⁶³aga (tur.) — dowódca janczarów, tj. piechoty tureckiej (dziś tur. tytuł grzecznościowy: pan)

⁶⁴ufiec — hufiec, oddział.

⁶⁵janczarowie (z tur.) — piechota turecka.

⁶⁶wolej (daw.) — raczej, lepiej.

⁶⁷basza a. *pasza* (z tur.) — generał w wojsku tur. (dziś tytuł grzecznościowy: pan).

⁶⁸wilcy — dziś popr. forma M. lm: wilki.

⁶⁹dyć a. *ady* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

łacińskich nie spamiętasz, a święte kapłaństwo Bogu najwyższemu ślubujesz. Idźże tedy do onego gmachu Akademii, a o profesora, przewielebnego księdza Jana z Kęt⁷⁰ pytaj”.

— Jak to — zakrzyknął Wojciech, przerywając mowę organiście — o tym Janie z Kęt powiadacie, co go cały naród świętym głosi? Którego grób cudami słynie?!

— A juści; jego błogosławioną osobę miałem łaskę od Boga własnymi oczami oglądać, jego dobrotliwej mowy słuchać.

— A cóżecie za szczęśliwiec taki! I pana miłościwego znał, królewskiej osobie posługował⁷¹, w bitwie pod Warną Tatarów siekł i jeszcze wielkiego świętego w żywym ciele oglądał!

— Ano słuchajcie, co się dalej działo. Więc mnie uczy bakałarz, jako mam przewielebnemu profesorowi niziutko się pokłonić, całą przygodę pod Warną i ono ślubowanie uczciwie, przez wykrętów opowiedzieć i o radę prosić. „Coć rozkaże — gada — tak uczynisz; mąż to świątobliwy a wielkiej mądrości, pewnikiem zdoli rozwiązać ten węzeł i twoje sumienie uspokoić”.

— Ady popłuczcie se gardło, Walanty — rzekł Piotr, nalewając kubki po brzegi. — Wasze zdrowie!

— I wasze! — Trącili wszyscy trzej kubkami, a organista kończył swe opowiadanie:

— Wszystko się tak stało, jako mi ów zapowiedział. O moiściewy... słusznie on święty po śmierci niebieskie pałace zamieszkuje, gdy za żywota w komóreczce ciasnej a ciemnej niczym więzień przebywał. Wchodzę do onego *Collegium Maius*, o profesora Jana z Kęt pytam; wskazują mi drzwi w sieni na dole; izdebki malutkie, jedna do modlenia, a druga mieszkalna. Próbuję, ino na klamkę zawarte, nie ma nikogo. Siedział w sali na górze, w księgach mądrości zaczytany. Janitor, co znaczy odźwierny, zaprowadził mnie i przez⁷² pytania wpuścił; miał bowiem surowo nakazane każdego potrzebnego⁷³ albo proszącego przed jego przewiełbność prowadzić — wtedy wszedłem i Pana Jezusa pochwaliwszy, cicho u proga stanąłem. Przywołał mnie k'sobie⁷⁴, wysłuchał łaskawie i pomyślawszy nienajdlużej, srogie utrapienie moje całe załagodził.

— W jakim sposobie? — spytał Wojciech ciekawie.

— Ano, podsunął mi księgę rozwartą i kilka wierszy głośno przeczytać rozkazał; za czym dał pióro, papier i czarkę z inkaustem i całą Modlitwę Pańską musiałem z pamięci napisać. Pochwalił, że nie darmo do szkoły chodzę, potem zasie tak rzecze: „Nie twojać to wina, że do łacińskiego języka głowy nie masz; trudna to nauka i pierwszemu lepszemu nieprzystępna. Że zasie do sakramentu kapłaństwa droga ino przez łacińskie wrota, znak przeto z nieba jest widomy, że cię Pan Jezus sam ze ślubu zwalnia. Jeżeli ano chcesz mimo wszystko za ocalenie życia Mu odslugować, masz wiele inszych k'temu⁷⁵ sposobów”.

Nie będę się rozwodził, jako dalej ze mną gadał, trzydzieści pięć lat mija, to i z pamięci wyleciało niejedno. Dość że mnie zaprowadził do sławnego na cały Kraków muzykusa, co w katedralnym kościele przy świętym nabożeństwie na chórze grywał, i kazał mię⁷⁶ uczyć na organach. Sam płacił onego nauczyciela.

— O retyści... z deszczu pod rynnę! — zawołał Wojciech.

— Zabawka to w porównaniu z łaciną — odparł organista. — Po prawdzie rzekłszy, blisko trzy lata zeszło, zanimem się ze wszystkimi pedałami i kluczami zapoznał, nuty czytać nauczył, a i palce, twarde jak patyki, koślawo stukały po klawiszach. Ale dziękować Bogu, już ta bieda przeminęła od świętej pamięci, a dwudziesty ósmy rok w Porębie organistą jestem. Ino w jednej rzeczy zmylił świątobliwy profesor.

— Cóż takiego?

— Trzeba było ślubowanie choć w połowie spełnić i w bezzennym stanie do śmierci pozostać... Ha, darmo, wymigał się człek od piekła, niechże znosi czyściec. Macie ta jeszcze kapkę miodu, kumoter? Na zdrowie wam!

— I wam!

⁷⁰Jana z Kęt a. Jan Kanty (1390–1473) — święty Kościoła katolickiego, ksiądz, wykładowca Akademii Krakowskiej.

⁷¹posługować — usługiwać.

⁷²przez (gw.) — bez.

⁷³potrzebny — tu: potrzebujący.

⁷⁴k'sobie (daw.) — do siebie.

⁷⁵k'temu (daw.) — do tego.

⁷⁶mię — dziś popr.: mnie.

Święty, Szczęście

Ksiądz, Nauka

Małżeństwo, Czyściec

— I wam!

Wojciech odchrząknął, poskrobał się po głowie i westchnął.

— Wola boska; nie ma kącika, gdzie by nie było krzyżyka...

— Chyba do was się ta przypowieść nie stosuje? Macie kobietę zdrową, pracowitą, spokojną; dobytek piękny, dzieci.

— Ot właśnie...

— Cóż takiego?

— Utrapienie z brzdącem...

— Wawrzus?

— A ino.

— Stało mu się co? — spytał Piotr.

— Stać to mu się po prawdzie nic nie stało... ino jak Walanty do Jana z Kęt, tak ja do was obu przychodzę rady szukać.

— Ho, ho, mnie ta nie wzywajcie, chyba o Kondusie będzie chodziło — odezwał się ze śmiechem organista — ona moja chrześnica, do Wawrzka mi nic.

— Ee... wiadomo, że co dwie głowy, to nie jedna. Słuchajcież oba i powiedzcie, co się wam zda.

— Słuchamy pilnie. Wasze zdrowie, kumie!

— Ano tedy, żeby prawdę rzec, a nie żelgać, wielką mam troskę, bo mi cosi chłopaka urzekło.

— Ale, hale... nie może to być; któż by taki na ten przykład?

— Przecie na dziesięć mil wokoło ani jednej czarownicy nie uświadczy — powoli, z namysłem cedził Piotr. — Ostatnią wójt na Zaborówku tak rok pławić dawał, a potem ją gdziesi kajsi starościńscy do grodu na sąd powieźli. Od tego czasu nie słysząc nic.

— Ino wam się zwiduje czy co? Jakież oznaki macie na owo urzeczenie? — zapytał Walenty.

— Kto by mu się ino raz przyjrzał, zmiarkowałby, że nieczysta sprawa.

— Powiadajcież.

— Ano, niespokojność niezmierna w rękach; ino się zerwie rano, pacierz puści na pytel, aż wstyd słuchać; jeszcze se nie pośniadał, już byle jaką trzaskę albo sęcdek do ręki i rzeza kozikiem...

— Na wióry struże? A co mu po tym?

— Gdybyć na wióry, powiedziałbym: głupie dziecko, bawi się. Ale w tym właśnie widzę najpewniejszy znak urzeczenia, że jakiesi osóbk, ptaszki, pieski wyrabia i tak się zapamięta w onej głupocie, że o bożym świecie nie wie. O jadło nie prosi, gadać do niego, nie słyszy; dopiero jak zwałę pięścią w kark, to się nieco ocknie i pojrzy na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział.

— Ej... co byście się trapili po próżnicy — rzekł, machnąwszy lekceważąco ręką, Walenty — a niechże się dzieciak bawi, co wam to wadzi?

— A żebyście wiedzieli, że wadzi, nawet bardzo; dzień w dzień jakowaś szkoda albo kłopot z jego przyczyny. Cud boski, jak wszystkie krowy przyżenie⁷⁷ na wieczór do domu. Ot i dziś: idę do lasu zajrzeć na moje barci⁷⁸, patrzę, ten niedojda siedzi na górcie pod brzożami, wiecie, tam wedle Maciejowego jęczmienia. Dłubie kozikiem biały klocek, aż drzewo zgrzypi. Podszedłem do niego tuż, zaglądam, krówka jak żywa. Ślepie, rogi, uszy, ogon krzynę w bok odrzucony, że się to niby przed muchami ogania. Powiadam wam, ażem zgłupiał. Ale za to Krasa i Gwiazdula hań, hań, aże nad rzeką, a Wiśniochę diabli wzięli. Pół dnia zbiegałem po lesie, zanimem ją odszukał.

— Wytrzepać skórę, to na drugi raz będzie uważał, taka moja rada — rzekł Piotr.

— Przecie znam ojcowskie prawo, bicia mu nie żałuję. Tyle go ino ominie, co matka mnie czasem przytrzyma za rękę. Wszystko na darmo: ja swoje, on swoje.

— Ano, nieposłuszeństwo w tym widzę i niedbałość; nijakich czarów nie uznawam⁷⁹ — objawił swe zapatrywania Walenty.

Artysta, Czary

Dziecko, Nauka

⁷⁷przyżenąć (daw.) — przyznać, przygonić.

⁷⁸barć — dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół.

⁷⁹uznawam — dziś popr.: uznaję.

— Odebrać kozik, najlepsze lekarstwo — dodał Piotr. — A nie przybierajcie se byle czego do głowy, kumotrze; małe to jeszcze, przyjdą lata, przyjdzie rozum.

— Sprawiedliwie gadacie, Bóg wam zapłać. Jednakowo, kiej pomyślę, że za osiem lat chowania pociechy nijakiej ani wysługi z dziecka nie mam... Ot, pójdę do domu... albo lepiej na łąkę, kto go ta wie, co znowu zrobił. Niech będzie pochwalony; a zajrzyjcie ta kiedy do nas.

— Na wieki wieków. Przyjdziemy oba, a jakże.

Podczas gdy ojciec skarżył się na niedolę, że z ośmioletniego chłopaka nie ma pomocy, stary ów zbrodniarz, z sercem pełnym skruchy, prowadził tatusiowe krówki na pastwisko. Widno, szczerze postanowił się poprawić, bo w rękę tylko pręt trzymał do poganiania upartej Wiśniochy, a biedny ukochany kozik wsunął w zanadrze⁸⁰. Gdy go używać zabroniono, a patrzeć nań pokusą jest do złego, błogo przynajmniej mieć go tuż przy sobie.

— Wawrzek... cóżes taki nadęty jak sowa? Boli cię na wnątrzu⁸¹ czy może tatuś kijasem olatali?

Płowa głowina wysunęła się przez dziurę w płocie, za nią zgrzebna koszulka przepasana krajką, dwie brudne opalone rączki i takież nogi do krwi skąsane od komarów; krótko mówiąc, jedyny serdeczny przyjaciel Wawrzusia — Mikołajów Jasek.

— Mas⁸² se wiedzieć, śleporodzie brzycki⁸³, że na mnie kija nie potrza. Raz w kielo⁸⁴ cas⁸⁵ tatuś mnie zerzną rzemymkiem i dość. Dziś mi się należało bicie w porządku, ino... nie było cym. Matusia myślą, że ja nie wiem, co oni rzemymek za piec wrzili⁸⁶, chi, chi, chi! Chodź ze mną na paświsko⁸⁷, będziemy się tulać z górki. No, prędjiej!

— Nie mogę. Pošli⁸⁸ na kiermas⁸⁹, kazali siedzieć w chałupie, Hanki pilnować, coby nie wyleciała z kołyński.

— Aha, az tutaj słyhać, jak krzycy! Dadzą ci matusia piastowanie, jak wrócą...

— O rany!...

Skręcił się Jasek w śrubę, przecisnął przez kolące chrusty, już tylko nogi widać... już tylko jedna pięta... już nie ma nic.

Gwiazdula naprzód, Krasa i Wiśniocha za nią, Wawrzek na ostatku, w pięknym ładzie i bez przygód zaszli wszyscy czworo na tatusiową łąkę. Chłopiec popędził krowy bardziej ku lasowi, żeby je księdzowe żytko nie kusiło, a sam rzucił się jak długi na ziemię i wsparty na łokciach wodził oczyma po łąkach kwitnącego żyta, po krzywych wierzbach wzdłuż rzeki.

„Mikołajów chałupa jakosi jedną stroną do ziemi przysiadła — myślał, poglądając na z rzadka rozsiane sadyby, otoczone gęstwiną owocowych drzew. — Musi bardzo stara, bo carna i mechem⁹⁰ porośnięta... Nasa, to ci dopiro⁹¹ piękna; jakie to bierwiona grube, ho! ho! jeden w jeden ze starych modrzewiowych pni. Tatuś sami jeździli do boru, sami ścinali, sami budowali, ino im Błazej ze Zaborówka pomagał. Godali⁹² tatuś, że ona jeszcze będzie stała, jak nase prawnuki pomrą. Co to za jedne te prawnuki?... A niech se ta mrą, choćby i dziś, nic mi po nich...A jak u nas ciepłuśko w zimie! Śniegu nawiej z nieba tyle, co ino strzechy stercą spod onych białości. Z rana łopatami drogę cynią⁹³, żeby się drzwi dały otwierać. Potem wedle okien odgrzebią, bo śnieżysko błony⁹⁴ poza-

Dom

Czas

Zima

⁸⁰zanadrze (daw.) — miejsce pod wierzchnim ubraniem na piersi.

⁸¹na wnątrzu (gw.) — w środku, w brzuchu.

⁸²mas (gw.) — masz.

⁸³brzycki (gw.) — brzydki.

⁸⁴kielo (gw.) — ile.

⁸⁵cas (gw.) — czas; raz w kielo cas — raz na długi czas, niekiedy.

⁸⁶matusia... rzemymek za piec wrzili (gw.) — mama wrzuciła rzemymek za piec (użycie czasownika w lm wyraża szacunek do osoby, o której się mówi).

⁸⁷paświsko (gw.) — pastwisko.

⁸⁸pošli (gw.) — poszli.

⁸⁹kiermas — właśc. kiermasz, odpust.

⁹⁰mechem (gw.) — dziś popr.: mchem.

⁹¹dopiro (gw.) — dopiero.

⁹²godali (gw.) — gadali, mówili.

⁹³cynią (gw.) — czynią.

⁹⁴błona — w średniowieczu szkło było bardzo drogie, więc mniej zamożni ludzie wstawiali w okna pęcherze rybie lub zwierzęce.

slania i w izbie carna noc. Potem matusia rozpalą ogień, obiad warzą, a my se siedzimy dookoła, grzejemy sie. Ino ten dym strasznie w oczy gryzie, az nawet samemu tatusiowi lzy leca. Jak się weźmie ślać po izbie, to go w każdym kącie pełno, ino bez⁹⁵ dach nie chce iść. Boi się, coby nie zmarł. A pod wieczór, to nie ino matusia, ale tatuś krokiem za drzwi nie idą, choć wrota mocne i parkan wysoki. »Głodnemu wilku⁹⁶ głupi ino dowierza«, gadają tatuś. Ciekawość, duzo tez ta wsi na całym świecie? Chybo niewielu. Pusca ino i pusca. Tatuś mnie brali ze sobą, jak jeździli do barci miód podbierać. Tak mi się przykrzyły one drzewa i drzewa, pod samo niebo. I znowu jesce więkse, jesce grubse, jesce gęściejse. Pewnikiem za pusca to juz jest koniec świata i piekło, nawedem⁹⁷ raz słyszał, jak coś strasznie wyło. Ani chybi diabły se robiły smak na chrześcijańskie duse. Kunie⁹⁸ to ci tak chrapały ze strachu... Jakze? Diabłów by się nie bały? Tatuś batem zacięli, ale niepotrzebno, bo ze swojej woli gnały jak ten wicher, omal wozu nie potrzaskały o kamieniska i korzenie. A jak my przed chałupę zajechali, to tatuś ino jedno słowo burknęli do matki; nie zmiarkowałem jakie, ale mnie w te pędy kazali klęknąć przed krzyżykiem i cały pacierz zmówić. Oni myślą, ze ja nie zgadł, co to było! Diabły nas goniły i chciały porwać do piekła. Ale się tatuś gorzyj bali niz ja. Cięgiem ino krzyceli: »Jezusie, Maryjo... ratujcie nas!!« A nad kuniami⁹⁹ to przez¹⁰⁰ końca święte krzyże znacyli. Wszystko to dobrze, ino co mnie tak w łokieć gniece? No... widzicie ludzie... korzenisko jakies! Ehe, juści, cudak nie korzenisko! Sprawiedliwie wygląda jak jasurecka. O... pyszcek, ino ślipki naznaczyć, tu znowu łapki jak raz gdzie się należy; wydłubać krzynę i gotowe. Ogon ci ta długocki... przytnie się kapkę i będzie».

Wyciągnął z zanadru kozik i obejrzał się.

„Zbiją tatuś... A za co by mieli bić? Dy¹⁰¹ krowy w porządku, to mi wolno robić, co chcę”.

I dalejże skrobać, dłubać, wygładzać, zaokrąglać, zaostrzać; brwi zmarszczył, koniec języka wystawił z ust i poruszał nim prędzej lub wolniej, w miarę jak mu się robota lepiej lub gorzej wiodła. Nie w głowie mu Gwiazdula ni Krasa, co gorsza, nie w głowie mu tatuś.

Skończył. Ujął drewnienko w dwa palce, wyciągnął rękę, żeby się z daleka przyjrzeć, i przekrzywiwszy główkę, patrzył na swe dzieło z uśmiechem zadowolenia.

„Oj ty, ty... jakbym cie na ziemi do słońca położył, toby się twoje siostry i bratowie zbiegli do cie. Ino by się dziwowali, coś taka niemrawa, chi, chi, chi!... Jezu! A krowy gdzie? Rety... ludzie... o matko... tarasą¹⁰² tez to plebańskie¹⁰³ zyto, tarasą!”

Zerwał się jak oparzony, ale i w tej minucie rozpaczy i grozy nie zapomniał o rzeczach najważniejszych; jaszczurkę i kozik wsunął za pazuchę.

„O Jezusińku... jakże ja sobie z nimi dam rady! Oj, spierą¹⁰⁴ mnie tatuś, spierą... chyba mnie na śmierć ubiją! O rany... Kuba, Scepon¹⁰⁵, Bartek z kijmi¹⁰⁶... juz po mnie!”

Nie pytając wiele, co się z krowami stanie, potoczył się z góry jak kula prosto do rzeki.

„Niech mnie ta gonia... Pan Jezus miłosierny... może w tej stronie brodu nie znają, a ja znam. Rzyka¹⁰⁷ głęboka, będą się bali”.

Chłupnął bez namysłu, woda go z głową przykryła, ale w okamgnieniu o parę stóp w prawo wynurzyła się jasna czupryna, a krok dalej — już tylko po kolana. Posuwał się zwolna, macając nogą ostrożnie, żeby na dziurę nie natrafić.

Parobcy księdza proboszcza, zajęci wypędzaniem bydła ze szkody, nie spostrzegli w pierwszej chwili, gdzie się pastuszek podział. Karbowy¹⁰⁸ Kuba wydawał rozkazy:

⁹⁵bez (gw.) — przez.

⁹⁶wilku — popr. forma C. lp: wilkowi.

⁹⁷nawedem raz słyszał (gw.) — nawet raz słyszałem.

⁹⁸kunie (gw.) — konie.

⁹⁹kuniami (gw.) — końmi.

¹⁰⁰przez (gw.) — bez.

¹⁰¹dy a. ady (daw.) — przecieź, ależ.

¹⁰²tarasić (gw.) — deptać, tratować.

¹⁰³plebański (daw.) — księży, proboszczowski.

¹⁰⁴spierą (gw.) — spiorą.

¹⁰⁵Scepon (gw.) — Szczepan.

¹⁰⁶z kijmi — dziś popr. forma N. lm: z kijami.

¹⁰⁷rzyka (gw.) — rzeka.

¹⁰⁸karbowy (daw.) — nadzorca robotników.

Kondycja ludzka, Wierzenia

Diabeł, Zabobony

— Ty, Bartek, odprowadzisz gadzinę¹⁰⁹ do naszej stajni; jego wielbność przeznaczy sam, ile dni odrobku przy żniwie ściągnąć z Wojciecha; a smykowi to już ja skórę wyłożę wedle pamiętki.

— Ihi, juści — szyderczo się roześmiał Szczepan, skryty przeciwnik, zazdrosny o władzę Kubę — juści mu tak pilno czekać onej pamiętki; widzicie, jak pięknie przebrodził rzekę, o! już na drugi brzeg się spina!

— Tysiąc pieronów! Goń... łapaj... No lećże... co stoisz?!

— Nie pójdę; brodu nie znam... pływać nie umiem...

— To gnaj krowy, niedojdo. Bartek, chodź, a rażno!

Pobiegli cwałem. Kubę dwa razy woda z nóg zwała, musiał mu Bartek podać rękę, i zabawiwszy dobry kwadrans, ledwie się na drugi brzeg wygramolili. Karbowy rzucił okiem po piasku nadbrzeżnym, ślady bosych nóg biegły w kierunku lasu. Rzucili się obaj w tę stronę, zamajaczyła im szara koszulka... Wawrzek dopadł pierwszy krzaków, stracili go z oczu.

„O matko... już krzyczą... wołają na mnie! Co takiego?... Kuba wrzeszy, co mnie na śmierć zatłuka! Ino mnie złapcie pirwy¹¹⁰!”

Gibki, drobny a sprężysty, odbijał się nóżkami od ziemi, dawał susy jak piłka, coraz dalej, coraz głębiej w las... Głosy goniących parobków słabo już tylko słyhać było, prawdopodobnie zgubili ślad. Ale i dziecko traciło siły. Upadł pod gęstą leszczyną i dyszał głośno.

„Ojej... kłuje mnie w środku... choćby mnie ta i znaleźli, nie ruse sie... w bokach boli... matusiu!”

Dokoła cisza, spokój, ani ptaszków nie słyhać; czasem coś smyrgnie po gałęzi z drzewa na drzewo: to wiewiórki się gonią.

Wawrzus pojęczał trochę, polamentował, ale z każdą chwilą robiło mu się lżej; bicie serca i kłucie w piersiach ustało, obrócił się na boczek, jak w nocy na sianie przy matusi, i usnął twardo. Zbudziły go skośne promienie zachodzącego słońca, przedzierające się dołem pomiędzy pnie drzew. Roje komarów drżały w świetlanych smugach... Jeden promyk zaświecił mu w same oczy; ocknął się i usiadł.

„A to dopiro! Cóż ja w lesie robie? Aha, aha, prawda... ale i tak mnie nie dogonili! Chi, chi, chi... Juści, śmiej się głupi, że cie nikt nie kupi. Tatus cekają tam na mnie ze rzemieniem. Ino głowę bez drzwi wraże, okropa świata, co się będzie działo. Ano darmo, jęcenie jęcieniem, a bicie biciem. Trza iść, bo noc zapadnie. — Wstał, przeciągnął się i popatrzył na wszystkie strony. — Aha, z tamtej gęstwiny tum dopadł, trza się tą samą drogą wracać”.

Uszedł ze sto kroków i przystanął.

„Gnałem prosto od rzyki, to teraz pójdę ku rzyce, z górkę na dół”.

Zbiegł prędko, ale zamiast spodziewanego końca lasu i widoku na rzekę, znalazł się w gęstych zaroślach, ludzką nogą z dawna nie tkniętych.

„Nie, musiałem trochę zmylić, zawrócę ku słońcu, ba jak raz świeci do wody, kiej zachodzi”.

Ku słońcu, od słońca, z górkę, pod górkę, błąkał się biedny dzieciak aż do zmierzchu. By zagłuszyć wzrastający niepokój, zaczął pogwizdywać pastusze piosenki... wreszcie zrozumiał, że nie trafi, w pół oddechu zerwało się gwizdanie, rozplakał się gorzko. Stał bezradny, zmęczony, głodny, puszcza przed nim, puszcza za nim... Coraz ciemniej się robi... jakieś wielkie ptaki przelatują cichym skrzydłem... tam za krzakiem ktoś wzdycha... Suche liście chrzęszczą... coś idzie! Wawrzus dech wstrzymuje, przytulił się do grubego buka, ani drgnie. Coś idzie, idzie, sapi¹¹¹, przeszło bokiem, cisza.

„O rety... pewnikiem była dzika świnia, bo chrumcało. O... znowu cosi! Matko Boska, nie daj mnie!”

Wdrapał się na gruby konar pochyło zwisający, siadł na nim okrakiem i patrzy. Niby to ciemno w puszczy, ale pełnia księżycy, to bodaj gdzieś tam mdle światelko między liście zagłąda.

Wawrzus drgnął.

¹⁰⁹gadziną — w Krakowskim lud nazywa gadziną zwierzęta domowe i drób. [przypis autorski]

¹¹⁰pirwy (gw.) — pierwszej, najpierw.

¹¹¹sapi (gw.) — sapie.

„Śmigne wyżej, bo sie boje... o Jezu, znowu idzie! Jak tez to mrucy, mrucy...”

Miedzy krze i konary przeciska sie wielki brunatny niedźwiedź; zły czegoś bardzo, bo co chwila przystawa¹¹², pazurami ziemię drapie i głośno mruczy.

„Może głodny... a może to matka, cosí jej dzieci zezarło?... Łaska boska, juz nic nie slychać. Oho, nie zleżę ja z tego drzewa, ani myślenia... zostanę tu na noc”.

Usadowił się wygodnie na dwóch gałęziach tuż przy sobie rosnących, plecami się o pień oparł, przymknął oczy i spokojny, że mu niedźwiedź nic nie zrobi, usnął prawie natychmiast.

Zbudziły go przeraźliwe jakieś niby szczekania.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. — Zmówił cały pacierz; wrzaski nie tylko nie ustawały, ale slychać je było coraz bliżej... Z głębi puszczy wyszedł wilk z najeżonymi kudłami, usiadł na mchu pyskiem do księżycy i zaczął wyć...

„O przenajświętszo Matko... to wtedy wilcy byli? A ja myślał, że diabli!...”

DZIWNY PIELGRZYM

U pszczoł na obiedzie. — Rozpacz Wawrzusia. — Za głosem dzwonów. — Kąpiel w lesie. — Widziadło. — Co Wawrzus wypatrzył pod kościelnym oknem. — „Chwytaj! Łapaj!” — Oczy pielgrzyma.

Wawrzus obudził się przeziębły i bardzo głodny. Pojrzał z wysokości na wszystkie strony — cicho. Dziki, niedźwiedzie, wilki wróciły pewno do legowisk, dopiero w nocy rozpoczną na nowo swe polowania i wędrówki.

Z gałęzi na gałąź pomykając, zsuwając się po pniju, dotarł do najniższego konara i zeskoczył na ziemię. Patrzy znowu, nasłuchuje — nic.

„Juz tez ta dziś nie będę się kręcił w kółko jak głupi — myślał, nauczony wczorajszym doświadczeniem — ino¹¹³ se pójde prosto i prosto, ani raz się nie zawrócę. Do jakiegoś przecie końca doleżę, ludzi może napotkam, to mnie do tatusia odprowadzą. Dy¹¹⁴ tatu-sia wszyscy znają. Ino teraz sukać trza jadła jakiego; skręca mnie cosí na wnątrzu¹¹⁵ jak wióry... a mgli¹¹⁶...”

Zerwał parę listków kwaśnego ziółka, zwanego zajęczą kapustą, zeżuł i połknął.

„Dobre to przegryźć po kluskach, jak się przykrzy darmo leżeć na paświsku; ale na głodno... Trza iść, stanie mi jeść nie da”.

I poszedł, gdzie oczy poniosą, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo, ciągle prosto, jak sobie to postanowił. Głód bardzo doskwierał, godziny mijały, a gdzie spojrzy, ino mchy, paprocie, jałowce, a górą stare grube pniska... aż strach ogarnia, co to dalej będzie. Nogi takie ciężkie, spać się chce czy co takiego?

„Choć do słońca pójde się ogrzać; jakasi polana... drzew tam nie ma; połoze się na trawie, pośpie, może mi zelży”.

Widok zielonej dolinki o kilkanaście kroków, słońcem oblanej, dodał mu otuchy. Podbiegł w tę stronę.

„Raju... czerwona trawa! Nie... to jagody!”

Rzucił się, drżący z głodu, na ziemię, jadł, jadł i odjeść¹¹⁷ się nie mógł.

„Jaska by tu puścić, ten ci przepada za poziomkami! Alezem się naładował setnie; jaze mi w oczach pojaśniało”.

Wyjął z zanadru drewnianą jaszczurkę, przypatrzył jej się z lubością, westchnął i po-kiwał głową.

„Widzis, głupia, wsyćko¹¹⁸ twoja wina; bez¹¹⁹ ciebie ja tak na pustyni pokutuję! Wy-legas sie pięknie jak królowa, a ja mizeracek tyle pędy muse rypać. Pan Jezus jeden wie, kaj¹²⁰ zajdę. No, idź spać, pora na mnie”.

¹¹²przystawa — dziś popr.: przystaje.

¹¹³ino (gw.) — tylko.

¹¹⁴dy (daw.) — przecież.

¹¹⁵na wnątrzu (gw.) — w środku, w brzuchu.

¹¹⁶mgli (gw.) — mdli.

¹¹⁷odjeść się — najęść się.

¹¹⁸wsyćko (gw.) — wszystko.

¹¹⁹bez (gw.) — przez.

¹²⁰kaj (gw.) — dokąd.

I wędrował dalej. Za wiele jednak ufał poziomkom; ani dwie godziny nie minęło, znowu głód. Żebyż choć nadzieja wyjścia z tego przeklętego lasu! Drzewa olbrzymie konarami u góry się płaczą, w zielone sklepienie wiążą; chłód, mrok, nieba nie widać, słońca nie widać, ponura, głucha cisza... Kukanie kukulki słabo dolatuje; widno wszystkie ptaki pouciekały z tej ciemni do słońca.

„Cosi pachnie... — pociągnął głęboko nosem — juści, miodem wonieje, woskiem... barć¹²¹ tu gdzieś musi być bliźutko. Trza patrzeć, gdzie wypróchniałe drzewa. — Podniósł głowę i śledził pilnie. — Zeby ino nie za wysoko. Oho... pscoły się uwijają... mojeściewy śliczne, pokażcie mi drogę!... Jest! Oj, szkoda, że mnie tatuś nie widzą, boby mnie pochwalili. Wszystko człowiek ma na zawołanie: i kozik, i hubkę, i krzesiwko; a zawdy¹²² ino gadają, zem niemrawiec”.

Skrzeszał ognia, rozjarzył kawałek hubki, wsadził w szczelinę wypróchniałego drzewa, tuż przy otworze barci, a sam czym prędzej uskoczył w bok, bo rozwścieczone pszczoły mogły się nań rojem rzucić i na śmierć zakłuć. Schowany za rosochatym wiązem, czekał cierpliwie, czasem jedno oko wysuwając. Gorzki, gryzący dym z tlejącej hubki rozsnuł się białawym obłoczkiem dokoła barci, aż i przedostał się szparami do wnętrza. Z głośnym brzękiem wyleciało kilkaset pszczół na powietrze; zatrzymały się przez parę sekund w miejscu, jakby naradzając się, co robić wobec tak strasznej klęski, i zbite w kłęb, pomknęły ku górze.

Niejeden dorosły nawet człowiek, ale nieświadomy rzeczy, korzystałby z pomyślnej chwili i śmiało szedł miodu wygarnąć z opuszczonej barci. Wawrzek tyle razy napatrzył się robocie ojca, że i sam zachował się jak stary, doświadczony pasiecznik. Wiedział, że na straży ukochanego ula i bogatej spiżarni zostaje zawsze kilkadziesiąt najwytrwalszych pszczół, i te albo giną uduszone dymem, albo opuszczają barć o wiele później od swych poprzedniczek. Stał więc ciągle za drzewami i czekał. A hubka nie przestawała się dymić.

„No, może ta już macie dość? Mnie samego w nosie kręci, to chyba uciekły abo¹²³ pomarły”. (W mniemaniu ludu pszczoła za to, że dostarcza wosku na światło do kościoła, ma wyższość nad innymi zwierzętami, że nie zdycha jak one, tylko umiera jak człowiek.)

Wawrzus wysunął się z kryjówki, powolutku się zbliżał do upragnionego celu, a ciągle rzucał oczyma na wszystkie strony, czy się gdzie jeszcze jaki niedobitek nie pokaże. Wspiął się na suchy konar i zajrzał do wnętrza barci.

„To ci komora pełna! Hej, hej... pewnikiem niepamiętne lata się tu mają, a nikt o nich nie wie. Nawet mi nie żal, że takim bogackom ubiorę krzyne”.

Spiesznie zastrugał ułamaną gałązkę w kształt łopatki, liść łopuchowy położył na lewej dłoni, podważył grubą warstwę spod samego wierzchu i wyciągnął śliczny biały plaster, złotym, gęstym miodem kapiącym.

„Teraz w dyrdki uciekaj, bo cię jesce dogonią!” — ze śmiechem sam siebie straszyl i przygasiwszy hubkę, pobiegł pędem kilkadziesiąt kroków dalej. Usiadł pod dębem i zjadł chciwie, wyssany wosk popluwając.

„Dalibyście chleba, matusiu... nijako tak samo słodkie łykać” — szepnął pół żartem; ale na wspomnienie matusi, takiej bardzo dobrej, co to i umyła, i uczesała, upieściła, do sytości jeść dała, a przed każdą biedą osłoniła, zgorzkniał mu w ustach miód słodziutki, a oczy łzami zaszczyły.

„Biedny ja, biedny, taki samiuteńki, ani mnie nie znać w tym strasnym puscysku!... Nicym chrobacek¹²⁴. Jak mnie wilcy zagryzą albo niedźwiedź zadusi, to ani ptasecek nie polecą do Poręby dać znać, co już ni ma Wawrusia. Oj, Boże, Boże... ady¹²⁵ sie ulitujcie nade mną, święci janiolowie¹²⁶, i wyprowadźcie mnie na jaką dobrą drogę!”

Wylizał liść miodem posmarowany, rączki wytarł mchem i ziemią do sucha — i znowu prosto przed siebie. Słońce się ma ku zachodowi, ale w odwiecznym boru jednakowy mrok o zaraniu, w południe i pod wieczór. Wawrzus bardzo już zmęczony; długą drogą zmęczony i płaczem, i tęsknotą za matusią. Ogarnęło go jakieś odrętwienie, idzie jak we

Zwierzęta

Wierzenia

¹²¹barć — dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół.

¹²²zawdy (daw.) — zawsze.

¹²³abo (daw.) — albo.

¹²⁴chrobacek (gw.) — robaczek.

¹²⁵ady (daw.) — przecież, jednak, ależ.

¹²⁶janiol (gw.) — anioł.

śnie, a tylko niekiedy dreszcz go przebiega... ta puszcza nie ma końca, będzie tak szedł, szedł, aż umrze.

„O Matko Boska z matusinego obrazka... weź mnie, biedne dziecko, do nieba. Juz nikaj¹²⁷ nie pójdę, położe się tutok¹²⁸, niech się dzieje, co chce. Ino pacierz jesce zmwowie przede śmiercią. »Ojce nas, któryś jest w niebie, święć się Imie Twoje, psydź królestwo«... — Zerwał się na równe nogi. — Słyszcie ludzie... dzwony! Dzwony... dzwony... Rety! Kościół kajsi¹²⁹ niedaleko! Matko Najswietso... nie bede juz umierał, nie! Lece ku dzwonom! Jakasi wieś niedaleko... O Panie Jezusie... o moja złota matusiu!”

Wesoły, zdrowy, silny, wypoczęty, rzucił się pędem w stronę, skąd głos dzwonów dolatywał. Wsi wprawdzie tak od razu nie znalazł, ale drzewa zaczęły się coraz bardziej przersedzać, światło zamierającego dnia wpadało między krzaki, chłopiec biegł, biegł, aż dotarł do jakiegoś wąwozu na skraju lasu. Górą ślady kół i kopyt końskich szły w kierunku wsi widniejącej z daleka; patrzy na dół: rzeczulka, raczej strumień, płynie sobie warciutko. Dno białym żwirem wysłane, a co kamień większy wystercza, to go woda bije i pianą obryzguje.

Wawrzus zeszliżnął się po skrzypach i macierzankach na sam dół, zdjął koszulę i wskoczył do wody. Pluskał się, zanurzał i wypływał, pił chciwie, kładł się jak długi na płytkim, to znów szukał głębszego miejsca i próbował pływać; wybiegał na brzeg po to tylko, by wracać i pluskać się na nowo. Kąpiel orzeźwiła go do reszty i wygnała z głowy wszystkie czarne myśli.

„Śmiechu warte, jaki ja był głupi... cegozem sie bał¹³⁰? Cóż mi sie stało? Zjadło mnie co? A może to nawet nie była pusca, tylko taki sobie zwyczajny las? Chyba juz wyleze z tej wody, bo jak sie ściemni, to znowu sie gdzie zabłąkam”.

Podniósł oczy ku zachodowi zobaczyć, co się dzieje ze słońcem, i nagle przysiadł po szyję w wodzie, nie śmiejąc się ruszyć ani odetchnąć.

„O Jezu... cosi znowu idzie...” — pomyślał, kurcząc się, że mu tylko nos i oczy ponad wodę wystawały.

Brzegiem wąwozu, oświetlony czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, szedł powoli człowiek jakiś. Wzrostu był więcej niż średniego, Wawrzusiowi jednak, patrzącemu z dołu, wydał się na tym tle ognistym strasznym olbrzymem. Kapelusz miał czarny z szerokimi kresami, białymi muszelkami w miejsce taśmy otoczony; płaszcz ciemny, niemal ziemi sięgający, z kończą pelerynką i kapturem, przewiązany w pasie trzy razy dookoła grubym szarym powrozem. Na lewym ramieniu, trochę ku przodowi, duża muszla biała. Podpierał się kijem zakrzywionym.

„Co tez to za jedno? — łamał sobie głowę przerażony chłopak. — Wielgośne, jaze okropa, na głowie grzyb cy co takiego... carno zamatulone, śniade na gębie jak Cygan... broda strasieczna, pewnikiem upiór albo dusa pokutująca. Juści nie kto insy. O rajul!... złazi do wody... joj... zeby mnie tez nie uwidziało!”

Wawrzus podpełznął cichuteńko za wielki głaz na środku rzeczki i patrzył, co upiór będzie robił. Czarny człowiek zeszedł na sam brzeg, wyjął z zanadru mały cynowy kubek, nabrał wody ze strumienia i pił. Kilkakrotnie napełniał naczynie, musiał być bardzo spragniony. Potem przykleknął, zdjął kapelusz, odgarnął długie włosy, pochylił się i mył sobie twarz i ręce.

„O retyści... ady¹³¹ on nie ma ucha... obmierzle¹³² wygląda!”

Kalectwo i czynności tak niezgodne z powagą istoty nadziemskiej, jak picie i umywanie, uspokoiły trochę Wawrzusia; nie wychylał się jednak ze swej kryjówki i nie dawał znaku życia, bo ten dziwnie odziany, ponury człowiek przejmował go strachem i wstrętem.

Wypocząwszy nad rzeką, pielgrzym wydrapał się na górę i poszedł leśną drogą ku bliskiej wsi czy miasteczku; dopiero wtedy odważył się dzieciak wyleźć z wody. Naciągnął

¹²⁷nikaj (gw.) — nigdzie.

¹²⁸tutok (gw.) — tutaj.

¹²⁹kajsi (gw.) — gdzieś.

¹³⁰cegozem sie bał (gw.) — czego się bałem.

¹³¹ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ale.

¹³²obmierzle — okropnie, obrzydliwie.

koszulinę na mokre ciało, owiazał się krajką¹³³, jaszczureczkę, kozik i krzesiwo zasunął aż ku plecom, żeby się te skarby broń Boże nie pogubiły, i puścił się w tę samą stronę, co straszny człowiek, ociągając się i zwalniając kroku.

„Niech se ta idzie naprzód, a ja za nim; abo mi to pilno? Moze to carownik? Jesce by mnie w psa zaklął albo w kunia¹³⁴, do roboty nagał a katował. Nie głupim”.

Ściemniało się coraz bardziej, na Anioł Pański dawno przedzwoniono, a Wawrzuś jeszcze siedział nad przykopą, żeby się nie zejść z czarownikiem. Aż i gwiazdy wysypały się na niebo.

— Pójdę juz — rzekł, zdobywając się na odwagę. — Zapukam do jakich drzwi, ulitujcie się kto, pożywi i przenocuje.

Ale za długo się wahał i czekał; właśnie gdy mijał pierwsze domki miasteczka, dało się słyszeć przeciągłe buczenie rogu i głos nocnego stróża: „Świaaatlo gasić! Świaaatlo gasić!” Ze względu na niebezpieczeństwo pożaru istniał surowy przepis po miastach i miasteczkach, że w godzinę po zachodzie słońca w lecie, a w cztery lub pięć w zimie (w miarę ubywania dnia), stróże nocni trąbili po ulicach i nakazywali gaszenie ognia w piecach i światła w izbach. Równocześnie zamykano drzwi domów i bramy zajazdów. Biedne dziecko znalazło się więc znowu w bardzo przykrym położeniu. Księżyc nie wzeszedł jeszcze, uliczki wąskie, ciemne; szło biedactwo bez celu, aby się gdzie ino do muru przytulić i przespać. Zbliżył się do jakiegoś domostwa, z szerokim okapem dachu opartym na drewnianych słupkach.

„O, tutaj będzie spanie pańskie, lepsze niż wczoraj na drzewie”. — Ledwie przysiadł na przyzbie, dało się słyszeć zza płota straszne ujadanie psa, ktoś uchylił okienka i gruby, gniewny głos odezwał się:

— Cóż tam za truteń łązi po nocy i uczciwym ludziom spać przeszkadza!

— To ja, Wawrzuś Wojciechów... — zapiszczało dziecko.

— A nie pójdziesz ty do domu, nicponiu szkaradny! Ledwie to od ziemi odrosło, już się włóczy jak złodziej. Idź mi zaraz do domu!

— Kiej¹³⁵ nie trafie!

— A wyjść na ulicę umiałeś? Wynosi mi się... bo psa spuszcze z łańcucha!

Okienko zamknęło się, pies tak zajadłe szczekał, aż chrypl z wściekłości; gotów jeszcze płot przesadzić.

„Wynosić się, to się wynosić; pójdę kaj¹³⁶ indziej... ino ze te nogi strasznie bołą”.

Powlókl się dalej. Dochodzi do rogu ulicy...

„Cie wy, cie wy... cóż za placisko wielgośne! Na co takie? Z czterech końców ulice, domy dokoła, ani w Porębie tak nie mają. A co też to wozów, kuniów, ludzi... powyprzęgali, na ziemi se posłali słomę i śpią. Pójdę między nich, legnę cichuśko, ady im nie ubędzie. O matko... zbój z siekierą okropecną! W drugiej ręce takie coś... przykładą do gęby, trąbi...”

— Gaaasić ogień! — krzyknął stróż, dojrawszy światła migające jeszcze gdzieś w okienkach. Podszedł do bram i stukał w nie halabardą.

„Aha, to pewno sam dziedzic; parobków zwołuje, cy co? Poprose onego, może mi da chleba ociupine; tak się jeść chce... aha, a jak mnie zwali siekierą? Trza uciekać... — Pobiegł w przeciwną stronę rynku. — A to ci stodoła dopiro! Na co taka? W imię Ojca i Syna... wieża! Dy¹³⁷ to kościół! Panie Jezusie przenajświętszy... przecie mnie Ty od swego domu nie odgonisz? Najbidniejszemu żebrakowi wolno, to i ja chrobacek¹³⁸ prześpię się na schodach. Nie, tak na samym wierzchu nie trza, może by się dziedzic gniewali; schowam się za przymurek; tu mi się też to będzie spało, spało...”

Wlaził do kąta przy jednej z pięciu szkarp¹³⁹ podpierających prezbiterium i położył się.

„Ojoj... cyjesi tu łachy leżą... trza usunąć, cobym bez sen nie potarasił”. — O ludzie! — krzyknął i czym prędzej usta sobie ręką zatulił. „Płasc... kapelus z muselkami... ki-

¹³³krajka — chustka.

¹³⁴kun (gw.) — koń.

¹³⁵kiej (gw.) — kiedy.

¹³⁶kaj (gw.) — gdzie.

¹³⁷dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

¹³⁸chrobacek (gw.) — robaczek.

¹³⁹szkarpa — skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru.

jasek... takim sie onego zatracenia bał, a tu mas, będziemy razem nocowali! Ino gdzie polazł? Pójdę se legnąć po tamtej stronie kościoła”.

Odszedł trzy kroki i szukał, gdzieby się najbezpieczniej skryć przed czarownikiem. Księżyc wypłynął już spoza niskich domków na niebo i rzucał jasne światło; coś zgrzytnęło: jedno z okien kościelnych otworło się powolutku, a po grubym sznurze, uczeponym u klamry żelaznej, spuszczał się człowiek. Rękami trzymał się powroza, a w zębach ścisnął nieduży tobołek zawinięty w szmatę.

Wawruś stał jak skamieniały i patrzył... ale i tamten spostrzegł go równocześnie. Stłumiony krzyk wydarł mu się z piersi, zęby puściły zdobycz, tłumoczek upadł na ziemię, a ze szmaty lichy związanej w pośpiechu wysypały się złote naczynia kościelne i promienista monstrancja¹⁴⁰.

Złodziej zeskoczył z wysokości kilku stóp i twarz wykrzywioną złością okrutną zwrócił ku dziecku.

— O mój Jezu... to on... to ten sam!

— Widziałeś? — krzyknął czarny człowiek, patrząc w prawo i w lewo, czy się kto nie zbliża. — Widziałeś? To dobrze! już na tym świecie nic więcej nie zobaczysz.

Rzucił się ku niemu z wyciągniętymi szponami, aż tu nogą zaczepił o swój płaszcz, tylko co przez Wawrusia wysunięty z kąta, i runął jak długi na ziemię. Chłopiec odsadził się w dwóch susach jak spłoszony żróbek¹⁴¹ i biegł, ziemi prawie nie tykając, z wrzaskiem przeraźliwym:

— Zadusi mnie! Zadusi mnie!

Złodziej widząc, że go nie dopędzi, a słusznie bojąc się ludzi, pozbierał czym prędzej złote naczynia, związał w węzełek i pomknął poza kościół w najbliższą uliczkę.

Na pisk Wawrusia, rozdzierający ciszę nocną, zbiegło się dwóch stróżów nocnych i kilkadziesiąt ludzi spoczywających w rynku przy wozach z towarami przygotowanymi na jutrzejszy jarmark.

— Czego się drzesz, lichy przejęte? — huknął na niego stary Mikołaj, waląc o ziemię halabardą.

— Cni¹⁴² ci się za prętem? Widzicie go! — dorzucił drugi stróż. — Tyle rejwachu¹⁴³ po nocy; zerznąć skórę, jak się patrzy, i tyła.

— Cichojcież — przerwała jakaś kobieta z tłumu — chłopak już duży, nie krzyczałby, jakby nie miał o co. Trzęsie się ano jak listeczek. Cóż ci to, synku? Powiedz, nie bój się.

— Zło-zło-o-dziej mnie go-nił... ch-chciał udusić!

— Gdzie złodziej? Jaki znowu złodziej? — burknął Mikołaj, obrażony, że pod jego czujną halabardą śmiał ktoś przypuszczać możliwość podobnego bezecństwa.

— Gdzie złodziej? — powtórzyli zaciekawieni ludzie, skupiając się około dziecka.

— Wylaźli oknem z kościoła, złotości się rozsypały, a jak mnie uwidział, skoczył z rękami na mnie i gadał, co¹⁴⁴ mnie udusi.

— Ot, plecie bajtała¹⁴⁵ trzy po trzy.

— A go wam szkodzi zajrzeć do fary¹⁴⁶? Niech pokaże, co widział i gdzie.

— Racja, dobrze gada niewiasta; chodźmy.

I posunęli hurmem ku kościołowi, Wawruś prowadził.

— Jezus, Maryja... był złodziej! — Okno otwarte!

— Sznur wisi aż do ziemi!

— Nie skłamało dziecko! — krzyczeli ludzie, jedno przez drugie. Dokoła Wawrusia huczało jak w ulu: w domostwach otwierały się okna, wychylały się z nich pytające głowy kobiece; mężczyźni wybiegali przed domy, tłum zwiększał się z każdą chwilą. Jedni biegli zawiadomić proboszcza i burmistrza o świętokradztwie, inni z krzykiem rozsypali się po miasteczku, ktoś uderzył w dzwon na trwogę, Wawruś stał ciągle otoczony gromadą ciekawych. Stróż Mikołaj potrząsnął go za ramię.

¹⁴⁰monstrancja — naczynie liturgiczne w kształcie słońca na nóżce, w którym wystawia się hostię podczas mszy i procesji.

¹⁴¹żróbek (gw.) — żrebak.

¹⁴²cnić się — tęsknić.

¹⁴³rejwach — hałas, zamieszanie.

¹⁴⁴co (gw.) — tu: że.

¹⁴⁵bajtała — gaduła, kłamczuch.

¹⁴⁶fara — kościół parafialny.

— Gadaj no, dziecko, przyjrzałeś się też onemu dobrze? Poznałbyś go?
 — Jesce by nie! Juzem go dziś widział w lesie nad rzeką; a teraz, miesiąc mu świecił prosto w twarz, od razum poznał, ze ten sam.
 — Jakże wygląda?
 — Ano, duży, ciemny na gębie, broda carna...
 — Wybornie! — przerwał któryś z ludzi — a jak był odziany?
 — Nicem cudak abo¹⁴⁷ carownik — odpowiedział Wawrzus. — Opońca z kapturem, kapelus z muselkami.
 — Pielgrzym! Pielgrzym! — zawołało kilkoro na raz.
 — A jakże, był tu taki przed wieczorem!
 — I ja go widziałem!
 — I ja!
 — I ja!

Wszyscy obecni zaczęli sobie opowiadać, gdzie który spotkał pielgrzyma; byli tacy, co rozmawiali z nim nawet. Inni widzieli, jak wchodził do kościoła.

— Aha... — zawołała jakaś dziewczyna — schował się pewnikiem do kąta i dał się zamknąć.

— Słusznie. Ino krótkie miał odzienie, wyraźnie widziałem.
 — Nic dziwnego, szeroki płaszcz zawadzałby mu przy wyłożeniu oknem.
 — Aha, aha, jesce cosik! — zakrzyknął nagle Wawrzus.
 — No, co?
 — Ucha nie miał... lewego.
 — Co? Ucha nie miał? To ci dopiero!
 — Ano, po takim znaku od razu poznać.

Z drugiej strony rynku spieszo szedł burmistrz, za nim sześciu ceklarzy, czyli straż policyjna. Do ceklarzy przyłączyli się stróże nocni i prawie cała męska ludność miasteczka. Podzielono ich na trzy oddziały i domyślając się, że zbrodniarz najprędzej będzie uciekał ku lasowi, bo tam w nieprzebytych gąszczach skryć się łatwo, a pościg prawie niemożliwy, rozkazał pan burmistrz zabiec mu z trzech stron i przeciąć drogę do lasu.

Wyruszyli z latarniami i z pochodniami, bo jak na złość księżyc przysłoniły chmury.

— Rozstąpcie się, ludzie! — zawołał ktoś w tłumie — ksiądz idzie!

Proboszcz z gołą głową biegł na przełaj ku kościołowi; stary zakrystian z latarnią w rękę, nie mogąc mu nadążyć, przystawał w tyle zadyszany.

— Usunąć się ode drzwi!

Ksiądz wyjął klucz z kieszeni i drżącą ręką ciężki zamek otworzył. Pilno mu było sprawdzić co najważniejsze, czy świętokradca nie tknął i nie rozsypał komunikantów. Burmistrz pospieszył z nim. Pokazało się, że cyborium¹⁴⁸ było nie naruszone; proboszcz odetchnął spokojniej. Skarbczyk, zaryglowany grubą żelazną sztabą i zamknięty na dwie klódki, znaleziono także w całości, złodziej zabrał tylko to, co było na wierzchu w zakrystii: dwa kielichy przygotowane do mszy świętej na jutrzejszy odpust, relikwiarz¹⁴⁹ złoty i takąż monstrancję. Szukając po szufladach, wywłócił aparata¹⁵⁰ kościelne i rozrzucił je po podłodze. Szkoda była znaczna, ale w skarbcu znajdowały się klejnoty i złote naczynia dziesięćkroć większej wartości. Jeszcze nie posprząтали z podłogi wszystkich kap i ornatów, gdy uszu ich doleciały wściekle wrzaski. Wybiegli z kościoła.

Tłum, kilkaset głów liczący, prowadził pojmanego złoczyńcę. Gdyby nie ceklarze i stróże nocni, którzy go wzięli między siebie, poszarpano by go żywcem na sztuki. Łagodna, raczej ospała ludność miasteczka, popadłszy w szał, zdolna była do najsroższego okrucieństwa.

— Pasy drzeć z lotra! — wołano.
 — Oczy wylupić!
 — Ręce odrąbać świętokradcy!
 — Na gałąź!
 — Żywcem spalić!

¹⁴⁷ *abo* (daw.) — albo.

¹⁴⁸ *cyborium* — tabernakulum, puszka a. szafka do przechowywania komunikantów.

¹⁴⁹ *relikwiarz* — naczynie, w którym przechowuje się relikwie, tj. pamiątki po świętych.

¹⁵⁰ *aparata* (daw.) — sprzęty.

Z wysokości schodów kościelnych proboszcz krzyknął gromkim głosem:

— Spokój! Milczeć!

Najbliżsi usłyszeli rozkaz, posłali go wstecz, strażnicy ze swej strony uciszali rozhukaną zgraję, szumiało jeszcze i wrzało kilka minut, wreszcie zmęczeni się i umilkli. Burmistrz, stanawszy obok proboszcza, zawołał:

— Dość tych hałasów! Zbrodniarzaście pojmali, a sami sprawujecie się jak zbóje. O cóż krzyczycie? Wszak stoi skępowany przed wami; jutro odwiezie go straż do grodu, sędziowie wydadzą wyrok sprawiedliwy, topór go nie minie, to pewna. Tedy nie szukajcie na nim pomsty, a zachowajcie spokój.

Tłum oprzytomniał i usłuchał. Nieznajomy, którego mimo pęt na rękach trzymali za ramiona dwaj ceklarze, skorzystał z chwili ciszy i usiłując pokłonić się burmistrzowi, rzekł tonem zupełnie spokojnym:

— Zezwólcie, miłościwy burmistrzu, abym — niewinny człowiek, rzeknął słowo w swej obronie.

Groźne okrzyki zaczęły się wyrwać z tłumu.

— Uciszcie się; niech mówi — nakazał burmistrz.

— Szedłem ulicą miasta — mówił nieznajomy — szedłem powoli, zmęczony długą drogą; nie w myśli mi było uciekać ni kryć się; szukałem noclegu, a wszystkie domostwa były pozamykane. Tedy chciałem zapytać pierwszego lepszego przechodnia, gdzie plebania, i księdza proboszcza prosić o kąt i wiązkę słomy, a jutro rano byłbym poszedł dalej, bo do Krakowa zdążam. Aliści, pogrążonego w myślach, napadli ze srogimi okrzykami zbrojni ludzie, skępowali do krwi i włoką niczym mordercę, gdy nawet nie odgaduję, o co mnie oskarżają.

— Oho, wilk w baraniej skórze! — krzyknął stary jakiś mieszczanin.

— Po drodze — mówił dalej pojmany — wyrozumiałem coś niecoś, domyślam się, że popełniono tu kradzież. Zali¹⁵¹ jedną nitkę cudzą mam na sobie? Ubogi jestem, głodny, bezdomny, ale uczciwy. Rozkażcie, panie, aby mnie puszczono wolno.

Jeszcze domawiał ostatnich słów, gdy z ulicy najbliższej rogatek wybiegło dwóch wyrostków z radosnymi okrzykami:

— Znaleźliśmy święte sprzęty, wielbny panie!

— Jest wszystko! Porzucił bezecnik pod płotem!

— A co? A co? Jeszcze teraz będziesz świętego udawał? — krzyknął mu ktoś nad samym uchem.

— Czyli¹⁵² zaprzeczam, że była kradzież? — odparł, ruszając ramionami. — Złodziej uciekł, a niewinnego dręczycie.

— O ludzie... gdzież macie upamiętanie! — krzyknęła ta sama kobieta, która najpierwsza wypytywała Wawrzusia. — Ady zawołajcie dziecko, to nam powie, zali tego widział w kościelnym oknie abo inszego.

— A prawda... święte słowa!

— Dawajcie chłopaka!

— Nie ma go!

— Pewno do domu poszedł!

— Nie, skrył się za przymurek. Chodź tu, chodź, czego się boisz? Zbój związany.

Przyprowadzono Wawrzusia przed oblicze pana burmistrza, ten go ujął za rączkę i rozkazał przywieść bliżej pojmanego. Jeden z ceklarzy oświecał go latarnią.

— Przypatrz się dobrze; znasz tego człowieka?

— Nie znam go.

— Widzi wasza wielmożność... dziecko chyba nie kłamie! — tryumfująco zawołał obcy.

— Więc nie jego widziałeś spuszczonego się oknem z kościoła?

— Juści¹⁵³, ze jego.

— Czemuż tedy gadasz, że go nie znasz?

¹⁵¹zali (daw.) — czy, czyż.

¹⁵²czyli — tu: czyż.

¹⁵³juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

— Bo prawda. Wiem ja, kto to taki? Dziś w lesie pirsy¹⁵⁴ raz w życiu go widziałem. To jakoż mam świadczyć, co go znam?

— Zaspanego, głupiego brzdąca robicie moim oskarżycielem — z goryczą rzekł pojmany. — Zaiste, bezpiecznie podróżnemu przechodzić przez to sławne miasto.

— Powiedz prawdę, możeś niedobrze widział, może ci się ino zdaje? Może to był ktoś podobny, a nie ten sam? — badał burmistrz Wawrzusia.

— Cóż mi się ma zdawać? Sami se obaccie, cy ma oba usy. Złodziej nie miał lewego. Stary Mikołaj odgarnął ręką długie włosy nieznajomego.

*

Gdy straż odprowadzała świętokradcę do tymczasowego więzienia w podziemiach ratusza, zbrodzeń odwrócił głowę i długie spojrzenie, straszny wzrok wilka schwytanego w samotrzask, utkwiał w twarzy Wawrzusia. Górna warga drgnęła, błysnęły zęby...

— Do widzenia, malutki¹⁵⁵... — rzekł półgłosem. Wawrzus nagłym ruchem podniósł łokieć ponad głowę i przerażoną twarz wtulił w fałdy rękawa. Gdy znowu spojrzał na świat, pielgrzyma przed nim już nie było. Zakrywał go tłum odprowadzający więźnia do lochu pod ratuszem.

Długo jeszcze na rynku roiło się jak w mrowisku; rozbudzeni ludzie żywo rozprawiali o zbrodni i zbrodniarzu.

— Naści, możeś ty nie wieczerał — odezwała się do Wawrzusia ta sama kobiecina, wtykając mu w garść skibkę chleba ze serem. Dzieciak nie podziękował nawet, rzucił się zgłodniały na jadlo. Z podwiniętymi pod siebie nogami usiadł na garstce rozrzuconej słomy i zmiatał, aż mu się uszy trzęsły. Gdy zaspokoił pierwszy głód, oczy zaczęły mu się kleić i zasnął, sam nie wiedzący kiedy.

Spał długo, ale niespokojnie; zwidywały mu się straszliwe oczy świętokradcy, to znów chciał przez sen uciekać przed nim, nogi wrastały mu w ziemię, a pielgrzym, doganiając go, już, już sięgał mu karku.

Z krzykiem zerwał się na równe nogi i nieprzytomnym wzrokiem potoczył dokoła. Cały rynek, pełen ludzi, pogrążony był w ciszy, wszystko spało, choć świtał już błądy brzask.

Nagle od ratusza doleciało zrazu kilka, potem cały chór zmieszanych głosów. Nad wszystkimi górował bas Mikołaja. W miarę jak się ludzie przy wozach budzili, gwar i zamęt wzmagął się i zbliżał. Coś się stało... Ale co?

Wawrzus nie pojmował. Wytrzeszczył zaspane oczy, otworzył szeroko usta, słuchał...

— Ij... głupie gadanie... — mówił ktoś lekceważąco — przecie drzwi na sztabę zasuwane.

— Jak to, gadanie? Wszak sam stróż Mikołaj...

— Śniło się Mikołajowi.

— Krata w oknie przepiłowana! — krzyknął, dobiegając, ktoś trzeci.

— Skądże znowu? Krata gruba.

— Musi piłeczkę zasnę miał przy sobie to i przerznął.

— Ale że to Mikołaj zdolił¹⁵⁶ spać tak twardo...

— Stary człek; zresztą, komu by przez myśl przeszło...

— I tak prędko? — zdziwiła się jakaś kobieta.

— Ano miał ze trzy godziny czasu.

— Posłali za nim ceklarzy?

— Ciekawość gdzie? W puszcę? Kamień w wodę.

— Rety... jak się burmistrz dowie!

— Ee... płakać nie będzie. Szkody w świętych naczyniach nie ma, dy¹⁵⁷ Mikołajowi głowy nie zetnie.

— Ale psi syn sprawny!

— Wiadomo, z diabłem w zmowie.

¹⁵⁴pirsy (gw.) — pierwszy.

¹⁵⁵malutki (gw.) — malutki.

¹⁵⁶zdolić — zdołać, dać radę.

¹⁵⁷dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

— Słyszycie, ludzie? Złodziej uciekł w nocy oknem! — zwiastował nowinę kościelny, wlokąc się ślamazarnie na plebanię.

— Ejże? Naprawdę? — ze śmiechem przyjęto jego słowa. — Ale co gorsza, że króla Popiela myszy zjadły!

— Cha, cha, cha, cha!

Wawrzus patrzył, słuchał... w głowie mu się zawracało... serce dzwoniło na trwogę, a w uszach brzmiały dwa straszne słowa: „Do widzenia, małučki”.

U WIELÓW¹⁵⁸

Królewna i diabły. — Brzuchomówca. — Pan Prot funduje piwo. — Margosia na linie. — Wawrzus do góry nogami. — Koza Beksa i bat Grzegorza. — Czemu „zbyrkała” płachta u wozu.

Wawrzus otworzył oczy. — A ja gdzie? — zapytał głośno. W pierwszej chwili jakoś nic a nic nie pamiętał. Że mu jednak wcale nie chodziło o dociekanie prawdy, leżał sobie wyciągnięty na słomie, worek z owsem pod głową, i przypatrywał się. A było bardzo dużo ciekawych rzeczy do widzenia: najpierw, jako porządny gospodarski syn, zauważył trzy doskonale utrzymane konie, chrupiące obrok tuż obok niego, a na ziemi leżała śliczna biała koza, o długiej, krętej wełnie. Dalej w rynku, gdzie wczoraj w nocy widział mnóstwo powyprzęganych wozów, dziś zobaczył dwa szeregi straganów, a o ile mógł dostrzec ze swego kącika, różne cuda rozłożone były na tych straganach. Tuż niedaleko garncarz miał swoje wyroby, dalej koszyków moc niezliczona, obok koszykarza szewc ustawił i rozwiesił kilkadziesiąt par butów, ciżem i ciżemek w różnych kolorach.

„O raju... a to ci żółte jak słoma w słońcu! — westchnął Wawrzus, wpatrując się z zachwytem w parę trzewiczków zawieszonych rzemykami na drążku i chybotających się w prawo i w lewo. — Zeby tak matusia tu byli, poprosiłbym... oni tacy dobrzy... kupiliby mi te ciżemki. Jakże to nosy długie mają, czuję, że prawiutko byłyby na moją nogę”.

Ziewnął głośno, przewrócił się na prawy bok i przymknął oczy. Po tyłu przygodach należał mu się jeszcze wypoczynek.

— Jego miłość już się zbudził — zaświergotał mu nad głową jakiś cienki głosik.

Popatrzył w górę. Przy olbrzymim wozie, trzy razy przynajmniej większym od innych, grubą płócienną budą krytym, stała śliczna dziewczyna. Wianuszek z jaskrawych kwiatków miała na ciemnych włosach, koszulkę białą z krótkimi rękawami, gorsecik zielony jak sama trawa, czymś błyszczącym suto wyszywany, i taką samą strojną, króciutką spódniczkę. Na nogach ciżemki żółte.

„Oj, oj... nie będę się rusać, niech mi się tak śni jak najdłużej... ślicności królowna!”

Dziewczyna wplatała srebrny galonik¹⁵⁹ do warkocza i śmiała się w głos:

— A to ci śpioch dopiero! Ludzie od niepamięci świata już pośniadali, a ten chrapi i chrapi... Nie głodnyś?

— Wolno gadać do jasnej królowny?

— Idźże, głuptasku... takam ja królowna, jako ty królewic. Margośka mi jest i tyła. Matka... ocieć! — zawołała, przytykając usta do szpary w budzie — bo ten mały już wstał.

— Przyprowadź go, niech co zje — odezwał się ktoś z głębi wozu.

— No, wstawaj i chodź, bo potem nie będzie czasu myśleć o tobie.

Uchyliła trochę zwisającej płócienną płachtę, weszła po schodkach do wnętrza wozu i pociągnęła chłopca za sobą. Dobrze, że go trzymała za rękę, bo się tak zachnął gwałtownie, że byłby spadł ze schodów na wznak i potłukł się porządnie: O ile Margosia na pewno była królowną, choć się nie chciała przyznać, to znowu te dwie postacie, które ujrzał w tym dziwnym wozie, co był domem, czy w tym domu, co był wozem, musiały przyjść na ziemię prościuteńko z piekła.

W głowie mu się mąciło...

Jedno grube a krótkie, odziane po cudacku, prawy rękaw czerwony, lewy żółty; prawa nogawica szara, lewa biała w czarne koła. Sam kubrak pasiasty jakiś, jakby węże po nim łaziły... ale to wszystko jeszcze nic naprzeciw ohydnej gęby! Ani ściana nie taka biała, jak twarz owego grubasa... po niej plamy, jakby kto palec we krwi umaczał i pacnął tu

¹⁵⁸wiła — błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata.

¹⁵⁹galonik — tasiemka, wstążeczka.

i owdzie; włosy... albo to włosy? Rude klaki obmierzłe. To drugie znowu, co stoi w kącie, czarne jak smoła; gęba i włosy, i całe odzienie. A królowna wcale nie ucieka, tylko się śmieje i gada z nimi po cichu.

„O Matko Święta... dziękuj Ci! Jakasi zwyczajna kobieta stoi przy piecu i z garnka na miseckę strawy ulewa. Ukroiła chleba, odwraca się... ady¹⁶⁰ ja ją wczora w nocy widziałem!”

— Cóż, małućki parobeczku — przemówiła kobieta do Wawrzusia — dobrze ci się spało? Zbój się nie przyśnił?

Odważył się o jeden krok postąpić.

— O moiściewy¹⁶¹... — szepnął — ulitujcie się nade mną biednym, wyprowadźcie mnie stąd zaraz! Juz ani jeść nie chce, byłem na one diabły nie patrzył.

Choć starał się mówić jak najciszej, Margosia, stojąca tuż, usłyszała ostatnie słowa i rozchichotała się, aż na ławie przysiadła.

— Nie bój się, nie bój, chi, chi, chi... słyszeliście, tatusiu, co on gada? Myśli, żeście wy diabeł i Froncek też... chi, chi, chi... bo mnie kolki chycą!

A starsza kobieta pogłaskała dziecko, podprowadziła je do piecyka i rzekła głosem łagodnym:

— Jedz, synku, z Panem Jezusem, a niczego się nie bój; ci dwaj w kącie to ludzie, tacy jako i my; ino sztuki będą pokazywać¹⁶² na rynku po sumie¹⁶³, to się musieli przebrać i gęby se usmarowali. Jak się potem umyją, to zobaczysz, że wcale nie straszni.

— Stuki? Na co stuki?

— Takiś duży wyrósł i o wilach nie słyszałeś? — spytał go długi, czarny diablík.

— Jako życie nie słyszałem; ani w Porębie takich nie było.

— Widzisz, jak to dobrze, żeś się do nas dostał, zaraz się czegoś ciekawego dowiedziałeś — dodał starszy.

— E... co mi ta o to, nicegom nie ciekawy, ino kaj¹⁶⁴ Poręba. Tyle ludzi na jarmarku, nie ten, to insy odwiezie mnie do tatusia.

— A jakże, słusznie; ino co masz po ludziach chodzić, nie mogłeś lepiej trafić jak do nas, my właśnie zaraz jutro jedziemy do Poręby.

— Zaraz jutro? Aj dobrze, dobrze! Juz trzeci dzień się błąkam, sam bym nijak nie trafił.

— A widzisz? Ale za to musisz krzynę odsłużyć.

— Juści, ze odsłużyć, byłem ino zdolił¹⁶⁵.

— Łatwa służba, nie bój się. Przystroję cię bogato, bo takiego brudasa wstydziłbym się ludziom pokazać, i będziesz się kręcił wedle nas, jakobyś i ty sztuki pokazywał. Potem pójdziesz z Margošką między naród z miseczkami, a ludzie wam będą rzucać denary¹⁶⁶.

— Na co denary?

— Na to, abyśmy jutro głodem nie przymierali i konie popaśli. Zjadłeś? Idźże na plac, do studni, i umyj się. Margoś, naciągnij mu wody.

Stary pochylił się do ucha dziewczyny i szepnął:

— A dawaj pozór¹⁶⁷, coby¹⁶⁸ ci nie umknął.

Mało jeszcze ludzi było przy straganach, wszyscy prawie mieszkańcy miasteczka znajdowali się na nabożeństwie w kościele. Margosia z Wawrzkiem przemknęła pomiędzy wozami, przypilnowała go, żeby się dobrze wyszorował, i czym prędzej wróciła do buddy, nie chcąc się przed czasem ludziom pokazywać. Ojciec z Fronkiem także korzystali z małego ruchu na rynku; w miejscu wyznaczonym wczoraj przez pisarza miejskiego rozciągnęli wielki kobierzec, z kilku połatanych kilimków pozszywany, w pośrodku ustawili

¹⁶⁰ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

¹⁶¹moiściewy (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

¹⁶²pokazywać (gw.) — pokazywać.

¹⁶³suma — uroczysta msza.

¹⁶⁴kaj (gw.) — gdzie.

¹⁶⁵zdolić — zdołać, dać radę.

¹⁶⁶denar — Najmniejszą monetą za Kazimierza Jagiellończyka był denar, którego 18 sztuk na grosz czeski.

[przypis autorski]

¹⁶⁷dawać pozór — uważać, pilnować.

¹⁶⁸coby (gw.) — żeby.

stół na kobylicach, pod stołem rozmaite przybory gimnastyczne i inne potrzebne sprzęty. Matka przywdziała czerwoną chustkę na głowę i świeży fartuch i ledwie pierwszych kilkoro ludzi wyszło z kościoła, dały się słyszeć od strony wozu linoskoczków przeraźliwe jakieś tony, bicie w bęben i odgłos dzwoneczków. Froncek to, stojąc na stole, dał co siły w piszczałkę, matka waliła w bęben, a Wawrzuś, cały w atlasach i złocistych blaszkach, potrząsał z największym zapalem grzechotką obwieszoną dwudziestoma dzwoneczkami.

Kościół opróżnił się już po sumie, a na rynku zaroilo się od ciekawych i kupujących. Tu biegły dzieci po pierniki, od roku z utęsknieniem oczekiwane, tam parobczak wybierał dla swej dziewczuchy pierścione z oczkiem, starsze kobiety przymierzały krasne chustki, dziewczęta wiązały na szyję paciorki; inne, bogatsze, obstępowały stragan krawiecki i targowały gorsety lub zapaski, w powietrzu unosiła się woń przysmażanych kiszek, kiełbas i flaków; gwar, śmiechy, kłótnie przy targu, a wśród tego wszystkiego kocia muzyka linoskoczków, rżenie koni i naszczekiwanie psów.

— Ludzie, ludzie... chodźcie patrzeć... wily będą sztuki pokazywać! — zachęcali się młodzi między sobą. Żartowali i drwili jedni z drugich, a jakoś nikt nie chciał przybliżyć się pierwszy do szkaradnie pomalowanych pajaców.

— Chodźże, Jagna, chodź! — zachęcał siostrę kuchcik pana burmistrza — to wszystko ino udanie; jeden posmarował gębę na czarno, drugi na biało, bo taki zwyczaj u nich; ale się bać nie trza, nikomu nic nie robią.

— To ino takie błazny głupie — pouczał swych towarzyszy starszy czeladnik ciesielski. — Czasami warto widzieć, jak dokazują. Tak rok, w Mogile byli, ale nie ci sami; zresztą kto ich ta pozna, wily przejęte.

— A jak nas urzekną? — spytała Marysia organiścianka, zasłaniając oczy różkiem zapaski.

— No, no, byleś ino ty kogo nie urzekła... — rozśmiał się Stach, jeden z ceklarzy, starający się o względy Marysi.

— A ja wam powiadam, że to są czarowniki... — zawyrokowała przyciszonym głosem faryniarka¹⁶⁹ Wajdzina, nabierając drewnianą warząchwią gorących flaków dla jego miłości pana Prota, majstra bednarskiego.

— Ile? Cztery denary? Garnuś flaków na dwa razy do gęby, i zaraz cztery denary? Słyszane rzeczy? Ani tego żywot¹⁷⁰ nie poczuje.

— Kiedyście bednarz, to se kaźcie obręczami żywot ściągnąć, coby poczuł. Niech mnie one¹⁷¹ wily sądzą, nie boję się; półkwarcie¹⁷² flaków za cztery denary, jeszcze i z przyczynkiem¹⁷³! Idźcie do Gawlikowej, rada bym użreć¹⁷⁴, ile wam da za osiem!

Jegomość pan Prot zamilkł pokonany, wyskrobał miseczkę co do żdziebelka, otarł wąsy i poszedł patrzeć na kuglarzy¹⁷⁵. Przykład osoby tak poważnej i poważanej podziałał zachęcająco na innych: pojedynczo i gromadkami zaczęli się ludzie schodzić, wreszcie, tłocząc się głowa przy głowie, stanęli tuż przy scenie, czyli przed rozesłanym kilimem.

— Sławetni mistrze¹⁷⁶ wszelakich cechów, szanowna czeladzi rzemieślnicza... urodziwa młodzieży płci obojga... wasze miłości panowie gospodni z małżonkami! *Gregorius Hipopotamus*, magister sztuk wyzwolonych i karkołomnych, wita was!

Tak rozpoczął przedstawienie stary Grzegorz, głowa rodu linoskoczków. Właściwie nie był on jeszcze starym, tylko ze względu na syna sam się tak przezwiał.

— Zezwólcie, wasze miłości, że dla nabrania sił do pracy, muszę się nieco pokrzepić... nie śniadałem¹⁷⁷ jeszcze.

To mówiąc, wyciągnął zza pasa długi nóż, ostro zakończony, i przechylając w tył głowę, wsadził go sobie do gardła aż po rękojęść.

Szept grozy przeleciał wśród widzów, a magister Gregorius wyjął z ust kordelas, ukłonił się z wdziękiem na trzy strony, pogładził się po żołądku, mlaskając językiem, i podał

Artysta

Zabawa, Obyczaje

¹⁶⁹faryniarka — właścicielka loterii, kramarka.

¹⁷⁰żywot (daw.) — brzuch, żołądek.

¹⁷¹on, onego (daw.) — te, tego; tu M. Im one: te.

¹⁷²półkwarcie — ok. 0,5 litra a. półlitrowe naczynie.

¹⁷³przyczyniek — dokładka.

¹⁷⁴użreć (gw.) — zobaczyć; rada bym użreć — chętnie bym zobaczyła.

¹⁷⁵kuglarz — wędrowny aktor, zongler, sztukmistrz.

¹⁷⁶mistrze — dziś popr. forma M. i W. Im: mistrzowie.

¹⁷⁷śniadać (daw.) — jeść śniadanie.

nóż pierwszemu parobkowi z brzegu do obejrzenia, że jest prawdziwie stalowy i mocno wyostrzony.

— Może kto spróbuje... proszę bardzo... nie? Ha, to ja jeszcze raz lknę sobie tego kordiału za zdrowie przezacnego zgromadzenia.

I powtórzył sztukę po raz drugi.

— Teraz, gdy się czuję dziwnie wzmocnionym i rześkim, jakby mi dwadzieścia lat ubyło, rad będę okazać sławetnemu zgromadzeniu skuteczność pożywnego śniadania. Hej, Froncek! Przynieś no tu antałek piwa spod wiechy¹⁷⁸... słyszysz?

Czarny diablik poskoczył do najbliższej szynkowni, wrócił dźwigając z wielkim wysiłkiem sporą dębową beczułkę i postawił ją przed ojcem na stole.

— Zanim się wezmę do pracy, miło mi przedstawić waszym miłościom dziecinę płci męskiej, cudownie od urodzenia uzdolnioną. Oto jest *Franciscus bipes nero*¹⁷⁹! Gdy miał dzień życia, już się zapijał... mlekiem; skończywszy pięć lat, chodził niegorzej, a w dzieciach gadał jak stary. Co najwięcej podziwu godne, że tak hojnie obdarzony od natury, wychował się zdrowo i żyje do dnia dzisiejszego. Froncek... pokłoń się państwu, a pięknie!

Chłopak odbił się nogą od ziemi, obrócił się w powietrzu jak fryga, magnął¹⁸⁰ z dziesięć koziołków, po czym wymaszerował na rękach do budy.

Grzegorz ujął baryłkę dwoma palcami za brzeg ponad dnem wystający i kilka razy wywinął nią młynca.

— Ho, ho! — zawołała jakaś kobieta z tłumu — antałek¹⁸¹ próżny, niewielka sztuka.

— Ja sam widziałem, że karczmarz próżny dawał! — ze śmiechem krzyknął ktoś drugi.

— Za łaską waszych miłościów — z obrażoną miną rzekł kuglarz — i próżnym antałkiem migać w kółko, trzymając go w dwóch palcach, nie tak łatwo, jak się zdaje; a dopiero pełnym. Kto mi zaprzecza, jakoby w baryłce piwa nie było?

Majster Prot, opierając się na słowach owego, co widział, że antał próżny, podniósł rękę.

— O zakład!

— Zgoda!

— Kto przegra, ten wiadro piwa zapłaci; ja albo wy.

— Dobrze!

— Dawajcie dzbany i szklance!

Przyniesiono; Grzegorz odszypuntował i nalawszy do dzbanów, uprzejmie częstował zgromadzenie. Wszyscy pili ze smakiem i śmiali się z pana Prota.

— A... bo czego tamten krzyczał głupstwa, jak nie był swego pewny? I podział się gdzieś albo cicho siedzi, bo go wstyd.

— Cale¹⁸² mi nie wstyd, stoję przy was.

— Gdzie? Kto?

Majster Prot obejrzał się ze złością, chcąc pomścić wyśmiewiska ludzkie i koszt poniesiony, ale tuż przy nim stało dwoje małych dzieci, trochę dalej Stach z Marysią, zagadani i o bożym świecie nie wiedzący, a z tyłu Damian Jemioła z małżonką, kumotrowie a przyjaciele majstra Prota.

— Ciekawość, gdzie stoi, kiej nikogo nie widzę.

— Włazłem do waszej kieszeni! — odezwało się coś przyciszonym głosem.

— Czary! Diabli!

— Diabelskie psikusy!... — zaczęto wołać ze strachem; niejedni by rad uciekli, ale w ciżbie trudno się było wycofać.

Aż tu nagle pan pisarz, stojący również w pierwszym rzędzie, uderzył się ręką w czoło i parsknął śmiechem.

— Juści... zaraz czary! Brzuchomówca i tyle! Owa baba, co gadała, i ten drugi, i to, co w kieszeń wlało, wszystko on sam gadał.

¹⁷⁸*spod wiechy* — z karczmy, której znakiem rozpoznawczym była wiecha, tj. wiązanka gałęzi lub małe drzewko, przybrane i przybite nad wejściem.

¹⁷⁹*Franciscus bipes nero* (łac.) — dwunogi czarny Franciszek.

¹⁸⁰*magnąć* (gw.) — fuknąć.

¹⁸¹*antałek* — beczułka.

¹⁸²*cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

Magister Gregorius popatrzał na publiczność z dumą i zadowoleniem i złożył nowy ukłon na trzy strony.

Śmiechu i oklasków było co niemiara. Przywołano Froncka, fikał, brykał jak opętany, toczył się po kobiercu zwinięty w kłęb; ani dopatrzyć, gdzie głowa, a gdzie nogi! Potem Wawrzek podawał mu różnokolorowe piłki, a on ich dziesięć wyrzucał w powietrze, łapał zręcznie i znowu rzucał, żadna z dziesięciu nie spadła ani razu na ziemię.

Na zakończenie uwiązano linę do rynny na piąterku zajazdu „Pod Żółtą Gęsią”, przeciągnięto skośnie do rynny na takiej samej wysokości po drugiej stronie placu i naturalnie magister Gregorius uprzedził sławetne zgromadzenie, że córka jego Margarita, dziewczka wdzięczna ku wejrzeniu a cnotliwa, przejdzie po linie z jednego końca na drugi, po czym wróci na powrót, cofając się.

Hucznymi oklaskami przyjęto tę zapowiedź, a on dodał poważnie:

— Raczą wasze miłości nie dziwować się głośno ani biciem rąk okazować swej uciechy, dopokąd się ta arcyniebezpieczna sztuka nie skończy; tu chodzi o życie.

Głos kuglarza drżał trwogą o ukochane dziecko... pobielana twarz wyglądała brzydko i śmiesznie.

Froncek wyprowadził Margosię na kobierzec, ukłoniła się publiczności, szczerząc białe ząbki, po czym pobiegła oboje „Pod Żółtą Gęś”. Dziewczyna ukazała się w otwartym oknie, stanęła na wyprężonej linie, z drążkiem w rękach dla utrzymania równowagi, i powoli, sztywna, jakby drewniana, nie patrząc w dół, ale prosto przed siebie, zrobiła parę kroków. Małe nóżki stawiała zręcznie i ostrożnie...

Wawrzus nie rozumiał wcale, co miały znaczyć przygotowania z liną; dopiero gdy zobaczył królowną, stającą po sznurze jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, wrzasnął, jakby go nożem krajano, i puścił się pędem ku zajazdowi, nie wiedział po co, zapewne ratować ją od śmierci. Jakaś twarda ręka chwyciła go za kołnierz, a jeszcze twardszy głos szepnął mu w ucho:

— Stój i milcz, raku przejęty! Jak się będziesz darł, przestraszysz dziewczynę, spadnie i zabije się. Ani mi piśnij, bo cię w szmaty potargam!

Dziecko zatkało buzię rękoma i stało jak martwe, z oczami w Margosię utkwionymi, śledząc każde jej poruszenie. Ojciec grał na piszczalce jakiś marsz dziki, ale bardzo rytmiczny, matka uderzała w bęben, dziewczyna szła po linie jak lunatyczka, stawiając nóżki do taktu, bo w ten sposób łatwiej utrzymywała równowagę. Gdy już stanęła w przeciwnym oknie, usiadła na futrynie i odpoczywała. Była bardzo błada.

Po chwilce stanęła znów na linie, ale odwrócona do niej plecami, i rozpoczęła powrót, cofając się krok za krokiem. Serca patrzących były na wyścigi z tamburinem matki i piszczalką ojca.

Jeszcze dwa kroki... jeszcze jeden... już wszystko dobrze!

Teraz dopiero zahuczał rynek oklaskami i krzykiem tłumu, aż mury domów echem odpowiadały. Wawrzus przykucnął na ziemi i wstrzymywany tak długo strach o królowną wyrzucał z siebie głośnym szlochaniem.

— No, wstawaj... masz tu szmatę, otrzyj se ślipie — burknął półgłosem Grzegorz.

— Nie mówiłem ci, że będziesz zbierał denary z Margośką? No, rusz się!

Trzeba się było uwijać, zanim publiczność ochłonie z zapалу. Margosia cała w pąsach, z uśmiechem, wzięła ze stołu przygotowane już na ten cel talerzyki, jeden dała Wawrzekowi i kazała mu iść za sobą. Widzowie znaleźli się wcale przyzwoicie, mało kto umknął cichaczem, nie rzuciwszy denara. Dziewczyna śpiewała przy tym wesołe ludowe piosenki, to znów przerywała sobie w pół wiersza, by pożartować z jednym, drugim; ładna jej twarzyczka i dowcipne słówka zjednały jej przychyłność wszystkich. Na talerzyku rosła góra miedziaków, gdzieniegdzie przeświecały srebrne pieniążki. Wawrzus nadstawił swoją miseczkę, ale nikt na niego nie zważał; dopiero jakaś litościwa mieszcza użaliła się zaczerwienionych oczu dziecka i rzuciła mu trojaka.

— A czego to płaczesz, mały?

— To mój braciszek, dopraszam się waszej łaski — prędko odpowiedziała Margosia — pewnikiem co przeszkrobał i tatuś mu dali w kark; ale to u nas chleb powszedni, widzicie, już się śmieje.

Niebezpieczeństwo

Istotnie, myśl, że miałby być braciszkiem królowej, wydała się chłopcu tak zabawną, że roztworzył¹⁸³ buzię i pokazał wszystkie zęby.

— Sławetne państwo, dorzucicie i dziecku jakich parę miedziaków; dostanie karę, jak z niczym wróci.

Sprzątnięto kuglarskie przybory, deski i kobylice¹⁸⁴ schowano do wozu; Grzegorz i Froncek umyli się, przebrali w suknie codzienne i wyszli pogapić się na jarmark. Poważny, otyły człek w szaraczkowym¹⁸⁵ żupanie¹⁸⁶ wyglądał raczej na handlarza nierogaczyny niż na wilę-pajaca. A z Froncka taki był urodziwy parobeczek, aż coś dziewczętom oczy ku niemu ciągnęło; ani gadania, żeby to był ten sam, co kozły magał i czarnego diabła udawał. On też umyślnie tak się smolił i szpecił, żeby go później nie poznawano.

— Dobrze matka zrobiła, że dziecko przyprowadziła wczoraj spać przy naszym wozie — rzekł stary do syna — tyś już za duży, koza cię nie udźwignie, a takie małe ino przyuczyć, będzie fikało aż hej.

— Matka nie zgodzą się — odpowiedział syn — dy mówili dziś rano, że trzeba dziecko odprowadzić na plebanie, to go proboszcz odeśle do domu.

— Juści proboszcz tyle wie, co i my, gdzie go odeśle? Pogadam z matką na wyrozumienie. Abo to chłopcu krzywda u nas będzie? Poje se po uszy, a zechce, to i wyżej uszu, nie narobi się, ino tyle, co naukę odprawi z godziną co dzień.

— Aha, i co baty brać będzie — rozśmiał się Froncek.

— Bez bata nic — rzekł ojciec sentencjonalnie — i tyś brał bicie do krwi nieraz.

— Oj, brałem, brałem!

— No i co? Kości masz całe, wyrosłeś jak chabina, sztuki pięknie pokazujesz, krzywda ci?

— Żadna dziewczucha wily za męża nie zechce.

— Głupis... a matka mnie zechciała? Zresztą, co tu gadać, pożyj¹⁸⁷ ino, czy aby jedna przejdzie, co by się nie ośmiała¹⁸⁸ do ciebie. Każde rzemiosło dobre, byle chleb dało. Tędy wyjedziemy stąd dziś na noc, jutro popas w Księżej Wólce, a pojutrze przedstawienie w Miechowie, bo tam właśnie przypada kiermasz. Trzeba chłopca przez jutro poduczyć, coby choć na rękach pobiegał. Dasz rady?

— Jak będzie chętny, czemu nie; chodzić na rękach całe nie sztuka.

— Pogadaj z nim mądre słowo; postrasza go mną, to usłucha.

Jak stary Grzegorz zarządził, tak uczyniono: przed samą nocą wyjechali z miasteczka, matka z trojgiem młodych w budzie, ojciec na koźle, biała koza na postronku za wozem. Wczesnym rankiem dotarli do ślicznej polanki w lesie; Grzegorz wyprzągł konie, rozpalono ognisko, Margosia przyniosła wody z rzeczki, matka gotowała śniadanie, a Froncek zakrzętnął się około Wawrusia i pierwszej lekcji gimnastyki. Malec wręcz odpowiedział, że nie będzie chodził na rękach, boby się ludzie w Porębie z niego wyśmiali, gdyby odmiennie chodził niż inni.

— Ja ci też nie kazuję od rana do nocy do góry nogami uganiać, ino cię muszę nauczyć; tatuś tak przykazali.

— Na co?

— Co ci ta o to¹⁸⁹; kazali i dość. No, szkoda czasu.

Wziął go wpół za kark jedną ręką, obie nóżki w drugą i zaczęła się lekcja.

— Nie chce... nie bede... cego mnie męcys! — wrzeszczał Wawruś.

Aż tu Grzegorz przyskoczył z batem.

— A w skórę chcesz? Darmozjadzie jeden! — I zaciął go po gołych nóżkach, aż czerwone pręgi wystąpiły. — Masz robić, co ci każą, a nie, to baty.

I Wawruś robił, co mu kazano, byle nie brać batów. Zgrabniutki, drobny, lekki, tego samego rana zgłębił tajemnicze prawidła równowagi, aż się Grzegorz zdumiał, jakie

¹⁸³roztworzyć (daw.) — otworzyć.

¹⁸⁴kobylice — drewniane podpórki.

¹⁸⁵szaraczkowy — z taniego, szarego płótna, nie bielony i nie farbowany.

¹⁸⁶żupan — starop. ubiór męski, długi obcisły płaszcz zapinany na guziki, ze stojącym kołnierzem i wąskimi rękawami.

¹⁸⁷pożyć (gw.) — spojrzeć.

¹⁸⁸ośmiać się — uśmiechnąć się.

¹⁸⁹co ci ta o to (gw.) — po co masz wiedzieć, nie pytaj.

dziecko pojętne. Biegał na rękach tak swobodnie, jak niejeden i na nogach lepiej nie potrafi. Przy obiedzie dostał pochwałę i kilka słów zachęty do dalszej pracy.

— Kiej ja wolę do Poręby. Gadaliście, co mnie zawieziecie do tatusia.

— Jakie też to głupie dziecko, to strach — odparł Grzegorz, niosąc łyżkę do ust — nie widzisz to, że prościuteńko do Poręby jedziemy?

Roześmiali się wszyscy jakimś niemiłym śmiechem, tylko Grzegorzowa ruszyła ramionami niechętnie.

— Prościuteńko? — powtórzył Wawruś, klaszcząc w rączki. — A daleko jeste?

— Ha, będzie ze trzy staje¹⁹⁰ — odpowiedział Froncek poważnie, a stary dorzucił:

— E... chyba ze cztery.

I znowu parsknęli śmiechem.

— A w którą stronę?

— O tam, gdzie te brzoźki, zakręca się gościniec i już Poręba jak na dłoni.

Po obiedzie Grzegorz legł odpocząć. Froncek z Margosią poszli szukać grzybów, a Wawruś bawił się z kozą, z którą od pierwszej chwili poznania zawarł serdeczną przyjaźń... Słowa Froncka, że za brzożkami już widać Porębę, brzmiały mu wciąż w uszach; coś go gnało w tę stronę...

„To i cego będę cekał, może długo jeste będą popasać — myślał — a kiedy to tak blisko, to chyba trafię”. — Podszedł do Grzegorzowej i pocałował ją w rękę.

— A czego chcesz, synku?

— Przysedłem was pożegnać, ide do domu. Bóg zapłać za wszystko.

— Co też ty gadasz, dziecko? Co ci się zwiduje? Nie trafisz.

— Gadali, że blisko; już mi ta nie brońcie, muse iść.

Rzucił się jednym skokiem i gnał jak szalony ku brzożkom; bała się krzyczeć, żeby męża nie zbudzić, biegnąc nie miała siły...

„Ha, wola boska, niech dziecko umyka — pomyślała — trafi na dobrych ludzi, może go lepszy los czeka niż biedowanie z nami”.

Nieszczęściem dla Wawrusia, droga zakręcająca się za brzożkami nie tylko że nie prowadziła do Poręby, ale co gorsza, była drogą do Miechowa, gdzie właśnie zdążali kuglarze.

Z początku leciał jak na skrzydłach, a ciągle wypatrywał oczy, gdzie ta Poręba, co miała być widna jak na dłoni. Wiele drogi nie uszedł, już musiał zwolnić kroku, a po godzinie siadł pod dziką gruszą przy drodze, odpocząć chwileczkę. Słońce przypiekało, nogi trochę bolały, wyciągnął się w cieniu i usnął.

Zbudził go ból piekący jak ogień... zerwał się na równe nogi... Stary Grzegorz stał nad nim czerwony ze złości i prał batem gęsto a ostro.

— Będziesz uciekać? Będziesz? Będziesz? Będziesz?

— Ja nie uciekał, ino szedł do domu, do tatusia!

— Masz za tatusia! Masz za Porębę! Masz!

Za każdym słowem padał powiązany w węzły powróżek na zgrzebną koszulinę, dziecko zwijało się, kurczyło, drgało...

— O Jezu... nie będę... nigdy nie będę! — zakrzyczał rozzwierającym głosem.

— Pamiętaj sobie! Jeszcze jeden raz spróbujesz, to cię tak wytlukę, że krwią spłyniesz, łotrowskie nasienie! No, zbieraj nogi, do budy!

Od następnego rana rozpoczął Wawruś służbę u linoskoczków, ciężkie terminowanie. Musiał chodzić na rękach, magać kozły na odległość i w miejscu, skakać przez drążek wysoko nastawiony, a gdy już nabrał wielkiej wprawy w tym wszystkim, Margosia uczyła go chodzić na linie rozciągniętej tuż ponad ziemią. Rozpinano ją co dzień o pół stopy wyżej, a nauczycielka tłumaczyła bardzo łagodnie, głaskała i całowała, gdy się dobrze udało, a nigdy nie biła. Zrozumiał, że nie trzeba patrzeć na dół, bo się w głowie zawraca, zrozumiał, że stawiając lewą nogę, trzeba się przechylić odrobinę w lewo i nawzajem. Ale bardzo często jeszcze spadał z liny, więc o popisywaniu się tą sztuką nie mogło być mowy. Za to biała koza miała się z pyszna. Przed trzema laty, gdy Froncek był mało co większy od Wawrusia, a koza ledwie wychodziła z dzieciństwa, wytresowano ją do pewnych ćwiczeń. Kózka myślała, że to figle, i chętnie dokazywała z Fronkiem. Ale dawno już swych

¹⁹⁰staja a. staje — jednostka odległości, licząca od ok. 100 do 1000 m.

sztuk zapomniała i trzeba ją było uczyć na nowo. To jedno było dobre, że nie wiedząc jeszcze, co go czeka, Wawrzuś dzielił się z kozą swoim chlebem, odkradał Grzegorzowej szczypteczki soli i tymi frykasami kupił sobie miłość Beksy na wieki. Gdy więc przyszło, rozpędziwszy się, chwycić kozę za rogi, przewrócić w powietrzu koziołka i stanąć jej równymi nogami na grzbiecie, Beksa nie sprzeciwiała się zbyt woli swego przyjaciela, zwłaszcza że wspomnienia młodości budziły się w jej pamięci, stawiała rogaty łeb jak do walki i stała jak wryta, co było ułatwieniem dla Wawrzusia.

Zdarzyło się już kilka razy, że na przedstawieniach, jakie wędrowni kuglarze dawali po miasteczkach, koza i Wawrzuś podobali się najbardziej. Dzieciak nie wyglądał na swoje lata, drobniutki był i smukły, dlatego też sprawiał na publiczności wielkie wrażenie, gdy taka kruszyna wyskakiwała jak pchła z ziemi na głowę i grzbiet kozy.

Stary Grzegorz winszował sobie nabytku; chłopiec go prawie nic nie kosztował, a przyczyniał się wiele do pomnożenia zarobku. Dodzierał¹⁹¹ aksamitów i świecideł, z których Froncek wyrósł, jadł jak myszka, a pracował nie mniej od starszych.

Tylko że ciągle tęsknił za Porębą i choć przy Grzegorzu głośno o tym nie mówił, stary niejedną raz dosłyszał, jak przed Margosią wylewał swe żale. Pilnowali go też wszyscy jak oka w głowie, prócz matki, bo ta od samego początku litowała się nad dzieckiem i ciągle tylko przemyślała, jakby to oddać Wawrzusia rodzicom, a przynajmniej powierzyć jakiemu dobremu człowiekowi, żeby go na uczciwego rzemieślnika wykierował.

W nieustannej tułaczce z jednego kąta kraju w drugi wily trzymali się zwyczaj, że w nocy odbywali drogę, wypoczywali nad ranem, a w dzień dawali przedstawienia. Jeżeli po drodze trafiło się miasteczko, tym lepiej, a nie, to i po wsiach pokazywali swe sztuki, bodaj za bochenek chleba albo wiązkę siana dla koni. W ten sposób opłacali sobie kosztą wędrowki i snuli się z północy na południe, ze wschodu na zachód. Nierzadko spotykały się dwie lub trzy rodziny linokoczek; jedni powiadamiali drugich, gdzie warto się zatrzymać i jakim traktem jechać najbezpieczniej, po czym każda buda ruszała w swoją stronę.

Wawrzuś, nauczony smutnym doświadczeniem, że ucieczka nie jest rzeczą zbyt łatwą, a bat Grzegorza jest rzeczą okropną, pogodził się pozornie z losem i coraz to wspanialsze salto mortale¹⁹² urządzał tak z kozą, jak i bez kozy. Ale w nocy, gdy wszyscy w budzie spali twardo, a wóz posuwał się powoli po wybojach i kałużach, ach, wtedy jak ptaszek więziony, co się w klatce trzepoce i skrzydełka sobie o szczeble obija, tak biedny malec splakiwał się gorzko i snuł dziwaczne plany oswobodzenia.

Pewnej pochmurnej nocy, gdy wóz toczył się powoli leśną dróżką, co chwila potykając się o grube korzenie lub zapadając w błoto po osie, Grzegorzowa, która w dusznym gorącu zamkniętej budy usnąć nie mogła, usłyszała ciche szlochanie Wawrzusia.

— Cóż ci to, małučki? — spytała ostrożnie, by nikogo nie zbudzić, przyciągając sieniczek z dzieckiem ku sobie.

— Nic, biednym jest¹⁹³ — odpowiedział.

— Czego biedny? Boli co? — i pogłaskała go po głowie.

Wiedział, że matce można się przyznać do wszystkiego; ileż to razy słyszał, jak nastała na męża, by chłopca oddał do jakiego dworu po drodze albo do rzemiosła. Wiedział, że go nie zdradzi, bo zawsze była dobra dla niego. Więc ją objął za szyję i najcichszym szeptem wyjął:

— Chcę do matusi, do Poręby.

„Robaczkiem się opiekuję. Polnej trawki pilnuje...” — przypomniała się Grzegorzowej pieśń o Boskiej Opatrzności. „Ha, może to wola Pana Jezusa — pomyślała — niech dziecko idzie, gdzie je oczy poniosą, lepszej sposobności jak dziś nie będzie”.

— A nie boisz się czarnej nocy?

— Już niedźwiedź i dzik wedle mnie przełaził, już wilkowe ślepie w nocy widział, a nic mi się nie stało... nie boję się niczego, ino coby mnie majster nie przyłapali.

— Słuchajże; wraź se tę ćwiartkę chleba, co leży na skrzyni, za pazuchę; zmacałś?

— Już.

— A teraz pełzaj powoli ku schodkom... płachtę odepnij... cicho... któreś się rusza.

¹⁹¹dodzierać — nosić zużyte ubrania.

¹⁹²salto mortale (wł.: skok śmierci) — skok akrobatyczny z koziołkowaniem na dużej wysokości.

¹⁹³biednym jest (gw.) — jestem biedny.

Zatrzymali oddech, czekali, Froncek znów zaczął chrapać, Margosia mruczała coś przez sen.

— Możesz iść śmiało, śpij twardo; a nie przewróć tam czego.

— Bóg zapłać; nie pocałujecie mnie na drogę?

Uściskali się.

Coś zaszeleściło pomiędzy skrzyniami i tłumokami, trochę świeżego powietrza wpadło do wnętrza przez odpiętą płachtę i więcej nic.

Dzięki codziennym ćwiczeniom gimnastycznym skok z jadącego wozu zabawką był dla Wawrusia, zwłaszcza że konie, drzemiąc, stapały noga za nogą; Grzegorz dla odpędzenia snu szeptał godzinki.

— Pocekaaj, teraz ja mądry, już mnie drugi raz nie złapiesz — szepnął, grożąc ściśniętą w kulak rączką niewidzialnemu tyranowi. — Ciemno jak w kominie, schowam się w krzaki, a ty mnie sukaj, póki ci się nie sprzykrzy.

Dał susa w las.

„Nie... po krzakach przysiadł nie będę; zaświecę ze dwie latarnie i gotowi mnie wypatrzeć; albo zwierz będzie przechodził, to mnie zje. Wylezę na drzewo”.

Ze zwinnością kota czepił się palcami grubej, popękanej kory, nogi pomagały rękóm, w minutę już siedział na gałęzi. Pomacał z tej i z owej strony, przekonał się, gdzie drzewo ma najgęściej splecione konary, i ostrożnie, by głową nie uderzyć o gałąź, wspinał się wyżej.

„O, tu mi będzie w sam raz; tu se ranka docekam”.

Odpięta z gwoźdźnia płachta przymykająca wóz linoskoczków fruwała, poruszana lekkim wiatrem, i szeleściła, bijąc o półkoszki¹⁹⁴. Baczne na każdy odgłos ucho Grzegorza posłyszało ten szmer...

— Cóż się ta dzieje? — mruknął. — Złamało się co czy oberwało, że tak zbyrka?

Zatrzymał konie i zsiadł z kozła.

— Hej... któreż tam płachtę odpięło?

— Czego chcecie? — odezwał się z głębi zaspany głos Froncka.

— Gadam, po co płachtę odpinacie. Jeszcze się który tłumok zesunie i wyleci.

— Anim się ruszał, śpię od wieczora na jednym boku.

— Może Margośka albo matka?

Margosia odpowiedziała chrapaniem, a matka udawała, że śpi.

— Ojoj... tatusiu...

— No co?

— Siennik pusty, chłopaka nie ma!

Grzegorz syknął przez ściśnięte zęby jakąś klątwę w tysiące tysięcy, ale nie tracąc czasu na próżne słowa, natychmiast skrzesał ognia, zaświecił latarnię i Fronckowi kazał zrobić to samo.

— Chodźmy szukać — rzekł — ty patrz z lewej strony, ja z prawej; nie musiał ubiec daleko; ani trzech pacierzy nie ma, jak szelest posłyszałem.

Puścili się wzdłuż drogi, licząc, że dziecko dogonią. Gdy ubiegli spory kawał, dopiero im na myśl przyszło, że się mógł schować gdzie bliżej w gęstwinie. Więc wracali już powolutku, przyświecając krok za krokiem, krzak za krakiem, jednej kępki paproci nie opuścili; przystawali, nasłuchiwali — nic.

— Przywiąż no latarnię do żerdki, poświęcisz wyżej między drzewa, może się gdzie na które wydrapał.

— O Jezu! — szepnęło dziecko — prosto na moją sosnę świeci... musi mnie uwi-dzieć... białą kosulę znać między gałęziami...

— Cóż się tak zapatrzył w jedno miejsce?

— Zobaczcie sami, coś szarzeje na samej górze...

— Gdzie, gdzie? Nie widzę...

Zalomotały skrzydła, wystraszony puchacz spuścił się z wierzchołka sąsiedniego drzewa i ciężkim lotem, uciekając od światła, uderzył sobą silnie w twarz Grzegorza. Stary się zachwiał, wyciągnął przed siebie ręce i czepił się Froncka za ramię, a ten zaskoczony znienacka puścił drążek, latarnia upadła i zgasła.

¹⁹⁴półkoszki (daw.) — burty wozu, plecione z wikliny.

— Dalibyscie spokój szukaniu — odezwała się matka z wozu — chłopak uciekł jeszcze przed północą, a wy go tutaj upatrujecie.

— Taaak? Toś wiedziała, a nie krzyknęłaś na którego z nas?

— Właśnie, że nie wiedziała o niczym, ino we śnie mi się majaczyło, że się ktoś wedle mnie przesuwa, nawet mnie w rękę pocałował. Nijak się ocknąć ani oczu otworzyć nie mogłam. To jedno wiem z pewnością, że więcej niż dwie godziny, jak zemknął. Tedy nie bądźcie głupi i nie szukajcie wiatru w polu.

Nakłeli obaj co się włożyło i powrócili do wozu.

KONIK ZWIRZYŃIECKI

Wesele w Pisarach. — Szedł do Poręby, zaszedł do Krakowa. — Tatar na drewnianym koniu. — Znowu pielgrzym. — Dlaczego św. Wojciech ma dwie głowy? — Ojciec Szymon.

Bór się zaczął ożywiać... rozbudzone ptactwo napępniało powietrze wesołym świergotaniem... poprzez wierzchołki drzew niebo się zaróżowiło na wschodzie.

Wawrzus zmówił pacierz, uskubnął chleba z darowanej przez pocziwą Grzegorzową ćwiartki i obliczał w duchu, czy można już zleźć z drzewa bez obawy.

„Ee... chyba mnie już gonić nie będą... pojechali przed siebie, to ja się obrócę z powrotem. Pójdę lasem, ale już ino¹⁹⁵ samym krajem, cobym¹⁹⁶ drogi z oczu nie stracił. Dy¹⁹⁷ mi już ani pusca nie dziwną; cego bym się miał bać?”

Rozpoczęła się nowa wędrówka, z tą różnicą, że już dziś Wawrzus zmańdrzał o wiele, uważał się za bywalca, bogatego w wielorakie doświadczenie; czuł, że się już lada kogo nie złęknie ani też nie uwierzy pierwszemu lepszemu, co by go chciał do rodziców odprowadzić. Szedł śmiało, głodu się nie bał, okolica była ludna, gościniec uczęszczany, wszystko wcale inaczej niż przed paru tygodniami w puszczy.

Około południa zaszedł do jakiejś wsi i przybliżył się do pierwszej chałupy, gdzie zobaczył drzwi otwarte i całą rodzinę obiadującą w sieni. Stanął opodał, ale tak, by go dostrzeżono.

— Cóż to za dziecko? — spytał gospodarz.

— Widzi mi się Bartków Pietrek ze Szydła.

— Ale gdzie... zabaczyliście, matusiu, co Pietrek na nóżkę słaby, a ten prościuśki jak świeczka — zawołało któreś z dzieci.

— Najlepiej zapytaj, kieś ciekawy.

— Hej, chłopak, czego tu chcesz?

— Wody mi dajcie, strasznie mi się pić chce — odpowiedział Wawrzus, całując gośpodynię w rękę.

— A jeść nie? — spytała, ujęta pokornym zachowaniem się dziecka.

— Bóg zapłać, mam jeszcze kawał chleba, co mi Grzegorzowa dała.

— No, sam chleb to prawie na Wielki Piątek; zjedźże krupniku razem z nami, na zdrowie ci.

Baba podała mu łyżkę, siadł na progu przy jej córeczce i nabrał z miski krupniku uczciwie omaszczoną wędzonką.

— A cóż to za jedna ta Grzegorzowa, co ci dała chleb? — spytał gospodarz.

Wawrzus nastraszył się. Jak się przyzna, gotowi go wiłom¹⁹⁸ oddać, stary zabije na śmierć...

— To moja chrzestna matka; byłem u niej dwa tygodnie.

— A teraz gdzie?

— Wracam do domu, do Poręby.

— Każ¹⁹⁹ ta Poręba? daleko? Może aż pod Krakowem?

— Juści ze ta — odrzekł Wawrzus, rad, że mu się odpowiedź tak sama nasunęła. Nie wiedział, co znaczy Kraków, tego wyrazu, jako żył, jeszcze nie słyszał.

¹⁹⁵ino (gw.) — tylko.

¹⁹⁶coby (gw.) — żeby.

¹⁹⁷dy (daw.) — przecież.

¹⁹⁸wiła — błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata.

¹⁹⁹każ (gw.) — gdzież.

— Takiś malučki, jeszcze pobłądzisz?
— Nijak nie pobłądżę; znam drogę, bom już nieraz do chrzestnej matki chodził. — „E... lepiej umykać dalej — pomyślał — jak zacną rozpytywać, jesce sie z cym wygadam i będzie bieda”.

Wstał, podziękował chłopu i babie, pochwalił Pana Jezusa — i za drzwi.

— Czekaj no, dziecko, czekaj, straszne dale do tej Poręby... ani jutro na południe nie zajdziesz; a jakbyś na nielitościwych trafił, naści sera i szperki²⁰⁰ w szmateczce; opędzisz głód, zanim do matusi zajdziesz. A może ty nie masz matusi?

— Oj mam! A dobra... taka jak wy, a może jesce lepsza.

Poszedł.

„Ano, tyłem się dowiedział, co Poręba daleko, aże pod jakimśi Krakowem, i nie zajdę, az pojutro z południa. Dobrze i to; nie będzie mi się snęło iść, kiej wiem pokąd. A ten Kraków, to może dąb jaki stary albo góra wielka; ale ze o nim w domu nikady²⁰¹ nie gadali?... Ino cy dobrze idę? Tyle ścieżków²⁰² na wszykie strony, a gościniec tez się często dzieli. A nuz pobałamucę? Ludzi pytać — źle, nie pytać — jesce gorzej”.

Idzie, idzie, ku zachodowi instynktownie się zwraca, bo wciąż pamięta, że w Porębie słońce do boru i do rzeki zaglądało przed zachodem. Że wschodząc, świeciło ku rzece z drugiej strony, a w południe przeglądało się w wodzie z góry, o tym nie myśli; ku zachodowi dąży. Popasał już ze dwa razy i przespał się z godzinkę, z daleka wieś dostrzega.

„Ot, znowu trza iść między ludzi. Wiecór zapada, może pozwoli kto przespać się kaj na słomie”.

Wszedł w długą, prostą ulicę, po lewej stronie domy drewniane, strzechą kryte, gdzie-niegdzie chałupy z chrustu gliną grubo obrzucone; po prawej same stodoły i stajnie.

— Jak się ta wieś nazywa? — spytał chłopca pędzącego gęsi do domu.

— Pisary — odpowiedział pastuszek, machnął prętem i zaśpiewał znaną do dnia dzisiejszego w okolicach Krakowa gęsią pobudkę: „O lala haaa! O lala haaa!”

„Pisary... cóż po nich... ano, trza się kaj zaprosić na noc. Cosi gra... muzyka hucna... o matko... a może to oni?”

Wsunął się do jakiejś nie domkniętej stodoły, przycupnął za drzwiami, strasznie się boi, że wily skądś wyleżą, porwą go i zabiją.

Ściemniło się zupełnie, już by się dawno powinno skończyć przedstawienie, a tu coś gra, gra ciągle. Słyszać buczenie grube i pisk niby trąbki; pierwszy strach przeminął, Wawrzus przysłuchuje się muzyce.

„E... głupi ja, głupi... ady to inse granie, nie nase!”

Noc ciemniusieńka, tak jak wczoraj, można śmiało wyjść z kryjówki, nikt się nie dziwi, że jakieś dziecko idzie przez wieś. Tedy wyszedł ze stodoły i za słuchem się kieruje ku onemu graniu... Zobaczył chałupę dużą, wesoło ogniem na kominie i kilkoma kagankami oświetloną; z okien bucha światło na równe, duże podwórko... dwóch kobziarzy²⁰³ siedzi na przyzbie²⁰⁴ i skoczno przygrywają, a parobcy i dziewczki kręcą się, oberka wywijają, do taktu sobie przytupują, a coraz to któraś para staje przed muzyką; chłopak czapki z fantazją poprawia i śpiewa...

Wawrzus oparł się o płot, pręcie²⁰⁵ rączkami rozsunął, patrzy i słucha.

Hanuś moja, Hanuś, cego mnie ty nie chces?
Ja ciebie tak lubię, a ty z Jaśkiem sepces!

Przybiega druga para.

Świeci miesiąc, świeci, gwiazdy pomagają.
Kaj się nie obróć, dziewczki mnie kochają!

²⁰⁰szperka — słonina.

²⁰¹nikady (gw.) — nigdy.

²⁰²ścieżków (gw.) — dziś popr. forma D. lm: ścieżek.

²⁰³kobziarz — muzyk grający na kobzie, tj. instrumencie strunowym, podobnym do lutni a. gitary.

²⁰⁴przyzba — wał ziemi, usypany wokół podmurówki chałupy.

²⁰⁵pręcie — patyczki, z których upleciony był płot.

A dziewczyna wykrzywiła się szyderczo, rzuca pół grosza muzykantom i odśpiewuje:

Zeniłby się z kozdą, żadna ci nie rada!
Kochają, kochają, jako i psi dziada...

Znowu przylatuje para, znowu śpiewki, śmiechy, dogryzki... Po drugiej stronie chalupy, na wysokiej przyzbie siedzą gospodynie i gwarzą. Stół zastawiony przed nimi, a z izby wybiega to matka, to która z dziewcząt, wynosząc olbrzymie michy z pokrajaną w kawały kielbasą, tłustą pieczoną wieprzowiną, to znów ser na sicie i żytni placek do niego; siwy kmięć zaprasza gospodarzy do stołu, wynoszą z zimnej komory dzbany z piwem i gąsiorki z miodem. Chłopi jedzą stojąco, bo nie ma się gdzie rozsiadać; ale mniejsza o ławę, jeśli jest co na ząb położyć i czym gardło popłukać.

— Dy to wesele... — szepce Wawrzus za płotem — ta w wysokim wieńcu to panna młoda... a ten z różdżką na capce to młody pan... tak samo jak w Porębie... ach, jak też kielbasa wonieje... jaze okropa... żeby dali choć raz ugryznąć... oj Boże...

I jak poprzednio za słuchem, tak teraz idzie za węchem, stanął pod ścianą przy kobziarzach, może go kto spostrzeże; wszak na weselu nie wolno podróznego odpędzić, straszny grzech nie poczęstować.

Wyskoczyła z izby śliczna dziewczucha; wstażki od paciorków fruwały niczym skrzydełka, spódnica na niej ze sześć, a sute... co się ruszy, to szumi i chrupi wedle niej. Wyniosła piwa dzban i mięsa na chlebie kobziarzom, przestali grać, podziękowali pięknie i zabrali się do jedzenia.

Zobaczyła chłopca.

— A to co za gość? — spytała, schylając się do Wawrusia i zaglądając mu w oczy.
— Skądżeś ty się wziął u nas? Cudze dziecko, nie pisarskie, prawda. A może ty głodny?

— No — odpowiedział z przejęciem.

To króciuchne, jednozgłoskowe słówko znaczyło przed czterystu laty, zarówno jak dziś w gwarze ludowej, bardzo stanowcze twierdzenie. Dziewczyna zrozumiała od razu, jak bardzo się chce jeść, gdy ktoś powiada „no”. Chwyciła chłopca za rączkę i pociągnęła go za sobą do stołu.

— Kielbasy dać?

— No.

— I placka?

— No.

— Siądźże se na ziemi w kąciку, co byś ludziom do tańca nie gawędził i jedz z Panem Jezusem.

— Cie wy... cie wy... a to ci chłoposko²⁰⁶ wielgośne²⁰⁷! — rozśmiał się jeden z družbów. — Markocił się²⁰⁸ się, co starosta zachorzał²⁰⁹, patrzajcie, ludzie, jakoż wam się zda, może ten będzie dobry?

Wziął Wawrusia na ręce, obnosił i pokazywał wszystkim, a gospodarze się śmiali, głaskali dziecko po buzi i niemal każdy się dziwił, skąd się małeństwo wzięło.

— E... co mi to za starosta, co do nikogo nie przypija! Hej, kumotrze, za zdrowie wasze!

Ktoś nalał miodu kubeczek.

— Pij, pij, to dobre, słodkie...

Wypił, zasmakowało, dali jeszcze, wypił i drugi kubek.

Družba go spuścił z rąk, bo mu pilno było do tańca; kobziarze już zaczęli bucząć. Ale dziewczęta się wymawiały, że zmęczone i głodne, że muszą jeszcze przekąsić.

Posiadali parami na trawie, zjadali i popijali. A Wawrzus stał oparty o ścianę, bo jakoś dziwno mu się robiło w nogach i w głowie... niby to chciało się skakać aż pod niebo, a znowu za chwilę całe podwórze i stół i przyzba z gospodyniami, wszystko się kręciło i drygało, że już wołał przycisnąć się z całej siły do ściany, bo ta jedna przynajmniej zachowywała się spokojnie.

²⁰⁶chłoposko (gw.) — chłopisko, chłopaczysko.

²⁰⁷chłoposko wielgośne (gw.) — wielki chłop.

²⁰⁸markocić się (gw.) — martwić się.

²⁰⁹zachorzeć (gw.) — zachorować.

Głód, Jedzenie

Alkohol, Dziecko, Wesele,
Zabawa

Zaczęły się tańce na nowo. Parobcy pokrzepieni mięsiwem i rozweseleni miodem strasznie dokazywali. Śpiewki sypały się gradem, jeden odtrącał drugiego sprzed muzyki, przekrzykiwali się, ani zrozumieć nie było można, co który śpiewa. Wywijali dziewczętami, a nawet patrzącym w głowie się zawracało. Ten sam družba, co pierwszy mianował Wawrusia starostą, namówił pannę młodą, żeby z dzieckiem zatańczyła. Chcieli sobie żartować z malca, pewni, że się będzie wstydzić albo skakać jak niedźwiadek. Tymczasem Wawruś miał wyborne ucho, czuł takt, a bat starego Grzegorza wyuczył go trudniejszych rzeczy niż wykręcanie się w oberku. Przy tym dwa kubki miodu wlały srogi animusz w jego serce. Puścił się w tany z niezmierną fantazją, a choć pannie młodej sięgał do pasa, chwycił ją silnie za kaletki²¹⁰ u gorseta²¹¹ i hulał do upadłego, aż się wszyscy dziwowali, co za dzieciak taki zawzięty.

— No, puszczaj... ty... bo tchu złapać nie mogę! — prosiła Kondusia; ale Wawruś nie słuchał, ino zawijał w kółko, a w kółko. Wreszcie ulitował się, puścił dziewczynę i jakimś szaleńcem porwany, opadł na ręce i przewrócił kozła, znów drugiego, znów trzeciego... miotał sobą tak zgrabnie i prędko, że tylko migało coś w powietrzu — dziecko, pajak czy piłka. Chłopi, zaskoczeni znienacka, rozstąpili się na boki, wytrzeszczyli oczy, dziwowali się.

Po dziesięciu czy dwunastu koziołkach zmęczone dziecko przysiadło na trawie, zasłoniło twarz rączkami, odpoczywało.

— A to ci wisus dopiero! — zawołał jeden z parobków — stało se w kącie niemrawe, maluckie, zbiedzone, przysięgałby człek, że trzech zliczyć nie umie, a to, moi ludzie, opętaniec jakiś, diabelskie nasienie!

— Ij... jaki zaś opętaniec... — ujęła się Magda, owa dziewczyna w szumiących spodnicach — nie wiesz, co chłopaki wyprawiają na pastwisku? A sameś na rękach nie laził, jakeś był mały? Widzicie go... opętaniec! Maciuperne²¹² toto, wieciutki²¹³ jak badylek, spoliście ze zbytków miodem, a teraz się dziwujecie, że mu się w głowinie przewróciło, robi, samo nie wie co.

— Sprawiedliwie gadasz, Magda — przyświadczył ojciec — nijakiego diabelstwa w tym nie ma, ino dziecko zwinne niczym kocię, to i dowodzi, jak może. Ot, żeby wiłom dać takiego, co by z niego za rok zrobili!

— Pamiętacie, stary Grzegorz, jak tu był we Wielkanocne Świąto, co się naszukał za małym chłopcem; obiecał od niego pięć srybła²¹⁴ rocznie, przysięgał się, że mu włos z głowy nie spadnie, cóż, kiedy nawet Maćkowa, co ich ma siedmioro, a Sobka nie chciała oddać — dorzucił wójt.

Wawruś słyszał gwar głosów, nie zważał i nie rozumiał, o czym mowa; siedział na ziemi oszołomiony miodem i tańcem, oczy mu się kleiły.

„Wleżę gdzie w kąt i prześpię się do jutra” — pomyślał.

Wtem imię starego Grzegorza obilo się o jego uszy; ocknął się i oprzytomniał w jednej chwili; usłyszał koniec rozmowy o wilach, mówiono, że stary chłopca szukał... straszne ciarki go przeleciały. Podpełznął nieznacznie w cień, przeczekał chwilę, znowu kawałeczek, jest tam jaka szpara w płocie?...

— Gadajcie se ta, co chcecie — upierał się przy swoim zdaniu Tomek — a ja i tak nie wierzę, coby²¹⁵ dziecko przez²¹⁶ nauki, samo z siebie mogło wyprawiać takie cuda. To nieczysta sprawa i tyła.

— Śmiechu warte, jak się onemu wszędy diabły i czarowniki zwidują... — zawołał Kostek, zwany we wsi niedowiarkiem, bo się śmiał z czarów, uroków i klócił się nawet z wójtem, że nie ma na całym świecie ludzi, co by umieli sprowadzać deszcz, pogodę, rzucać na kogo chorobę albo ją słowami zdejmować. Prawdziwy niedowiarek!

— Czekajcie, ja was pogodzę — odezwała się Magda, podchodząc ku nim. — Dy najprostsza rzecz popytać dziecko; może go kto i nauczył kozły magać²¹⁷, cóż by to było

²¹⁰kaletki — ozdobne wyszywane ząbki na dolnym brzegu gorsetu.

²¹¹gorseta — dziś popr. forma D. lp: gorsetu.

²¹²maciuperne (gw.) — maleńki.

²¹³wieciutki (gw.) — bardzo chudy i giętki.

²¹⁴srybło (gw.) — srebro.

²¹⁵coby (gw.) — żeby.

²¹⁶przez (gw.) — bez.

²¹⁷magać (gw.) — fikać.

dziwnego? Hej, małućki, chodź no tu, coś ci powiem!... Gdzież to polaził? Tylko co siedział na trawie, ot tu.

— Może do izby poszedł?

— A przy muzykusach go nie ma?

— Śpi pewno pod wiśnią, zobaczcie.

— Nie, tu go nie ma, może się załgał²¹⁸ do komory i gospodaruje.

— Nie, komora zamknięta.

— Poszedł za bramę?

— Stoimy tu z godzinę — odezwalo się kilkoro malców — a nijaki chłopak nie przechodził.

— Aha, aha, cóż teraz będzie? Śmiejcież się ze mnie! Czego się nie śmiejecie? Aha! Czyja prawda? Wyrosło spod ziemi nieproszone, nadokazywało diabelskim sposobem i zapadło się w ziemię z powrotem. Żeby tak na mnie, tobym w te pędy posłał po Dudzinę.

— E... nie prosili jej na wesele, gdzieżby teraz przyszła? Gniewa się, ano co strach.

— To ją można przeprosić; ojoj, wielkie cuda... kielbasy wianek posłać i kukielkę²¹⁹, w dyrdki baba przyleci.

— Ale po co?

— Względem Kondusi.

— Cóż ci ta znowu o nią?

— Oj Nastka, Nastka, dwadzieścia roków²²⁰ łazisz po świecie i co z ciebie? Kiej diabeł z panną młodą na weselu tańczy, wiadomo, co to znaczy.

— Matko święta... — zawołała Magda ze złością — z małućkiego, ślicznego dziecka diabła robi!

— Już cię Kostek przekabacił na swoją wiarę? A samego proboszcza pytaj, niech ci powie, czy diabeł nie przybiera wszelakiej postaci? Abo mu to dziwne w dziecko się przerzucić? Wszyscyśmy widzieli, jak hulał z Kondusią, omal z duszą uciekła. A potem taki był rad ze siebie, aż se koziołki magał na oną uciechę.

— Powiedźże mi — szepnęła Nastka, młodsza drużna, trącając go w łokieć — co będzie z tego, że diabeł z Kondą tańczył?

— Ano źle będzie; pierwszego śniegu nie doczeka nieboga. Dlatego gadam, co Dudziny tu potrze²²¹. Okadziłaby dziewczuchę w porządku, pomruczała nad nią, jak się należy, i wszystko dobrze.

— A to ja biegnę po nią.

— Biegaj; ino z próżnymi rękoma daremna fatyga.

Wysunawszy się po cichusieńku przez szczelinę w płocie, Wawrzuś przemykał bokiem drogi, bojąc się odetchnąć głośniejsze, żeby go kto przechodzący nie posłyszał. Pewny był, że go chcą zatrzymać gwałtem i Grzegorzowi odesłać.

Droga zniżała się ku rzece, słychać było chlupotanie wody po kamieniach.

„Jakże to? Kładki by nie było? Dy gościniec dochodzi do samej rzeki... strasieczna ciemnica, jesce gdzie wpadnę i utopię się. Aha... — pomacał ręką wyżej i niżej, przekonał się, że jest poręcz i duże deski przybite do palików — to już wszystko w porządku, da się przejść na drugą stronę”.

Idzie, idzie, znowu wieś. Psy ujadają.

„O Jezu... skoczy który na mnie... zagryzie...”

Na chybi trafi rzucił się w bok na prawo, gdzie jakoś mniej ciemno było. Może tędy bliżej w pole? Biegł, potykając się, dwa razy upadł, kolana sobie do krwi porozbił; wszystko głupstwo, byle jak najdalej od tych ludzi, co go chcą oddać Grzegorzowi.

„Po ciemku mnie chyba nie najdą; a ino sary świt, polecę dalej. Tu se tymczasem przenocuję”.

Uskubnął siana z wysokiej sterty, zakopał się w nie z głową i zasnął smacznie.

O wschodzie słońca wędrował dalej. Co zobaczył jaką wieś z daleka, omijał ją i przechodził bokiem, polami; a nuż wiły dali znać wszędzie, że im Wawrzuś uciekł? Każdy

²¹⁸załgać się — tu: zakraść się, wśliznąć się.

²¹⁹kukielka — bułka a. ciasto w kształcie laleczki.

²²⁰roki, roków (gw.) — lata, lat.

²²¹potrzeza (gw.) — potrzeba.

przecie pozna, że to on Wawrzus. Lepiej nikogo nie spotykać, lepiej mdleć z głodu, niż wracać do bata. Szczęściem droga prowadziła go sama, nie bał się zbłądzić. Z prawej strony gościńca lasy niezgłębione, gdzieniegdzie wyrąb, można poziomek uskubnąć, wody się napić ze źródła.

„O rety, wieś! Tak ci ją las zasłonił...”

Naprzeciw idzie, podskakując, dziewczynka trochę większa od niego; prowadzi krowę na powrózku i wyśpiewuje cieniutkim głosikiem na całe gardło:

Nie ma wsi na świecie jak nasze Balice,
Krowa posła w skodę, wzieni mi spódnice;
Nie trzeba ci było chodzić na jagody,
Toby i krowisia nie laźła do skody.

„Widzicie, ludzie... przez pytaniam się dowiedział²²², jak się wieś nazywa! Ij... co bym ta uciekał... śmiało se przejdę, choćby kto pytał, nie przyznam się, że Wawrzus”.

Sunie z zadartą głową, jakby święcie wiedział, dokąd idzie; a nie wie nic. Spojrzał na słońce.

„Musi już być chwila z południa... gospodyni mówiła wczoraj, że zajdę do Poręby przed wieczorem. Trzeba uważować²²³...”

Idzie, wypoczywa, znowu idzie... Jakiś wędrowiec z tłumaczkiem na plecach wyminął go; pogwizduje wesoło.

„Młody, ładny, może mi nic nie zrobi... przycepię się do niego”.

— Wielemożny panie! wielemo...

— Do mnie tak gadasz? — zaśmiał się wędrowiec — a czego chcesz, robaczku małućki?

— Ja by chciałem iść razem z wami, bo samemu strasznie markotno.

— Chodźże, chodź, i mnie będzie weselej. A którądy droga?

— Do matysi, do Poręby. A wy skąd? — ośmielił się spytać podróżnego.

— Ani wyrozumiesz, choćbym ci tłumaczył, z daleka, bardzo z daleka idę. Jakże ci na imię, parobeczku?

— Wawrzus. A wam?

— Stanko.

Szli razem. Wędrowiec opowiadał bardzo zajmujące rzeczy, jak go ojciec w dziesięciu latach²²⁴ oddał do złotnika; może ten majster miał jakie po ojcach przezwisko, ale nazywano go powszechnie tylko Wojtkiem. U niego to wyterminował sześć lat, nauczył się rzemiosła i zaraz po wyzwolinach²²⁵ poszedł w świat z kilku innymi czeladnikami. Najdłużej był w Norymberdze, niemal cały rok.

— W cym, w cym?

— W Norymberdze. To jest miasto na cały świat sławne. Uczyłem się tam znowu u bardzo znacznego majstra, Lebrechta, świadectwa piękne do domu niosę. Z Norymbergi wyszedłem tamtego lata, zatrzymywałem się po drodze w inszych miastach; tu tydzień, tu miesiąc, tu dwa; dziś nareszcie wracam z utęsknieniem do ojców²²⁶, jako i ty do swojej matysi. Teraz odpoczniemy, zjemy se co, a za godzinę już koniec mojej drogi.

Usiedli pod drzewem, Stanko zdjął z pleców zawiniątko, rozwiązał, dobył czystą szmatkę, z niej chleb i mięso pieczone; u pasa na sznurku miał nóż składany, ukroił sobie i małcowi, jedli i gawędzili.

— No, śpieszmy się; tak mnie już coś gna, ino bym leciał jak na skrzydłach.

— A ta wieś jak się nazywa, nie wiecie?

²²²przez pytaniam się dowiedział (gw.) — dowiedziałem się bez pytania.

²²³uważować (gw.) — uważać.

²²⁴w dziesięciu latach — w wieku dziewięciu lat.

²²⁵wyzwoliny — zakończenie służby u majstra, moment, od którego młody rzemieślnik może już pracować sam i decydować o sobie.

²²⁶ojcowie (gw.) — rodzice.

— Jakżebym nie wiedział? Dy ja tutejszy: to Łobzów²²⁷; najjaśniejsi królowie mają tu zameczek dla wypoczynku w lecie albo gdy na łowy jadą. Ojciec mówili, że to wielki król Kazimierz²²⁸ zbudował.

Szli dalej; pola okryte zbożem nie zasłaniały widoku.

— Jezus, Maryja... co to takiego! — krzyknął Wawruś i rozkrzyżował ręczki.

— Gdzie? Co? Czego krzyczysz?

— Rety... a tam, tam, tyle tego... mury straszące, wieżów tyle... jedna wedle drugiej... strzelają aż do nieba! Może to nie naprawdę? A wy nic nie widzicie?

— Aha, toś ty chyba pierwszy raz w tej stronie, kiedy Krakowa nie znasz?

— Jakiego Krakowa?

— Jakiego? Widzisz przecie miasto przed nami, to miasto nazywa się Kraków.

— O Jezu... a *kaz*²²⁹ Poręba?

— Jakże to? Do Poręby idziesz i nie wiesz gdzie?

— Gadali ludzie, co pod Krakowem...

— Ij... kto by się ta z tobą dogadał. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do naszego domu, przenocujesz, a jutro będziesz tej swojej Poręby szukał.

Co krok to nowe zdumienie. Wawruś zarzucał swego towarzysza pytaniami, na które ten odpowiadał, jak umiał.

— Na co takie grube mury?

— A to, widzisz, dla obrony; całe miasto jest otoczone dookolusieńka murem, za czym jest rów głęboki i szeroki, pełen wody, i znowu grube mury z basztami. Gdyby tak na przykład napadli Polskę Tatarowie²³⁰ i zapędzili się aż ku miastu, co już nieraz bywało, to na mury się nie wdrapią, bo tam łucznicy siedzą schowani i strzałami ich rażą. A choćby się jakim cudem przedostali przez pierwsze, wpadają do wody, a z baszt i wewnętrznych murów tysiące strzał jak deszcz na nich leci. Takie miasto murami i basztami obwarowane nazywa się twierdzą. Widzisz tę ogromną, okrągłą basztę, co tak jako hetman stoi na czele? Tamtędy wejdziemy do miasta.

— Puscą nas to?

— A jakże, każdego puszczają przez cały dzień. Dopiero na noc most podnoszą, a insze bramy na kraty i łańcuchy zamykają. Daj rękę, pójdziemy przez most. Nie bój się, my nie Tatarzy, nie zabiją nas.

Weszli na podwórze Rondla, połączonego długim wąskim korytarzem z Bramą Floriańską; Wawruś trzymał się ręki i poły Stanka, bał się, że skądś żołnierze wyskoczą i porwą ich do więzienia. Ciężkie drzwi Bramy Floriańskiej stały otworem, weszli w ulicę.

— A to ci wysocyzny dopiero! — dziwił się malec, patrząc na wąskie, o dwóch lub trzech oknach domy, spiczastymi dachami kryte, jeden podobny do drugiego; trójkątne szczyty kamienic, ujęte w ramy czerwonej dachówki, rysowały się na tle pogodnego nieba jak zęby olbrzymiej piły.

— Raju... a toto co? To ogromne...

— Kościół największy w Krakowie; kościół Panny Maryi.

— A na co taka cizba? Rety... boję się!

— Czekaj no... co by to być mogło? Nie rozumiem... chorągwie, krzyże, ach, prawda! Na obczyźnie człek rachubę traci; zapomniałem, że to dziś oktawa²³¹ Bożego Ciała. Tak, tak, procesja u Panny Maryi. Widzisz, jaki plac niezmierny? To rynek krakowski. Cizby się nie bój, ino mnie się trzymaj. Jak widzę, już się nabożeństwo kończy, procesja do kościoła wchodzi, a bractwa²³² niektóre z obrazami wracają do swoich parafii.

— Jakie te chorągwie okropnie ładne! Ta żółta mi się najbardziej podoba.

— Dlaczego?

— A bo żółta farba to już najpiękniejsza.

²²⁷Łobzów — dziś dzielnica Krakowa.

²²⁸Kazimierz III Wielki (1310–1370) — król Polski, ostatni władca z dynastii Piastów. Za jego czasów nastąpił znaczny rozwój gospodarczy kraju, dlatego mówi się, że „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”.

²²⁹kaz — właśc. *każ*, gdzieś.

²³⁰Tatarowie — dziś popr. forma *M. Im*: Tatarzy.

²³¹oktawa — w liturgii okres obejmujący jakieś święto i siedem następnych dni.

²³²bractwo — stowarzyszenie rzemieślników, cech.

— Ale, ale, Wawrzus, wielką uciechę ci sprawię. Do domu nie mam po co iść teraz; ojcowie²³³ ani wątpienia w kościele; zresztą, i sam rad konika zobaczę, dwa lata go nie widziałem.

— Jakiego konika?

— Poczekajże, zaraz ci opowiem. Ino sobie stałmy pod Sukiennicami, naprzeciw Brackiej ulicy, to się napatrzmy do woli.

— Gadajcież!

— Więc słuchaj uważnie. Będzie temu ze dwasta²³⁴ lat abo i więcej, szli Tatarzy do Polski, bardzo dziki a okrutny naród. Palili wsie i miasta po drodze, wpierw zrabowawszy wszystko, co się dało. Starych a niemowlęta zabijali, zdrowych i młodych w jasyr, czyli w niewolę brali i do swego kraju, niczym bydło robocze pędząc, katowali srodze. Ludziska mdleli na samo wspomnienie Tatarów. I zdarzyło się jednego razu, że w oktawę Bożego Ciała, tak właśnie jako i dziś widziałeś, odbywała się procesja po krakowskim rynku. Aliści nagle od strony Zwierzyńca wpada na koniu człek jakiś, ledwie żyw ze strachu, i nie bacząc na święte wizerunki ani na duchowne osoby, wrzeszczy na całe gardło: „Bramy zamykać! Na mury, ludzie! Bronić miasta i życia... Tatarzy!” — „Tatarzy!” — zakrzyczeli wszyscy strasznym głosem: kto ino miał zdrowie i siły jakie takie, leciał na mury jak szalony. Niewiasty pokryły się z dziećmi po domach... Zaryglowano bramy, podniesiono mosty, a gdy nadbiegła ćma²³⁵ tatarska, przyjęto ją tak godnie, że na drugi dzień już gdzieś dalej pognęła, miasto zostawiając w spokoju. Na pamiątkę tego wydarzenia burmistrz i sławetna rada zezwolili, aby syn, wnuk, prawnuk i najdalszy potomek onego, co miasto tym rychłym zawiadomieniem uratował od zagłady, corocznie po procesji wyjeżdżał na rynek w tatarskim przebraniu i przeróżne krotochwile²³⁶ wyprawiał. Ino musi na drewnianym, nie na żywym koniu harcować, coby przypadkiem w ścisku nie zrobił komu krzywdy.

— E... na drewnianym? Jakże to?

— Ano, wdziewa na siebie strój tatarski, turban na głowę, przyprowadzają mu pięknie wyrobionego konia, ino bez nóg i z dziurą w grzbiecie. Tedy włazi do niego, pętlice z rzemienia, mocno przybite z przodu i z tyłu onej drewnianej kukły, zarzuca sobie przez głowę na ramiona, coby się koń z jeźdźcem kupy trzymali, potem kapa suta aż do ziemi, uzda do lewej ręki, szmaciana maczuga do prawej i wio na rynek. Kompanię ma poczesną²³⁷, równie za Tatarzynów przebraną, i muzykantów z piszczałkami, co przed nim idą a przeraźliwie przygrywają.

— Nie bać się? — spytał Wawrzus, spoglądając z niepokojem na ruch coraz większy od strony ulicy Brackiej.

Tłum płynął w rynek, jakby pędzony czy popychany przez kogoś; ludzie się tłoczyli, choć jeszcze nic nie było do widzenia. Wyruszyli bowiem zawczasu ku Zwierzyńcowi, aby mieć największą uciechę i powitać *konika* u wejścia do miasta. Ale go jakoś długo nie było widać i jaki taki rozważył, że mniej zobaczy w ciasnych uliczkach, a w tłoku łatwo i żebra połamie; więc zaczęto się cofać ku rynkowi. Tymczasem zastępy czeladników, terminatorów²³⁸, żaków, czyli uczniów szkół krakowskich, które dotarły aż do mieszkania *konika*, sunęły teraz przyspieszonym krokiem, wyprzedzając bandę Tatarów i kapelę. Ci właśnie pędzili przed sobą tłum gawiedzi w rynek. Pomieściliby się wszyscy swobodnie, jeszcze by dużo wolnego miejsca zostało, gdyby nie to, że każdy chciał być jak najbliżej, a także, ponieważ przywilej nadany owej zabawie przeznaczał jej miejsce w rynku, między ulicami Bracką a Szewską, nie dalej. W tym kącie więc skupiły się tysiące ciekawych. Krzyki, śmiechy starszych, wrzask i płacz dzieci, gniecionych w tłumie, brzmiały w powietrzu jak szum wichru przed burzą.

Nowa powódź lunęła z Brackiej w rynek; jakiś dziki okrzyk olbrzymiego chóru... fałszywe, skrzypiące dźwięki piszczałek... Tatar na drewnianym koniu galopował ku ratuszowi.

²³³ojcowie (daw.) — rodzice.

²³⁴dwasta (gw.) — dwieście.

²³⁵ćma (daw.) — tłum.

²³⁶krotochwila (daw.) — żart, zabawa.

²³⁷poczesny — poważny, odpowiedni.

²³⁸terminator — uczeń a. pomocnik w warsztacie rzemieślnika.

— A co, widzisz choć krzykę? — pytał Stanko Wawrzusia.

— Nie... nic a nic nie widzę; ludzie mi zasłaniają. Ino kajniekaj²³⁹ jakiesi chorągiewki migają.

— A to są rotmistrze onego, rum²⁴⁰ czynią przed nim, coby miał gdzie skakać i dokazować. Przybliżmy się; wielkie rzeczy, że dostaniemy po łbie, pała z kłaków, strachu więcej niż czego. Kto ino postąpi k'niemu²⁴¹, zaraz wali, nie pyta. Ale to ino dla śmiechu, nie ma się czego bać.

Wsuwali się powolutku, a coraz bliżej, nareszcie Stanko wziął Wawrzusia na ręce, bo już byli blisko.

— Ojoj... teraz widzę... a to ci cudak śtucny! Ale koń ma głowę haniebną... do nicego niepodobna taka głowa.

Tatar usłyszał krytykę swego wierzchowca, zwrócił się nagle, łypiąc strasznymi oczyma spod wyczernionych brwi, i wrzasnął:

— Haniebna? Masz, coby twoja była piękniejsza!

I rznął²⁴² chłopca miękką maczugą po czuprynie.

Huczny śmiechem przyjęto oną srogą karę, muzyka zarzępoliła jakiś wiwat, Tatar poskoczył dalej, a tłum zbitą kupą za nim. W tej samej chwili Stańko spuszczał Wawrzusia na ziemię, ale nim go zdołał wziąć na powrót za rączkę, fala biegnących potrafiła dziecko, kilkanaścioro ludzi przedzieliło towarzyszy murem, a mur stawał się coraz grubszy.

Gdyby Wawrzus był upadł, zatratowano by go na śmierć; szczęściem nie stracił przytomności, czepił się jedną ręką fałdów jakiejś spódnicy, drugą chwycił za połę czyjejs kapoty, i tak sobie płynął z prądem, nie tykając nogami ziemi.

Spódnica i kapota miały widocznie dosyć tej zabawy, bo się zaczęły wycofywać ku środkowi rynku, gdzie z rzadka już tylko stały gromadki ludzi. Wawrzus poczuł bruk pod nogami, otrząsnął się i przetarł oczy.

„A to ciżba dopiero! Będzie tego chyba ze sto... okrutnie gęsto! Dzięki Bogu, com się na wolniejszy plac wydostał. Ale co teraz? Poćwiży Stach byłby mnie przenocował; kaz go najde²⁴³...”

Mignął mu się szary kubraczek i jasne włosy spadające spod czapki... skoczył w tę stronę...

„Może to Stanko?... oho... już go nie ma!”

Nagle chwycił się za głowę i przypadł, kurcząc się, do ziemi. Dech mu kołem stanął w piersiach... serce lodem ścierpło... Dwa kroki od niego, oparty o drewnianą kratę zamykającą Sukiennice, stał niemłody jakiś człowiek. Wysoki był, szczupły, odziany po mieszczańsku, ale strojnie. Włosy miał czarne, twarz śniadą, gładko wygoloną, oczy ponure, uśmiech niemiły. Rozmawiał po cichu z jakimś chłopakiem o kędzierzawej rudej czuprynie. Coś mu tłumaczył, a tamten głową przytakiwał. Garstka starszych mieszczan stała tam także z żonami i dziećmi; Wawrzus schowany za nimi nie śmiał się ruszyć.

„O Jezu... stoi se wolno i nikogo się nie boi! A może to nie ten? Może jego brat, ze taki podobny? Cegoz się trzęsę... dy mnie nie widział; przybliżę się po cichuśku i dobrze go obejrę²⁴⁴”.

Wstał z ziemi, postąpił krok, zajęci rozmową ani patrzeni w tę stronę; podsunął się bliżej.

„Brody nie ma ani wąsów, cale²⁴⁵ insy²⁴⁶... może mi się zdawało... ale te ocy, te ocy srogie! Cyby mógł być na świecie drugi cłek z takimi nożami w oczach... Żeby dopatrzeć, zali²⁴⁷ ma lewe ucho, tobym już wiedział, jaka prawda”.

Tak się rozzuchwalał, że stanął tuż za domniemanym świętokradcą. Pochylił się i głowę tylko zwróciwszy ku górze, starał się dotrzeć wzrokiem pod opadające na ramiona czarne włosy nieznanego.

Wzrok, Oko

²³⁹kajniekaj (gw.) — gdzieś tam, w niektórych miejscach.

²⁴⁰rum (gw.) — miejsce.

²⁴¹k'niemu (daw.) — do niego, w jego kierunku.

²⁴²rznać (gw.) — uderzyć, rąbnąć.

²⁴³najść (gw.) — znaleźć.

²⁴⁴obejrzeć (gw.) — obejrzeć.

²⁴⁵cale (daw.) — wcale, zupełnie.

²⁴⁶insy (gw.) — właściwie inszy, tj. inny.

²⁴⁷zali (daw.) — czy, czyż.

— No, czego chcesz, mały? Co się kręcisz pod nogami? — złał go któryś z mieszczan i szturchnął w kark pięścią. Wawrzus zatoczył się prosto na czarnego człowieka.

Spojrzeni na siebie. Oczy dziecka wołały: „Poznaję cię!” Tamte drugie zmrużyły się nagle, jak oczy kota, gdy ma skoczyć na ptaszka. Rzucił przez zęby jakieś parę słów swemu towarzyszowi, ten znowu kiwnął głową potakująco i odwrócił się, jakby odchodził — właśnie w stronę Wawrusia. Wtedy starszy szepnął coś po raz drugi... Zdawało się chłopcu, że teraz już obaj patrzą na niego...

„Zmówili się... pilnują mnie... zobaczą, kaj idę, złapią, zabiją gdzie w kacie... stary się boi, cobym go nie wydał...

Co robić? Gdzie się schować? Uciekać? Ale gdzie?”

Pchnięty przedziwnym instynktem malec dał susa, jakiego by się ani Froncek nie powstydział... prosto w najgęstszy tłum otaczający konika zwierzynieckiego.

„Zadepcą, to zadepcą — myślał z rozpaczą — ale ty mnie palcem nie tknies, zbójku przejęty!”

Czepiając się żupanów, spódnic, kubraków, jak to już pierwszej czynił z powodzeniem, znalazł się ni stąd, ni zowąd, ku swemu i tatarskich chorążych zdumieniu, na środku wolnej przestrzeni, gdzie właśnie zmęczony tańcem *konik* popijał z dzbanka piwo na pokrzepienie.

Wawrzus zakolysał się dla rozpędu, odbił się lewą nóżką od ziemi, chwycił za leń drewnianego konia, tak jak to robił z Beksą u Grzegorza, magnął koziołka przez głowę Tatarowi i spadł w tłum po przeciwnej stronie. Szczęście sprzyjało biednemu dziecku: nie tylko że nikogo nie uderzył sobą, ale i sam się nie potłukł. Wybuchy śmiechu, klaskanie w ręce i tysiączne okrzyki powitały ten skok śmiertelny małego akrobata... Widzowie byli pewni, że to koncept umówiony między nim a Tatarem, i gdy chłopiec roztrącał pierwsze szeregi i pchał się w tłok głową naprzód, myślano, że śpieszy przygotować jakąś nową niespodziankę; wszyscy tedy ustępowali mu z największą skwapliwością, dopomagając bezwiednie do ucieczki. A on się przeciskał, prześlizgiwał, byle jak najprędzej, byle jak najdalej.

Wydobyl się z tłumu i nie oglądając się poza siebie, pobiegł w pierwszą lepszą uliczkę. Zmrok zapadał.

„Ach, żeby już nocy docekać jak najrychlej! Tobie ja onemu²⁴⁸ gdzie bądź umknął; miasto wielkie, może by mnie przecie jutro nie znalazł. Jezu... ktoś idzie!”

Wskoczył do jakiejś sieni i przytulił się do ściany za drzwiami. Ludzie przeszli, rozmawiając głośno i śmiejąc się. Zanim się odważył ruszyć z bezpiecznego kącika, znowu rozległy się kroki. Przeczekał i tych. Tymczasem ściemniło się zupełnie. Wyjrzał ostrożnie.

„Kaz ja się teraz podzieję, nieboracek?”

Uszedł ze sto kroków, zawrócił bezmyślnie w jakiś zaułek, znowu głosy ludzkie... A tu w pobliżu nigdzie domu nie ma, tylko mury jakichś ogrodów po jednej i po drugiej stronie drogi...

„Aha!”

W zagłębieniu muru, na kamiennej podstawie drewniana figura św. Wojciecha. Jednym skokiem stanął na postumencie i wsunął się poza świętego; nikt nie zgadnie, że za martwym, nieudolnie wyrzeźbionym posągami bije żywe, biedne, struchlałe serduszko.

Kroki zbliżają się coraz bardziej; dwaj ludzie rozmawiają żywo; co ujdą parę kroków, to przystają. Znowu idą... zatrzymali się tuż przy figurze.

— Mądrzyście, ani gadania — ze złością się ktoś odzywa — ciekawość, co miałem robić?

— Złapać, gębę ręką zatkać, cwałem do Rudawy i amen — odpowiada ktoś drugi.

— Juści²⁴⁹; a rynek aż się roi od ceklarzy²⁵⁰! Ino by szczeniak zaskowyczał, już po mnie. Czemużście go sami nie chytali²⁵¹, kiedy to tak łatwo?

— Głupiś... biegać nie umiem. A choćbym nawet zdołał, nie przystoi poważnemu człowiekowi. Ot, stało się... próżno żałować przeszlorocznego śniegu! Gdyby nie to, że

Strach

Ucieczka

²⁴⁸on, onego (daw.) — on, ten; tu C. lp onemu: jemu.

²⁴⁹juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

²⁵⁰ceklarz — strażnik.

²⁵¹chytać (gw.) — chytać.

dzisiaj jeszcze musimy wyjechać, jutro do południa odnalazłbym trutnia i zrobił mu wieczne odpoczywanie. No chodź. Toboły trza zapakować. A kiesek²⁵² ile?

— Szesnaście.

— Co? W takim ścisku ino szesnaście? Ja ich mam dwadzieścia siedem za pazuchą. I same ważne, pełne złota, do chudopachółków anim się zbliżał. Co mi po skojcach²⁵³ i denarach²⁵⁴!

Odeszli. Cisza zaległa pustą ulicę, tylko na drzewach za murami listki o czymś gwarzą między sobą.

— To nie do uwierzenia — szemrze grusza do jabłoni — zawsze był taki spokojny, trzydzieści lat patrzę na niego.

— I ja go znam jak siebie samą — odpowiada jabłoń — przysięgłabym, że do dnia dzisiejszego miał tylko jedną głowę.

— I trzymał ją przechyloną na prawe ramię — dodaje czereśnia.

— Czubek infuły²⁵⁵ ukruszył się odrobinę i ręka z pastorałem szerniała od deszczów, ale to drobnostka — mruczy stary orzech — najważniejsze, że całe lat trzydzieści zachowywał się przystojnie, jak należy, a dziś... — orzech potrząsł gałęzmi wzgardliwie.

— No, patrzcie... bo mógłby kto powiedzieć, że stara jabłoń bajkami się trudni, patrzcie, z lewego ramienia wyrasta druga głowa!

— Malutka, złotowłosa główka!

— Nie... tego już za wiele! Widzicie? — z oburzeniem szumi śliwa.

— Jakoś nie dojrzę, co takiego? — pyta grusza.

— Dwie bosc nóżki wyłazą spod białej komży!

— Dwie nóżki... czy podobna! Wiatr cichnie... drzewa śpią...

Wawrzus biegnie z płaczem prosto przed siebie. Ach, tak się strasznie boi! Którędy iść, żeby nie spotkać okrutnego zbója?

„O Matko Boska z matusinego obrazka, prowadź mnie!”

Biegnie dalej. Wielki ciemny budynek zastępuje mu drogę. Czy kościół? Noc ciemna, nic nie można rozróżnić. Jakies schodki, jakies drzwi...

Ojciec Szymon²⁵⁶, bernardyn, powracał w nocy od chorego; brat Elfegus z latarnią szedł przodem. Dochodząc już do furty, spostrzegł coś ciemnego na schodach... przyświecił, popatrzył się.

— Ojciec wielbny, dziecko śpi na naszym progu.

Ojciec Szymon pochylił się i nic nie odpowiadając, wziął dziecko na ręce.

Brat Elfegus zadzwonił. Weszli do klasztoru.

U JANA DŁUGOSZA²⁵⁷

Wawrzus w nogawicach. — „Na co taka góra?” — O czym Szymon z Lipnicy²⁵⁸ mówił z Janem Długoszem. — Niepoprawny snycerz. — U króla jegomości. — Wawrzus rozmawia z królową. — Na gorącym uczynku.

Nazajutrz rano dawno już wszyscy mieszkańcy klasztoru byli na nogach, ojcowie msze święte poodprawiali, ksiądz definito²⁵⁹ wysłał dwóch starszych roztropnych braci z wozami do okolicznych wsi po kweście²⁶⁰, a Wawrzus spał jeszcze jak kamień w celi brata Melchiora.

Furtian²⁶¹ poszedł na górę i zapukał do drzwi ojca Szymona.

— Proszę waszej wielbności — rzekł, wchodząc — nie wiem, co robić z malcem, któregoście wczoraj przywieśli. Trzęsę nim, na nogi stawiam, dobudzić się nie mogę.

²⁵²kieska — kiesa, sakiewka, woreczek z pieniędzmi.

²⁵³skojec — drobna moneta, warta 2 grosze.

²⁵⁴denar — najdrobniejsza moneta w czasach Jagiellonów.

²⁵⁵infuła — wysoka czapka biskupa.

²⁵⁶Szymon z Lipnicy (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

²⁵⁷Jan Długosz herbu Wieniawa (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

²⁵⁸Szymon z Lipnicy (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

²⁵⁹definito — doradca przełożonego zakonu.

²⁶⁰kwesta (z łac.) — zbiórka pieniędzy na rzecz klasztoru lub dla ubogich.

²⁶¹furtian — odźwierny, zakonnik pilnujący bramy klasztornej.

— Strudzone srodze niebożatko — odparł ojciec Szymon — dlatego ciężko śpi. Poczekajcie, bracie, jeszcze z godzinę; widzi mi się, że niebawem się ocknie; głód go zbudzi.

— Sprawiedliwe słowa ojca wielbnego; takie toto było wczoraj osowiałe; wieczерę mu sam z kuchni przyniosłem, ino kubek mleka duszkiem wypił, oczy mu się skleily i byłby spadł z zydła, gdybym nie przyłapał. Położyłem go w kącie niczym kawał drewna i do tej pory leży jak nieżywy.

— Nic to; im lepiej wypocznie, tym ci raźniejszy będzie, jak wstanie. Chleba mu ino dajcie ze szperką i mleka, niech poje do sytości, a potem go przyprowadźcie do mnie.

Jak przewidywał ojciec Szymon, tak się też stało. Wawrzuś, pokrzepiony dwunastogodzinnym snem i sowitym śniadaniem, zupełnie inną miał minę niż wczoraj. Sprytne oczy wesoło się rozglądały po ubogiej celi furtiana, która się chłopcu wydała wcale piękną komnatą. Stanąwszy przed ojcem Szymonem, pocałował zakonnika w rękę, patrzył nań z ufnością i śmiało odpowiadał na pytania.

Tatusz nazywa się Wojciech, matusia Baśka, a wieś Poręba.

Niestety... wsi o takiej nazwie było w Polsce na dziesiątki a przynajmniej kilka tysięcy ludzi miało za patronów świętego Wojciecha i świętą Barbarę. Tedy na razie nie było możliwości oddać dziecka rodzicom. Zajęcia ojca Szymona w konfesjonale, na kazalnicy i przy chorych wypełniały czas od wschodu słońca do późnego wieczora; ani mowy być nie mogło o stałym zaopiekowaniu się chłopcem. Narzucać go innym księżom nie chciał, a tym mniej zostawić małego przybłędę jako popychadło u służby klasztornej.

„Coś trzeba wynaleźć, jakoś zaradzić...” — przemyślał ojciec Szymon, ale się nic nie kłopotał, bo znał niezawodne lekarstwo na wszelakie troski. Kazał chłopcu zaczekać w korytarzu, a zamknąwszy się w swej celi, stanął przed obrazem Bożej Rodzicielki, utkwiał wzrok w Jej najświętszym obliczu i złożył ręce jak do modlitwy. Nie poruszały się usta, oczy tylko pytały i prosiły.

Po krótkiej chwili przeżegnał się, zdjął z gwoździa okrągłą sukienną czapkę i wyszedł z celi.

— Pójdziemy, synku — rzekł do Wawrzusia — ino cię muszę przyodziać ochędożnie²⁶², bo w samej koszulinie, a do tego brudnej, nie przystoi chodzić po mieście.

Wziął dziecko za rękę i zesłi znowu na dół, potem długim kruzgankiem niemal na drugi koniec klasztoru, gdzie w dużej sklepionej izbie znajdowały się poskładane na półkach skarby ojca Szymona: stare ubrania, wyżebrane po domach dla ubogich. W porządku utrzymywał swoją szatnię; dziecinna odzież, powiązana osobno, zajmowała całą jedną półkę. Większe kapoty, kożuszki, kubraki leżały na innych, a pod oknem skrzynia z wypraną bielizną.

Raz w tydzień, w piątek, obchodził świątobliwy zakonnik zaułki i przedmiejskie chałupy, gdzie najuboższa ludność głodem przymierała; tam roznosił wyżebrany chleb, krupy i odzienie.

Do tego składu wprowadził tedy Wawrzusia i jął przerzucać rozmaite szatki dziecinne, aż dobrał stosowny strój dla malca.

— O raju... to dla mnie? Naprawdę? Taka biała kosulka²⁶³?

— Podarujesz mi za to swoją brudną — z uśmiechem odpowiedział ojciec Szymon.

— Juści²⁶⁴, ze podaruję. Słyszcie, ludzie... i w nogawicach²⁶⁵ chodził będę? Kiej nie zdolę²⁶⁶... upadnę.

— Ale, zdaje ci się, wdziej tylko; zobaczysz, jak to ładnie wygląda.

— A prawda. Wójta syn w Porębie to na niedzielę w nogawicach do kościoła paraduje, a jakże. Ten kabat²⁶⁷ też dla mnie?

— I kabat, i czerwona czapka.

— Matko Święta... a cóżeście wy za cłowiek taki miłosierny!

— To nie ja, dziecko, nie ja, ino Opatrzność Boska i litość ludzka. To wszystko wyżebrane. Ubrałeś się? Dobrze, teraz pójdziemy w świat.

²⁶² *ochędożnie* (daw.) — porządnie.

²⁶³ *Taka biała kosulka* — płótno bielone było droższe i przyjemniejsze w dotyku od zwykłego, szarego.

²⁶⁴ *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

²⁶⁵ *nogawice* — daw. spodnie, dwie oddzielne nogawki, które przywiązywało się do paska.

²⁶⁶ *zdolę* — zdołać, dać radę.

²⁶⁷ *kabat* (daw.) — kurtka, kaftan.

Strój

Miłosierdzie

— Ojoj... może znowu do puscy?
 — Ale gdzież tam, daleko bliżej²⁶⁸, paręset kroków.
 — Ano, kiedy tak, to idę z wami.
 — Weź jeszcze ten węzelek, będziesz miał trzy koszulki do zmiany.
 Na powrót krążgankiem ku furcie, brat Melchior otworzył, wyszli.
 — Na co taka góra? — były pierwsze słowa dziecka, ledwie stanęło we drzwiach i spojrzęło przed siebie.
 — Górę Pan Bóg stworzył — odpowiedział ksiądz.
 — A na co stworzył?
 — Przydała się bardzo; widzisz, jaki wspaniały gród na niej zbudowany?
 — Na co gród?
 — Tu jest mieszkanie miłościwego pana, króla polskiego Kazimierza²⁶⁹.
 — Rety... króla? Król tam mieszka? z królową?
 — A jakże, z królową, z królewiczami i z królewnami.
 — Gadajcież, gadajcież, moiściewy²⁷⁰! Król ino we złotej sukmanie chodzi, prawda?
 — Ale gdzie! Tak się ubiera, jako insi panowie szlachta.
 — Ćmicie²⁷¹ cy co! — zachnął się chłopak, ale w tejże chwili zawstydzził się swego zuchwałstwa i pocałował ojca Szymona w rękę. — Pewnikiem sad ma prześlicny i jabłek pełne kumory²⁷² i chodzi se po ogrodzie; a może ino cięgiem w izbie siedzi, zasunięty za skubel²⁷³, coby go nikt nie widział?
 — Owszem; i na miasto wychodzi, czasem konno na łowy wyjeżdża.
 — Widzieliście go aby raz?
 — Więcej niż sto razy. W naszym kościele czasem mszy świętej słucha. Ty go także niebawem zobaczysz.
 — Oj, co to, to nie; jakżeby ja śmiał? Ale ze wysoka góra, to wysoka!
 — Nazywa się Wawel.
 Szli dalej.
 — A to co? Kościół dla samego króla pewnikiem, dlatego nieduży, prawda?
 — Nie; na wawelskiej górze jest kościół ogromny; zaprowadzę cię tam kiedy. To zasię jest kościółek świętego Idziego; fundował go król Władysław Herman²⁷⁴ przed czterystu laty na podziękowanie Bogu za syna.
 — Ojoj... tak dawno? A może to nieprawda? Skądże wiecie?
 — Z ksiąg; tam wszystkie dzieje naszego królestwa są wypisane. Właśnie cię wiodę do wielkiej mądrości męża, który takowe księgi pisze.
 — Na co pise? — swoim zwyczajem pytał Wawrzus.
 — Na to, aby gdy ojcowie pomrą, nie poszło wszystko w zapomnienie, ino dla wnuków i prawnuków ku pamiętce zostało.
 — Aha, tak jak nasa chałupa.
 — O jakiej chałupie prawisz? — spytał ksiądz.
 Ale myśli Wawrzka już poleciały gdzie indziej.
 — Jakież to domy wążuskie, a wysokie! Prawiuteńko jak wieże. Dachy śpicaste, na co takie?
 I tak zarzucał swego opiekuna pytaniami, aż doszli do ulicy Kanoniczej. Stanęli przed narożnym domem, bernardyn zastukał w bramę kołatką, stróż otworzył.
 — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a gdzież to Jędrzej się podział?
 — Na wieki wieków. Do chorej córki na tydzień pojechał; ja go ino zastępuję. A do kogo wasza wielbność?

Góra

Pamięć, Książka, Historia

²⁶⁸daleko bliżej — dużo bliżej.

²⁶⁹Kazimierz IV Jagiellończyk (1427–1492) — młodszy syn Władysława Jagiełły, król Polski i wielki książę litewski. W walkach z krzyżakami odzyskał Pomorze i Gdańsk, wzmocnił dynastię Jagiellonów.

²⁷⁰moiściewy (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

²⁷¹ćmic — tu: oszukiwać, żartować.

²⁷²kumora (gw.) — komora.

²⁷³skubel (gw.) — skobel.

²⁷⁴Władysław I Herman (ok. 1043–1102) — książę, rządzący Polską w latach 1079–1102, ojciec Bolesława III Krzywoustego, o którym legenda mówi, że urodził się dzięki łasce, wymodlonej przez rodziców u św. Idziego.

— Jak to, do kogo? Do pana tego domu, do przewielebnego kanonika Długosza. A prawda... próżno się dziwuję, *cale*²⁷⁵ mnie nie znacie. Idźcie tedy na górę i oznajmijcie, jako bernardyn Szymon z Lipnicy przyszedł i rad by się widzieć z jego przewielebnością, a w sprawie nie cierpiącej zwłoki pogadać.

Odźwierny poszedł, a Wawrzus, jako nie przestawał od rana, znowu zapytał:

— Na co taka sień *syroka*²⁷⁶?

— Ksiądz kanonik proszą na górę, są we wielkiej sali! — biegnąc ku gościowi, wołał stróż.

Poszli po kamiennych, mocno wychodzonych schodach na pierwsze piętro. Minęli dwoje czy troje drzwi; czwarte, jakby na powitanie, same się przed nimi otwały, a na progu stał stary człowiek w czarnej sutannie lamowanej fioletem i obie ręce ku ojcu Szymonowi wyciągnął.

— Co za dzień błogosławiony, że wielebnego brata witam pod moim dachem! Wejdźcie, proszę, może raczycie pojrzeć na prace ich miłościów skryptorów²⁷⁷? Ja co dzień tu zaglądam, ku pilności a uwadze młodzieniaszków naganiam, bo to... hm, hm, hm... — odchrząknął mrukliwie i machnął ręką.

A Wawrzus, uczepiony habitu ojca Szymona, przypatrywał się ukradkiem staremu księdzu.

„Białe, ale gęste; nie tak, jak nas²⁷⁸ pleban, co ino dziesięć włosików mają na głowie. A brwi też to nastroszył... o, nicym krzacyska zwisają mu nad ocyma... Abo²⁷⁹ nos! też długocki; inse dwa by zrobił z tego jednego. A cegóz tak przerabia gębą, jakby se co smakował? Dy²⁸⁰ nic nie je?”

Sala była szeroka, a płytka, jakby stworzona na cel, do którego ją użyto. Trzy okna wychodziły na ulicę, z nich był widok wprost ku królewskim komnatom; tylko że dom Długosza stał u stóp, a zamczysko na szczycie Wawelu. Strop z ozdobnie rzeźbionych belek modrzewiowych poczerniał już był od starości. Wzdłuż trzech okien ustawiono olbrzymi stół, ciemnym suknem zasłany. Przy nim siedziało z jednej i z drugiej strony po sześciu młodych kleryków. Każdy miał przed sobą wielki arkusz grubego żółtawego papieru złożony we czworo, parę gęsich piór zatemperowanych i szklane naczynko z inkaustem (jak wówczas nazywano atrament). Najwprawniejszy z pisarzy nie na papierze pisał, lecz na pergaminie²⁸¹, egzemplarz przeznaczony przez autora dla miłościwego króla.

U górnej wąskiej strony, z łokciami na stole a głową na rękach opartą, siedział starszy jakiś mężczyzna i głośno, wyraźnie a powoli, słowo po słowie z rozłożonego rękopisu czytał. Tamci zaś pisali starannie dyktowane wyrazy. Każdą literę poczynając nowy ustęp ledwie tylko zaznaczano cieniuchnymi kreskami, bowiem po zapisaniu całego arkusza oddawano go uczonym w zdobnictwie pisarzom, a ci wielkie litery, czyli inicjały, malowali kunsztownie jaskrawymi barwami i złotem.

— Jakąż to księgę dalsie, wasza przewielebność, przepisywać, że tak pilno baczycie na staranność wykonania? — spytał ojciec Szymon.

— Jako wiadomo wam z częstych rozmów naszych — rzekł Długosz — a również z odczytywanych wyjątków, dwudziesty piąty rok dobiega, jak Bogu wszechmogącemu w Trójcy jedynemu na chwałę, królom i bohaterom na cześć, a potomnym na pożytek rozpocząłem dziejów umiłowanej ojczyzny naszej, Polski, opisanie. Wysłuchał Pan Bóg moich gorących modłów i dał mi, jakom Go prosił, dzieło rozpoczęte doprowadzić do końca. Dwunastą księgę wczoraj właśnie modlitwą zamknąłem²⁸², a w przepisywaniu jest dopiero ósma. Przejdźmy, jeśli wola, do drugiej komnatki, pogawędzimy swobodniej.

Usiedli na ławie, grubym kobiercem we dwoje złożonym dla wygody przykrytej.

Książka

²⁷⁵*cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

²⁷⁶*syroka* (gw.) — szeroka.

²⁷⁷*skryptor* — człowiek przepisujący książki i dokumenty w czasach przed wynalezieniem druku.

²⁷⁸*nas* (gw.) — nasz.

²⁷⁹*abo* (daw.) — albo.

²⁸⁰*dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

²⁸¹*pergamin* — cienka, odpowiednio wyprawiona skóra zwierzęca, na której pisano ważne dokumenty.

²⁸²*Dwunastą księgę wczoraj właśnie modlitwą zamknąłem* — Długosz prowadził dalej swą kroniką aż do wiosny 1480 r.; na kilkanaście dni przed śmiercią zaledwie przestał pisać. [przypis autorski]

— A co to za pacholika wodzicie ze sobą, ojcie Szymonie? — spytał Długosz, teraz dopiero zwracając uwagę na Wawrzusia, który wsunawszy się niemal cały między fałdy habitu, owinął się nim dostatnio jak płaszczem.

— Zaraz opowiem — odparł zakonnik — ino nie skończyliście jeszcze mówić, przewielebny księżu.

— Bez mała, bez mała²⁸³ — rzekł Długosz — ano tyle chyba dodam, że zdrowie szwankujące i lata sędziwe ku wieczności się kłonią. Pora spocząć, i rad spoczną.

— Nie przewidujcież, księżu kanoniku, kresu, gdy go nic nie zapowiada; wszakże nie tak wiekowym jesteście?

— Sześćdziesiąt i pięć skończyłem w tym miesiącu.

— Jeszcze pożyjecie z ćwierć wieka²⁸⁴ — z uśmiechem mówił bernardyn.

— Wolne żarty waszej wielbności. Drugiego lata nie doczekam; tak przeczuwam.

— Ha, gdy wam tak pilno nadmiernie, tedy wyświadczyć mi wielką przysługę, pokornie was proszę.

— Chętnym sercem. A jaką?

— Gdy się już znajdziecie w przybytku szczęśliwości, uprosię Najświętszej Matki Bożej i Matki grzeszników, cobym ja, liche i marny Jej sługa, krócej, nie dłużej czyśćcowe upały cierpiał i przez Jej zmiłowanie oswobodzon światłość wiekuistą oglądał.

— A na kiedyż mam waszej miłości przybycie oznajmić? — biorąc tę mowę za żart, spytał Długosz.

— Na drugi rok po was — poważnie odparł Szymon z Lipnicy.

Umilkł, spuścił oczy, długą chwilę trwała cisza, której Długosz wzruszony proroczymi słowy²⁸⁵ zakonnika nie śmiał przerywać.

— Pytaliście, co za pacholę przywiodłem — rzekł ojciec Szymon, budząc się z zamyślenia. — Przybłąkało się maluczkie do Krakowa, dopytać go niesposób, ani wie, skąd rodem²⁸⁶. O jakichciś krowach w plebańskim życie prawi, po puszczy się błakał, złodziej oknem uciekający z kościoła chciał go dusić; miód dzikim pszczołom wybierał, a na rękach go uczono chodzić i kozie na grzbiet wyskakować²⁸⁷. Słowem, gdyby nie drobne latka i szczere siwe oczy... chodź no, chodź, nie chowaj się. Przypatrzcie się, wasza przewielebność, jakoż się wam zda? Kłamcą to dziecko nie jest, jednakowoż rozpowiada dziwy, z których nic wyrozumieć nie można.

— A co z nim zamyślacie uczynić, ojcie Szymonie?

— U siebie go nie zatrzymam, bo czasu ani miejsca po temu nie mam. Przyszedłem do waszej przewielebności po radę.

Wstał z ławy, oparł się o okno i patrzył w niebo, modląc się duchem. A stary kanonik Długosz rozważał jego słowa i poruszał machinalnie bezzębnymi szczękami.

— Ojcie Szymonie...

— A co?

— Niech malec zostanie u mnie. Stary Paweł głuchnie z każdym dniem bardziej, usługa cierpi na tym wielce, bo się go dowołać nie mogę. Już nawet kupiłem dzwonek w Sukiennicach i niczym na nabożeństwo sygnuję²⁸⁸ co rano. Mało pożytku i z dzwonka. Zapomina się, rozkazy spełnia przeciwnie i do grzechu mnie ino pobudza, bo cierpliwość tracę i nieraz nad potrzebę surowo go strofuję. Ostawcie²⁸⁹ mi chłopca, niech się zaprawia do posług; dawnom już zamyślał szukać pacholika, aby go mieć pod ręką w antykamercie²⁹⁰. Przyodziewać go będę stosownie do stanu, głodu nie zazna, a jego miłość pan Żegota...

— Zali²⁹¹ ów, co klerykom do pisania dyktuje?

— Właśnie. Tedy uproszę Żegotę, coby dzieciaka liter powoli uczył; okaże się pojętny, to z czytania zasię do pisma przejdzie. Ze względu na ono przecucie, o którym tylko co

²⁸³bez mała — prawie.

²⁸⁴wieka — dziś popr. forma D. lp: wieku.

²⁸⁵słowy (daw.) — dziś popr. forma N. lm: słowami.

²⁸⁶skąd rodem — skąd pochodzi, gdzie się urodził.

²⁸⁷wyskakować (gw.) — wskakiwać.

²⁸⁸sygnować (z łac.) — dawać znać; tu: dzwonić.

²⁸⁹ostawić (daw.) — zostawić.

²⁹⁰antykamera (daw., z wł.) — przedpokój.

²⁹¹zali (daw.) — czy, czyż.

Sługa

wspomniałem, dołożę starania, by chłopiec miał i po mojej śmierci opiekę. Spokojnym sercem ostawić go możecie u mnie.

— Bóg zapłać stokrotnie waszej przewielebności; pociechę mi sprawiliście niemałą, bo szkoda mi było dziecka. Pójdę już. Łasce się waszej polecam, niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Wawrzus... pocałuj w rękę księdza kanonika; ostaniesz tu, będziesz się uczył i posługował jego przewielebności.

— O retę... nie... nie! Weźcie mnie ze sobą! Wam będę posługować! O moiściewy²⁹²... nie zostawiajcie mnie tu samego!

— Cicho, cicho, nie masz czego płakać, będzie ci tu dobrze.

— Nie chcę nijakich dobrości! Weźcie mnie do swojego domu! O Matko... boję się starego księdza!

Szymon z Lipnicy położył rękę na głowie chłopczyny i palcem zrobił krzyżyk na jego czole.

— Ja tu przyjdę nieraz do ciebie... i ksiądz kanonik posyłać cię będzie do klasztoru. A żebyś ty wiedział, jaki tu jest ładny ogród!

— Jabłka są? — szepnęło, chlipiąc, dziecko.

— A jakże, jabłka, wiśnie, śliwy... — pochylił się nad uchem Wawrzusia: — Chodź, zaprowadzę cię do Pawła, pójdziecie razem do ogrodu.

*

Od tego dnia upłynęło trzy miesiące. Wrzesień dobiegał połowy. Kto by nie widział przedtem Wawrzusia, nigdy by się nie domyślił, że ten złotowłosy chłopczyna, zgrabny niczym pazik z senatorskiego domu, o twarzyczce roztropnej i bystrych oczach, był niedawno jeszcze brudnym rozczochrany dzieciakiem, którego rodzony ojciec nazywał niezdara.

Szymon z Lipnicy miał widocznie szczęśliwą rękę; czego się tknął, to mu się udało. W pomyślnej godzinie przyprowadził malca księdzu Długoszowi, bo trafił właśnie na chwilę pociechy i zadowolenia po skończonej ćwierćwiekowej pracy. Znakomity pisarz w tak pogodnym był humorze, jak dawno go nie widziano. Chłopak podobał mu się z wejrzenia od razu, przy tym i opieszala usługa Pawła dała mu się już porządnie we znaki, wszystko więc składało się jak najlepiej dla nowoprzybyłego. Pan Żegota również chętnie zajął się chłopcem i nie wiadomo, czy sposób nauczania miał wyborny, czy Wawrzus tak łatwo rozumiał, co mu tłumaczono, dość że po upływie tych krótkich tygodni nauczył się mówić poprawniej, sylabizował zupełnie gładko i każdą literę umiał napisać, krzywo wprowadzie i nieforemnie, ale wcale wyraźnie. Ksiądz kanonik pochwalił go parę razy za pilność i tymi kilku życzliwymi słowami zjednał sobie serce dziecka. Wawrzus w oczy jego przewielebności ino patrzył, myśli zgadywał, tak zręcznie umiał służyć, jakby niejeden starszy nie potrafił. Co mu raz nakazano, wypełniał święcie; czego zabroniono, nie czynił nigdy. Pawła wyręczał i zastępował niemal we wszystkich lżejszej robocie, a tak mu się umiał przymilić, że stetryczały²⁹³ sługus nie obrażał się jakoś za to odsunięcie go od pańskiej osoby, owszem, zażywał wczasu²⁹⁴ i próżniaczył się, rad, że mu z góry na dół drepnąć²⁹⁵ nie każą.

Jedyną pracą, od której się Paweł nie wykręcał, było pielęgnowanie ogrodu przytykającego do domu księdza kanonika. Posiał tam o wiosnie mnóstwo pachnących kwiatów, plewił je, podlewał, okrzysywał²⁹⁶ krzaki z wybujających pędów, obierał gąsienice; tutaj czuł się swobodnym panem, bo Długosz nieczęsto zaglądał do sadu, a choć i przeszedł się czasem po czysto wygracowanych ścieżkach, nie zwracał uwagi na kwiaty ani na owoce, zawsze w myślach pogrążony.

Czerwieniejące od słońca sztetyny²⁹⁷, żółte bursztówki i buraczkowe cygany przepętniały serce Wawrzusia błogim niepokojem oczekiwania. Zaglądał na nie po kilka razy

²⁹²moiściewy (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

²⁹³stetryczały — gderliwy, zgorzkniały.

²⁹⁴zażywał wczasu (daw.) — odpoczywać.

²⁹⁵drepnąć (gw.) — dreptać, chodzić.

²⁹⁶okrzysywać — przycinać gałązki, żeby lepiej rosły.

²⁹⁷sztetyna, bursztówka, cygan — odmiany jabłoni.

dziennie, zbierał skrzętnie przedwcześnie opadłe jabłka i chował pod tapczan w izdebce na poddaszu, gdzie sypiał razem z Pawłem. Z tej spiżarni czerpał obficie na własne potrzeby i co piątek rano odnosił ojcu Szymonowi kilkanaście jabłuszek dla ubogich dzieci. Długosz posyłał go niekiedy z listami do klasztoru, a nie było tygodnia, żeby który z ojców nie zajrzał na Kanoniczą ulicę do jego przewielebności.

— Pawle, wyście to ścięli tę wiśnię, co tam leży pod samym parkanem? — spytał Wawrzus pewnego dnia, oglądając uważnie spory pniak, ociosany z gałęzi, rzucony w kąt ogrodu między pokrzywy.

— Hę? — mruknął stary nie słysząc.

Chłopiec powtórzył pytanie.

— A ja; stara już była, inszym drzewom ino cień rzucała, a pożytku ani na jeden ząb. Wziąłem siekierę i zrobiłem jej koniec. A dlaczego się pytasz?

— E... nic, tak sobie. Można by ją porąbać, toby się zdała na komin; a tak ino spróchnieje i szkoda.

— A to se zrąb, kiedy chcesz; schowaj do komórki, uschnie do zimy i będzie jak znalazł na podpałkę.

— Ee... ona i teraz już sucha.

Wawrzusiowi chodziło tylko o to, żeby się Paweł nie dziwił i nie bronił mu koło drzewka majstrować; a wcale się nie troskał, czy będą suche trzaski na zimę albo nie. Poszukał piłki ogrodniczej, poprzecinał suchy pień na zgrabne klocki i z większą jeszcze radością niż jabłka schował je pod swój tapczan, głęboko do ściany zasuwając.

Mimo łaskawości księdza kanonika i pana Żegoty, mimo zupełnie dobrych stosunków z Pawłem, nawet mimo niewyczerpanego zapasu jabłek, chłopiec miewał chwile strasznej tęsknoty za ukochanym kozikiem i wyrzynaniem zwierzątek z drzewa. Pamiętna jaszczureczka dawno się gdzieś zgubiła, prawdopodobnie podczas przymusowych przechadzek na rękach u linoskoczków. A kozik... szkaradny Froncek złamał mu go na złość — umyślnie.

— Poproszę ojca Szymona, to mi z pewnością jaki koziczek podaruje; on taki dobry.

Za pierwszym widzeniem poprosił i naturalnie dostał spory, mocny nożyk o dwóch ostrzach. Równie wspaniałego narzędzia nie tylko chłopiec nie miał w ręku, ale nawet z bliska nie widział; a dziś nożyk taki przewyborny był jego własnością. Pilno też było Wawrzusiowi doczekać się wieczora, a raczej nocy, by choć raz drewnienka tym nowym nożykiem popróbować. Drżał ze strachu, by go ktokolwiek nie złapał przy tej karygodnej pracy; mało się to nabrał bicia od tatusia?... Obliczył więc sobie, że najlepszą porą na zadowolenie grzesznej namiętności będzie chwila, gdy Paweł zaśnie mocno. Wtedy i kaganek będzie można zaświecić, i dłużyć w twardym wiśniowym klocku, ba, nawet śpiewanie starego nie przebudzi... już robił próby.

Ledwie zjedli wieczrę, przebiegły złoczyńca zaczął się uskarżać na głowę, udawał nawet, że go zimno trzęsie, byle tylko iść na górkę do łóżka. Nie mając komu rozpowiadać przeróżnych wydarzeń ze swego długiego żywota, czym zazwyczaj zabawiał wieczorami Wawrzusia, Paweł uznał, że i jemu samemu nie zawadzi wcześniejszy spoczynek. Poszli tedy na poddasze, zmówili razem pacierz, Paweł zgasił olejny kaganek i nakrył się po uszy grubą samodziałową derką. Wawrzek zaś, by senność odpędzić, sięgnął do swej spiżarni i pogryzał cierpliwie jabłka, nasłuchując z utęsknieniem, rychło się rozlegnie dźwięczne, groźne, świstające chrapanie starego.

„Aha, jużes? Chwała Bogu!”

Skrzeszał ognia, zaświecił kaganek i wyciągnął spod tapczanu pierwszy lepszy klocek.

„O, ten mi się tak czubato ułamał, jak raz²⁹⁸ można by domek ze spiczastym daszkiem wyrzezać, na podobieństwo tej kamieniczki wpodłe świętego Andrzeja. Albo nie... już wiem... kościółek świętego Idziego wyrobię! Ten król, co to ojciec Szymon kiedyś opowiadał, ten Władysław Herman ofiarował go Panu Bogu za syna. Jego miłość pan Żegota dopiero wczoraj prawił, jaki to waleczny wojownik był z Bolesława Krzywoustego. Ach cudnie było żyć w owych dawnych czasach... Ale com to chciał rzec? Aha!... Tedy i ja wyrzeżam kościółek bodaj z drewnienka, na podziękowanie Panu Jezusowi, żem

Grzech, Pokusa, Artysta

²⁹⁸jak raz (gw.) — akurat, dokładnie.

wtedy w puszczy z głodu nie zginął ani mnie zbój nie udusił, ani one wily²⁹⁹ przemierzle kości mi nie połamały; a już najbardziej za opiekę ojca Szymona i księdza kanonika. Retę, retę... gdyby nie oni!”

Skrobie, przycina, wygląda; tu mureczek, tu okienko, tu szkarpa, a tu znowu występek na zakrystię; a tu większe okno, drzwi kościelne, daszek poniżej nad kruchtą, dach główny, a przed kościołem schodki.

Włosy mu opadły na czoło, odgarnął je ręką i dalej przycina drzewo. Małe paluszki drążą wgłębienia pod dachem, wycinają okna i drzwi, miniatura kościoła świętego Idziego wyłania się z wiśniowego klocka. Nie brakuje mu nic, nawet żebraczka, mała jak pestka ze śliwki, siedzi zgarbiona pod bramą.

„O, Jezu... kaganek gaśnie... a pełny był. Biedny ja, biedny, będzie też to Paweł kręcił za one uszyska! Gdyby tak mieć pilniczek, przydałoby się jeszcze schodki wygładzić, bo chropate. Ano darmo, szary dzień w okna zagląda, powiem, że całą noc świeciłem, bom strasznie chorował. Grzech... kłamstwo... Trzeba się będzie przyznać ojcu Szymonowi. A teraz przylepię się krzywą do poduszki, zdrzemnę się choć godzinkę; lada chwila ksiądz kanonik zadzwoni o wodę do mycia.

Mijały dni i tygodnie. Wawrzus przymizerniał, pobladł, aż Paweł to zauważył i trapił się wielce, bo chłopca strasznie lubił. Chciał go nawet zaprowadzić na Pędzichów i oddać na własny koszt w leczenie znanej na cały Kraków znachorce, Błazejowej. Ledwie się Wawrzek wyprosił. Ku wielkiemu swemu umartwieniu musiał zaprzestać nocnej pracy, bo Paweł ciągle groził Błazejową, a nawet chciał prosić jego przewiełbność o jakie leki dla malca. Calutki tydzień wysypiał się więc porządnie i znowu zdrowo wyglądał. Odtąd rzadziej i na krócej brał się do swoich drewniek, a tak go coś do nich strasznie ciągnęło! W dzień zaś wymknąć się nie było sposobu, ksiądz kanonik lubił mieć chłopca pod ręką. Sprzątanie sypialni do niego wyłącznie należało; gdy tylko ksiądz Długosz przeszedł do pracowni, zaraz Wawrzus otwierał okno, kobierczyki spod łóżka i z ław na podwórze znosił, gdzie je Paweł ze stróżem co dzień z kurzu wytrzepywali. Sam zaś brał po drodze z komórki miotłę i dzbanek z wodą, skrapiał nieco podłogę i porządnie zamiatął. Słomę w sienniku poruszał i gładził, aby jego przewiełbności nie ugniatała w leżeniu. Na siennik kładł szarą derkę, zaścielał zgrzebnym prześcieradłem, na to kołdra, z cieńszej wełny utkana niż derka, i poduszka niewielka, w poszwie pasiatej, białej z czerwonym. W głowach łóżka wisiał na ścianie duży hebanowy³⁰⁰ krzyż z pięknie wyrzeźbionym Chrystusem z kości słoniowej. Obok zaś znajdował się stół, na nim świecznik dwuramienny z woskowymi świecami i parę książek do czytania w razie bezsenności. Naprzeciw łóżka zagłębienie w murze, w nim na kamiennej półce miska miedziana i mydło; u góry mocny hak, na nim zawieszony miedziany kociołek, zawsze pełny, z kurkiem do puszczenia wody. Na drewnianym wieszadle, wkręconym do śruby w ścianie, ręcznik. Tuż obok małe zwierciadło z polerowanej srebrnej blachy. Pod oknem skrzynia dębowa z szufladami, w nich suknie³⁰¹ i bielizna księdza kanonika. Ponad skrzynią kroksztyn, czyli półeczka drewniana, a na półeczce posążek Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku, snycerską robotą misternie wykończony, żywymi farbami pomalowany, w złocistym płaszczu i koronie.

Przed tym posążkiem stawał co dzień Wawrzus, zadzierał głowę i patrzył. Podobała mu się jaskrawość barw, podobała mu się twarz Najświętszej Panienki i Dzieciątko z rączką podniesioną jak do błogosławieństwa. Ale poza tym naturalnym zachwytem tkwiła inna myśl... zawsze, uparcie ta sama: jak też to cudnie wyrobione! Co za nożyki czy pilniki, czy dłutka trzeba mieć, żeby tak zdolić³⁰²... Ach, gdybym ja onego³⁰³ spotkał, co to robił, dopiero bym się wypytał o wszystko! Czy jego kto starszy uczył, czy ino tak ze swojej głowy umiał!

Figurka Matki Boskiej nie dawała chłopcu spokoju; postanowił spróbować, czy choć troszkę podobnej, choć mniejszej, wyrzeźbić nie potrafi. Dopisało mu szczęście, bo ksiądz Długosz wyjechał na odpust do Tyńca i miał tam dwa dni zabawić. Na wielkie prośby Pawła wziął go ze sobą, a odźwiernemu Andrzejowi pieczę nad domem i małym poko-

Artysta

²⁹⁹wila — błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata.

³⁰⁰hebanowy — z czarnego drewna egzotycznego.

³⁰¹suknie — tu: ubrania, sutanny.

³⁰²zdolić — zdolać, dać radę.

³⁰³on, onego (daw.) — ten, tego; on, jego.

jowcem³⁰⁴ powierzył. Andrzej, jak w ogóle cała służba jego przewielebności, człowiek leciwy, mało sobie zadawał trudu z wykonaniem tego rozkazu: bramę zasunął na skobel i nikomu nie otwierając, zawiadamiał tylko spoza drzwi, że księdz kanonika nie ma w domu. Z Wawrzkiem jeszcze łatwiej sobie poradził; kazał mu się bawić w ogrodzie, a na noc przychodzić do swojej izby, z obawy, że malec, pozostawiony bez dozoru, gotów zapuścić ogień. Ale ani razu nie sprawdził, co chłopak robi, zadowolając się tym, że wielce³⁰⁵ akuratnie³⁰⁶ stawiał się na śniadanie i na obiad.

Wawrzus tymczasem od rana aż do zmroku przesiedział w izbie sypialnej księdza kanonika, kopiując figurkę Matki Boskiej. Strasznie mu nie szło, aż płakał. Ale nie dawał za wygraną, jeszcze miał cały dzień jutrzejszy. I rzeczywiście, nazajutrz pod wieczór drewniana osóбка w płaszczu i koronie, podrobiona z grubsza, przypominała nieco pierwowzór. Schował to arcydzieło do swego skarbca i poszedł na dół spać u Andrzeja.

Jego przewielebność zjechał wieczorem, a na drugi dzień usługa i wszelkie sprawy domowe wróciły do dawnego porządku.

Ksiądz kanonik siedział w swej pracowni i pisał; ale że chłód październikowy trochę mu już dokuczał, kazał zapalić na kominie. Paweł uznał Wawrusia godnym zaszczytu przestąpienia progu tajemniczej komnaty, w której dotąd noga jego nie stała. Chłopiec wszedł na paluszkach, dźwigając przed sobą duckę z krótko porąbanymi drewnkami, i rozejrzał się zdumiony po wszystkich kątach.

„Tyle ksiągów³⁰⁷, tyle papierów... trzy stoły zavalone, na zydlach, na podłodze ustyrmiane, a na półkach dookolusienka aż się cisną. Ciekawość, czy to wszystko ksiądz kanonik sami napisali! Pewno... ojciec Szymon powiada...”

Zagapiony na stosy foliałów, nie patrząc pod nogi potknął się na jakimś mędrцу greckim czy łacińskim i gruchnął razem z drewnkami na ziemię. Łoskot sypiących się z kosza polan wyrwał z zamyślenia jego przewielebność. Długosz drgnął, obejrzał się poza siebie.

— A, to ty. Czego się tłuczysz?

— Upadłem niechcący... już nigdy nie będę — wyjąkał malec, pewny, że za naruszenie spokoju księdza kanonika czekają go straszne cięgi. Lecz ten już ani myślał o tak błahym zajściu i pisał dalej, marszcząc brwi i poruszając szczękami.

— Patrzcie, ludzie... nie łaje ani na Pawła nie dzwoni, żeby mnie obić. Strasznie dobry; trza mu napalić godnie, coby miał ciepło jak w uchu.

Przykląkł, napakował polan, co się wlaźło, zaświeceł szczypkę, podłożył, strzeliły płomyczki na wszystkie strony, drewnka zaczęły trzaskać, paliło się godnie.

Jan Długosz odłożył na bok pióro.

— Wawrzus!...

„Matko święta... przypomniał se o mnie...”

— Słucham waszej przewielebności — rzekł głośnie, wstając od komina.

— Odziej się przystojnie, kubrak i nogawice odświętne, włosy niech ci Paweł przygładzi; ręce czyste?

— Brudne... od popiołu.

— Więc się umyj, żebyś mi wyglądał uczciwie i ochędoźnie. Potem wróć się tu; idę do króla, zanieśiesz za mną księgę na gród.

Przed kilku miesiącami byłoby krzyku, strachu, płaczu co niemiara; dziś zachowanie się Wawrusia tak dalece się poprawiło, że tylko w niemej rozpaczyc zasłonił twarz rękoma i wybiegł z komnaty.

— Oj, Pawle, Pawle! — krzyknął, wpadając na poddasze — rozsypałem drwa na podłodze, zgniewał się ksiądz kanonik i każe mi za karę iść do króla.

— Baj baju... zwariowałeś czy co?

— Jakże zwariowałem? Dy³⁰⁸ się mam ubrać w co najlepsze, umyć, uczesać i dymać na gród za księdzem kanonikiem.

— Tąj o co płaczesz? Jakie toto głupie, aż strach! Napatrzysz się cudności, króla uwi-

Książka

Król, Pozycja społeczna,
Kondycja ludzka

³⁰⁴pokojowiec — służący, pilnujący porządku w pokoju pana.

³⁰⁵wielce — bardzo.

³⁰⁶akuratnie — punktualnie, dokładnie.

³⁰⁷ksiągów (gw.) — dziś popr. forma D. lm: ksiąg.

³⁰⁸dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

dzisz³⁰⁹, inszy by pół życia za to szczęście oddał, a ten się krzywi.

— Okrutnie się króla boję...

— Durnys... cóż ci król zrobi? A po drugie, nie przybieraj se do głowy, jakoby pan miłościwy miał zwracać oko na taką przószynę. Czy ciebie mucha co obchodzi? Ano, tyś jeszcze mniej niż mucha przeciw królewskiej osoby. Stój se cicho w kąciku, ani wiedział będzie, czy żyjesz na świecie.

Poszli tedy na Wawel. Jego przewielebność w nowej z cienkiego sukna sutannie z fioletoowymi wypustkami na szwach, w rokicie³¹⁰ popielicowej³¹¹ z ogonkami dokoła poobszywanymi dla ozdoby i w dużym birecie z klapami na uszach. Wawruś tupał za nim z wielką księgą *in quarto*³¹² w objęciach. Paweł mu włoski wodą polał i grzebieniem gładziutko uczesał, wyglądały jak przyklejone. Koszulka czysta, granatowy kubraczek, jasnoorzechowe nogawice i ciżemki z jałowiczej skóry.

Im bliżej byli celu, tym ciężej się robiło obydwom; ksiądz stękał, bo góra stroma, Wawrusiowi serce kołatało ze strachu. Aż stanęli u bramy dziedzińca. Długosz zatrzymał się i oddychał głośno.

— Wasza przewielebność raczy spocząć krzyżę — prosił odźwierny, całując księdza w rękę — miłościwy pan nie darmo się troska o swych gości; wawelska góra bystra³¹³, młody wbiegnie śpiewający, a starszemu niezdrowo.

I wskazał kamienną ławę we framudze muru.

— Słusznie radzisz, posiedzę chwilę; jeszcze mnie siła³¹⁴ schodów czeka. Król jego mość w komnatach?

— Tylko co wrócił ze sadu³¹⁵; ich miłości królewicze Zygmunt³¹⁶ i Frydrusz³¹⁷ jabłka obierają, to się im przypatrował³¹⁸.

— No, już mi zelżyło; pójdźmy dalej — rzekł Długosz, wstając z ławy.

Wawruś przypatrywał się ciekawie wszystkiemu, w ciągłym oczekiwaniu jakichś niewywałych przepychów, a znajdował stare kamienne schody, ciasne korytarze i ciemną izbę, przez które ksiądz kanonik szedł, nie zatrzymując się.

W przedpokoju królewskim przywitał Długosza komornik niskim ukłonem i poszedł oznajmić go królowi.

— Najmiłościwszy pan prosi — rzekł, otwierając drzwi przed gościem.

Tu już spodziewał się Wawruś na pewno ujrzeć ściany ze szczerego złota, podłogę ze srebra, a królewską osobę w płaszczu wysadzonym drogimi kamieniami. Zobaczył wielką izbę sklepioną, z ławami rzeźbionymi dokoła ścian, kobierce na podłodze, a w głębokiej framudze wąskiego okna, na kamiennych siedzeniach dwie postacie, których nawet w pierwszej chwili nie mógł dojrzeć wyraźnie. Pod światło widział tylko, że to byli mężczyźni, stary i młody.

„Ot robota — pomyślał — bałem się i boję się wciąż, a nic nie wiem. Zali pójdziemy dalej? albo może jeden z tych w oknie to sam król? Ale który? Z gołymi głowami oba, to nie poznać... Czegóż się ksiądz kanonik tak bez pół zgina³¹⁹?”

Starszy z siedzących u okna panów zwrócił się ku jego przewielebności. Szczupłą miał twarz, jakby schorowaną, kości policzkowe mocno wystające, lica³²⁰ zapadłe. Przez całą szerokość czoła bieging zmarszczki głębokie, oczy zmęczone były i smutne jakieś. Skinał uprzejmie ręką.

— Witajcie, księżu kanoniku! Serdecznie wam rad jestem. Graliśmy w szachy z Olbrachtem³²¹; dostał dwa maty, a trzeci mu grozi lada chwila.

Gra, Król, Ojciec, Syn

³⁰⁹uwidzieć (gw.) — zobaczyć.

³¹⁰rokiet — komża, symbol godności kanonika.

³¹¹popielicowy — ozdobiony skórkami popielic, małych gryzoni podobnych do wiewiórki.

³¹²*in quarto* (łac.: na cztery) — format książki, wielkości arkusza złożonego na cztery.

³¹³bystry — szybki; tu: stromy.

³¹⁴siła (daw.) — dużo, wiele.

³¹⁵ze sadu (gw.) — z sadu.

³¹⁶Zygmunt I Stary (1467–1548) — późniejszy król Polski (w latach 1506–1548). Za jego panowania odbył się hołd pruski i rozbudowano Wawel.

³¹⁷Frydrusz — Fryderyk. [przypis autorski]

³¹⁸przypatrować (gw.) — przypatrywać.

³¹⁹bez pół się zginać (gw.) — kłaniać się nisko; bez (gw.) — przez.

³²⁰lica (daw.) — policzki.

³²¹Olbracht — Jan I Olbracht (1459–1501), syn Kazimierza II, późniejszy król Polski (w latach 1492–1501).

— Co nie, to nie, miłościwy ojcze! — zawołał młody. — Właśnie wam wziąłem rocha³²², a szach królowi i królowej nabawił was kłopotu nie lada; musicie przegrać tę partię.

— Miejże uciechę, żeś wygrał raz na sto, zgadzam się.

Królewicz, młodzieniec o pięknych rysach i wspaniałej postaci, pocałował, śmiejąc się, ojca w rękę, zamknął szachownicę i skłoniwszy się uprzejmie Długoszowi, wyszedł z komnaty.

— Usiądźcie, wielbny kanoniku. Mówił mi ksiądz jałmużnik³²³, że w Tyńcu z wami się zjechał³²⁴; długoście tam byli?

— Dwa dni, miłościwy panie, a i to za wiele. Na starość ino doma³²⁵ najlepiej.

— Słyszałem także od owego³²⁶, że znamienite dzieło wasze ukończyliście już z pomocą Bożą.

— Tak jest i mocno się tym raduję, bom się lękał, że nie dopełnię zamierzonej całości. Teraz się ino troskam, by inisi po mnie, z uczciwością prawdzie służąc, dalej dzieje ojczyzny i panowanie królów spisywali.

— Pomnicie też, księżę kanoniku, obietnicę?

— O tej li mówicie, miłościwy panie, którą wam dałem przed rokiem?

— Tak jest, przyrzekliście, gdy ostatnią kartę napiszecie, dać mi to dzieło do czytania. Niecierpliwie oczekuję.

— Nie wszystkie jeszcze księgi przepisane, ale dziś mam tu ze sobą jedną, właśnie tę, o którąście mnie kilkakrotnie pytali, panowanie i zgon nieśmiertelnej pamięci brata waszego Władysława.

— Wdzięczny wam jestem szczerze i zaraz jutro czytanie rozpocznę. Mówiliście, że ksiąg ma być dwanaście?

— Tak jest; a ta, jedenasta z porządku.

— Dwunasta zaś traktuje o mnie. Zali³²⁷ mógłbym ją wziąć do ręki bez szkody na zdrowiu? — żartobliwie uśmiechając się, pytał król.

A Długosz odpowiedział z powagą:

— O dawnych wiekach i panowaniach pisząc, szukałem autorów godnych wiary; a i tych kroniki porównywałem jeszcze z innymi współczesnymi, by prawdy lub kłamstwa dociec, a o ile stać słabe siły człowieka, wiernie wypadki dziejowe spisywać. To ano, co się za mego żywota przygodziło lub na co patrzałem własnymi oczyma, starałem się wyrozumieć sprawiedliwie, strzec się prywaty i bezstronnie do wiadomości potomnych przekazać. Czy nieudolność duszna albo słabość ludzka nie podyktowały mi sądów zbyt surowych o tym lub owym zającu, nie mam prawa stanowczo zaprzeczać. Dlatego też ostatni rozdział mej kroniki zamknąłem prośbą do Boga wszechmogącego o przebaczenie, jeżeli mi jednym słowem przeciw prawdzie zgrzeszyłem, a do czytelników, by one mimowolne błędy i omyłki wedle najlepszego rozumienia poprawiali. Tedy ufam, najmiłościwszy panie, że śmiecie i dwunastą księgę czytać możecie. O sobie tam całę³²⁸ nie rozpisuję się, a krzywdę doznaną od braci Kurozwęckich, którzy, korzystając z niełaski waszej na mnie, złupili mój dom doszczętnie, wspominam ino kilkoma słowami³²⁹.

— Wierzajcie mi, księżę kanoniku, że prawdziwie bolałem nad tymi nadużyciami — rzekł król serdecznie — dziś jeszcze, po latach dwudziestu, żal mi, że tego, co się stało, nie mogę wymazać z waszej ni swojej pamięci.

— Stało się, minęło, i co się mnie tyczy, to zapewniam was, miłościwy panie, że minęło bez śladu. Wynagrodzon jestem nad zasługę, że mi danym było synaczków kró-

³²²*roch* (daw.) — wieża (jedna z figur szachowych); słowo to pochodzi od perskiej nazwy słonia bojowego z wieżą strzelniczą na grzbiecie.

³²³*jałmużnik* — duchowny a. urzędnik, rozdzielający w imieniu króla jałmużnę ubogim.

³²⁴*zjechać się z kimś* — spotkać się z kimś, przyjechać w tym samym czasie.

³²⁵*doma* (gw.) — w domu.

³²⁶*ów, owego* — ten, tego.

³²⁷*zali* (daw.) — czy, czyż.

³²⁸*całe* (daw.) — wcale, zupełnie.

³²⁹*słowy* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: słowami.

lewskiej waszej miłości preceptorem³³⁰ być i wychowawcą. Obdarowaliście mnie, panie, łaską i zaufaniem, nic mi więcej nie potrzeba³³¹.

— Ale mnie pilno sprawić waszej przewielebności zadośćuczynienie, na świadectwo mych dla was najlepszych chęci. Gdybyście mię³³² byli dziś nie nawiedzili, jutro bym po was posyłał. Po śmierci Grzegorza z Sanoka archidiecezja lwowska przeszła od dwóch lat bez pasterza; wiadome wam rozterki w kapitule i kto je wznieca. Pokonałem wreszcie te trudności, nominacja waszej przewielebności na tę stolicę już podpisana, książdz podkanclerzy jutro ją wam doręczy.

— Nie zaszczyt wielki uciechą mi jest, miłościwy panie — odpowiedział Długosz — starym już, śmierci bliski, o światłości wiekuistej mi rozważać, a nie doczesnych blasków łaknąć. Ino mię to raduje, że w onym czynie waszej królewskiej miłości pełnię łaski i życzliwości dostrzegam. Przyjmuję i korne dzięki składam.

— Zechciejcie pokazać mi ową jedenastą księgę, jeżeli jest pod ręką.

— A jakże, pacholik mój przyniósł ją za mną. Wawrześ!...

Z najciemniejszego kąta komnaty wysunął się struchlały malec i gruby tom, w wyborową skórę oprawny, podał swemu panu; Długosz zaś z pokłonem wręczył królowi.

— Jakom rzekł, od jutra czytanie rozpocznę; dziś tylko obejrzę karty. Aaa... pismo piękne, równe, inicjały bogate, biegłych macie pisarzów, księżę kanoniku... Jak to? Już dzwonią?

Król Kazimierz zatrzymał księgę na kolanach, przeżegnał się i spuściwszy oczy, odmawiał Anioł Pański³³³ półgłosem. Długosz uczynił to samo. W komnacie robiło się szaro, wczesny jesienny zmrok zapadał.

Wszedł paż z dwoma zapalonymi świecznikami w rękę i postawił je na podłużnym stole przy drugim oknie, gdzie widocznie król zwykł był pisywać, bowiem ława z oparciem piękniej była rzeźbiona od innych i poduszka na siedzeniu miała aksamitną poszwę, nie sukienną. Na stole leżały papiery i kilka ksiąg.

Przez drzwi, pozostawione otworem, można było widzieć następną izbę i trzecią, z której biło światło kilkunastu świec ustawionych na dużym stole, nakrytym białym obrusem i srebrnymi talerzami. Paż pokłonił się nisko, wyprostował sztywnie i przytłumionym głosem, by nie razić uszu królewskich, oznajmił:

— Wieczera na stole, miłościwy panie!

Długosz powstał i chciał żegnać króla, ten jednak nie dał mu odejść mówiąc:

— Zostańcie, zostańcie, księżę kanoniku; nie tak dawne czasy jeszcze, gdyście mi domownikami byli. Spożyjmy razem, co Bóg dał, a miłościwa pani nasza, Elżbieta, przypawić zaleciła. Woda do mycia jest? — spytał krótko czekającego u drzwi pazia.

— Tylko co przyniosłem — odpowiedział.

— Pójdźcie, wielebny księżę; w drugiej komnatce opluczmy ręce i do stołu.

Król dźwignął się z ławy powoli, wspierając się rękoma o poręcz.

„O... jaki też to wysoki! — pomyślał Wawrześ, wyruszając ze swego kąta na skinienie jego wielebności. — Choć o pół głowy większy od księdza kanonika. Jakżeż... tak się godzi, zwyczajnie król. A jeszcze gdyby się nie przygarbiał... tak one plecy pochyła, jakby co ciężkiego dźwigał”.

W komnacie jadalnej, u stołu zastawionego misami gorących potraw czekała królowa z synami: Olbrachtem, Aleksandrem³³⁴, Zygmuntem i Fryderykiem³³⁵, i córeczką ośmioletnią, Elżbietą³³⁶, która po wyjściu za mąż królewien Jadwigi³³⁷ i Zofii³³⁸ od roku już jako najstarsza córka zasiadała z rodzicami do stołu.

Król

³³⁰preceptor (z łac.) — nauczyciel.

³³¹potrzeba (gw.) — potrzeba.

³³²mię — dziś popr.: mnie.

³³³Anioł Pański — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i o 18:00, o której dawniej przypominano wiernym, bijąc w dzwony kościelne.

³³⁴Aleksander Jagiellończyk (1461–1506) — późniejszy król polski (w latach 1501–1506).

³³⁵Fryderyk (1468–1503) — najmłodszy syn Kazimierza II, późniejszy biskup krakowski i prymas Polski.

³³⁶Elżbieta Jagiellonka (1472–ok. 1481) — czwarta z kolei córka Kazimierza II, zmarła w dzieciństwie. To samo imię otrzymała następna córka (ok. 1482–1517), która została żoną księcia legnickiego.

³³⁷Jadwiga Jagiellonka (1457–1502) — drugie dziecko Kazimierza IV, żona księcia bawarskiego.

³³⁸Zofia Jagiellonka (1464–1512) — druga córka Kazimierza IV, żona margrabiego brandenburskiego, matka Albrechta Hohenzollerna (1490–1568), ostatniego wielkiego mistrza krzyżaków, który przeszedł na protestantyzm i przekształcił Prusy zakonne w Prusy Książęce.

— Przyprowadzam waszej miłości gościa rzadkiego a wielce miłego — rzekł król Kazimierz, całując żonę w czoło — jego przewiełbność... — przerwał umyślnie i kończył głosem uroczystym: — arcybiskup nominat lwowski.

Długosz pochylił się w niskim ukłonie, królowa zaś podeszła parę kroków i podając staruszkowi rękę, pocałowała go w ramię.

— A tu macie, przewiełbny panie, domową czeladkę — dodał król, wskazując na dzieci. Zbliżyli się wszyscy z wyjątkiem Olbrachta, bo ten już się był witał poprzednio, i nie wyłączając małej Elżbietki, pocałowali księdza w rękę.

— Waszą miłość — rzekł Długosz do królewicza Aleksandra — mogę jeszcze od biedy zaliczyć do moich wychowanków; jeden rok wprowadzie, aleś był moim uczniem. Władysław³³⁹ już króluje, Kazimierz³⁴⁰ więcej w Wilnie niż w Krakowie przebywa, królewicz Olbracht ino upatruje, kędyby³⁴¹ wyfrunąć z gniazda i miecza spróbować... a jakże idzie nauka młodszych, miłościwy panie?

— To już signor Buonaccorsi-Kallimach³⁴² najprawdziwiej waszej przewiełbności odpowie. — Król rzucił okiem po komnacie i zwrócił się do żony: — A gdzie jego miłość pan preceptor?

— Był tu przed chwilą — odpowiedziała królowa — przychodził usprawiedliwić się, jako bliski krewny z Florencji w odwiedziny doń przyjechał; prosił o uwolnienie od obowiązków na dwa lub trzy dni. Ponieważ zajęci byliście rozmową z gościem, miłościwy mężu i panie, przeto rozumiałam, że godzi mi się zezwolić w waszym imieniu.

— Słusznie wasza miłość uczyniłaś; zapewne ów gość włoski dłużej tu zabawi, zawiadomię tedy Kallimacha, by nie krępując się, jak najwięcej z krewnym przebywał.

Królewicz Fryderyk skubnął w ramię Zygmunta i szepnął mu coś do ucha, śmiejąc się cicho.

— O sprawowanie młodych pytaliście, przewiełbny panie — wrócił król do przerwanej rozmowy. — Zygmunt spokojny, rozważny, może kiedy po najdłuższym życiu waszej przewiełbności infulę po was odziedziczy.

— Tak sądzicie, miłościwy królu?

— Piąty z braci... do tronu się chyba nie docisnie; a z przyrodzenia sensat, niech się ima nauki i ołtarza. Bo co się Frydrusza tyczy, to...

— Nie lubi ksiąg i pióra? — spytał Długosz.

— Owszem, jego miłość signor Kallimach cał zadowolony z pilności, chwalił go dziś jeszcze za extemporalia³⁴³ łacińskie; powiada, że pojęcie ma łatwe i elokwencję nad wiek, ino...

— Zuchwalec może? — spytał ksiądz. — Miałem ja na to lekarstwo niezawodne swojego czasu; ano ręka ojcowska skuteczniej pohamuje krnąbrność.

— Zuchwały nie jest, ino pstro w głowie; krotofile³⁴⁴ a psikusy na każdy dzień nowe.

Długosz nachmurzył się srodze i odchrząknął groźnie, ale zwróciwszy twarz na króla, uśmiechnął się i szepnął:

— Pacholątko to jeszcze, nie pora na powagę.

Zazwyczaj sam król odmawiał modlitwę przed jedzeniem, dziś ze względu na obecność duchownego usunął się na bok, a Długosz przeżegnał misy i odmówił *Benedicite*³⁴⁵.

Zasiedli wszyscy w porządku zwykłym, to jest królestwo oboje w pośrodku stołu; przy królowej nad wszystkie dzieci ukochany królewicz Olbracht, przy królu królowna Elżbieta. Naprzeciw zajął wskazane przez miłościwą panią miejsce kanonik Długosz, mając z prawej Zygmunta, z lewej Aleksandra i Fryderyka.

³³⁹Władysław II Jagiellończyk (1456–1516) — najstarszy syn Kazimierza II, król czeski i węgierski.

³⁴⁰Święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

³⁴¹kędy (daw.) — dokąd, gdzie.

³⁴²Buonaccorsi-Kallimach — Filip Buonaccorsi (1437–1496), przybrał przydomek Kallimach na cześć gr. poety z III w. p.n.e. Włoch, poeta i kronikarz, piszący po łacinie. Nauczyciel synów króla Kazimierza II Jagiellończyka.

³⁴³extemporalia (z łac. *extemporalis*: robiony na poczekaniu, naprędce) — ćwiczenia polegające na tłumaczeniu z łaciny na bieżąco, bez przygotowania.

³⁴⁴krotofila a. *krotochwila* (daw.) — dowcip, żart, psota.

³⁴⁵*Benedicite* (łac.: błogosławcie) — modlitwa przed posiłkiem.

Król był wesół i mowny jak rzadko; pojednanie z Długoszem uspokoiło jego sumienie, a nadanie arcybiskupstwa było dowodem łaski i piękną koroną tej zgody. Do rozmowy mieszał się tylko z rzadka i nieśmiało dziewiętnastoletni królewicz Olbracht, młodszy bracia i królowa sprzątała gęś z szarą podlewą i kaszę jęczmienną ze skwarkami, nie odzywając się, chyba najcichszym szeptem jedno do drugiego.

Za krzesłem każdego z biesiadników stał paź dla usługi; Wawrzek, na znak dany przez jego przewiełbność, chcąc nie chcąc musiał uczynić to samo; a że i w domu posługiwał przy stole, dosyć więc zręcznie dawał sobie radę mimo wielkiego onieśmielenia na widok całej rodziny królewskiej. W ciągu wieczerzy, która trwała dość długo, nabierał powoli odwagi i niepamiętny słów Pawła, że jest marną muchą, niegodną spojrzenia miłościwego pana, poddał się pokusie ciekawości i z początku ukradkiem, a później coraz jawniej wpatrywał się w twarz króla, królowej, małej królowej i królewicza Olbrachta, których miał naprzeciwko siebie. Elżbietka, jego rówieśnica, podobą mu się bardzo... od tylu miesięcy nie miał stosownego wiekiem towarzystwa, nie rozmawiał z żadnym dzieckiem. Zapomniał na chwilę, gdzie jest, i wlepił ogromne siwe oczy w niebieskie oczka królowej.

Mała księżniczka nudziła się bardzo przy stole; rozmowa starszych nic a nic jej nie zajmowała; mimo to siedziała wyprostowana, grzeczna, z buzią poważną. Niebieskie oczy, niby nieruchomo utkwione w przeciwną ścianę, patrzyły wcale gdzie indziej i mówiły:

— To ty jesteś Wawrzus. Słyszałam, jak cię wołano.

A siwe oczy odpowiedziały:

— Pierwszy raz widzę prawdziwą królową; bardzo mi się podobasz, bo masz takie śliczne włosy jak Jasiek.

— Jaki Jasiek? — pytały niebieskie.

— Mój przyjaciel, tam w Porębie — odpowiedziały siwe.

— Chciałabym się z tobą pobawić — prawyły rozgadane oczka — zawsze jestem sama, a moja niania ma tysiąc lat!

— Ja także jestem bardzo biedny — żaliły się siwe — mój pan i Paweł mają także co najmniej tysiąc lat; prawie nigdy nie wychodzę z domu, ino czasem do ojca Szymona.

— A ja albo siedzę w mojej komnatce, albo z nianią chodzę po ogrodzie. Niania nie umie biegać ani skakać... a ty umiesz?

— Ja nawet umiem na rękach chodzić. Umieć także zwierzątko z drzewa wyrzynać. Jakie trzewiczki noszą zwykle królowy?

— Wczoraj dostałam nowe, śliczne, modre jak niebo.

— E... żółte niech ci pani królowa sprawią.

— Żebyś wiedział, jak mi się przykrzy, uczą mnie po niemiecku, po łacinie; wiesz, Wawrzusiu, aż czasem nawet płaczę.

— Ach, gdybym ja był królewiczem, bawilibyśmy się razem!

— Gdybym ja była dziewczynką, a nie królową, jakby to było wyborne!

Już od dłuższego czasu królewicz Aleksander okazywał wielkie złoćopotanie; poruszał nieznacznie lewym ramieniem, poprawiał się niby na zydłu, to znów czegoś szukał pod stołem. On, zazwyczaj powolny i nieruchawy, dziś wyjątkowo nie mógł usiedzieć na miejscu. Wreszcie niepokój wziął górę nad karnośćią i mimo że młodszy dzieciom nie wolno było mówić do króla, tylko na zapytanie odpowiadać, odezwał się nieśmiało:

— Miłościwy ojciec...

Król Kazimierz, zajęty rozmową z żoną i Długoszem, nie dosłyszał; królowa Elżbieta rzuciła na syna zdumione spojrzenie; Aleksander powtórzył głośniej:

— Miłościwy ojciec...

Król zwrócił twarz do syna i popatrzył nań surowo.

— Co powiadasz?

— Zechciejcie zezwolić, abym wstał od stołu i przeszedł do drugiej komnaty.

— Po co? — zadziwił się król.

— Gad jakowys duży alboi robak wszedł mi do rękawa i bezprzestannie łązi po ramieniu. Tak mię dręczy, że dłużej zdzierżyć nie mogę; muszę zdjąć jakę i spędzić ono plugastwo.

— Idź — rzekł króćko ojciec, a królewicz skorzystał z pozwolenia, z niebywałą chyżością poskoczył do drugiej izby i niemal równie prędko powrócił.

Dzieciństwo

— Cóżś znalazł? — spytała matka. Oszczędny w słowach młodzieniec odpowiedział jedną głoską:

— O!

I pokazał trzymany w dwóch palcach... duży kłos jęczmienny.

— Nie dziwota, że wasza miłość wycierpieć w spokoju nie zdołałeś — rzekł, śmiejąc się, Długosz — wiadoma to rzecz, co za peregrynacje³⁴⁶ odprawia kłos jęczmienny włożony za odzież. Sam się na własnych ostrych włoskach posuwa, przysięgłbyś, że jakieś żywe stworzenie, konik polny albo jelonek.

— Skądże ci wlaź do rękawa? — spytała królowa. — Byłeś dziś może z podstarościm w spichrzu?

— Nie, miłościwa matko; od obiadu siedziałem doma i nie czułem nic, dopiero przy wieczerzy.

— Fryderyk w spichrzu był? — spytał ojciec surowo najmłodszego syna.

Królewicz spuścił głowę nad sam talerz i cicho wyjąkał:

— By... łem... najmiło... łościwszy ojcie.

— Przez miesiąc, od dzisiejszego dnia, zakazuję wierzchem jeździć. Ani nogą do stajni.

— Bulanka się zastoi — szepnął płaczliwie królewicz.

— Zygmunt ją co dzień przejedzie.

— Ponosi go... zrzuci...

— Niech się trzyma.

— Miłościwy ojcie...

— Dosyć. Powiedziałem.

Król Kazimierz podniósł się z krzesła, wszyscy powstali. Odmówiono modlitwę; dzieci podziękowały rodzicom za wieczerzę pocałowaniem ręki, król uściskał żonę, po czym przeszedł z gościem do swej komnaty. Ale Długosz pożegnał się niebawem, raz jeszcze wyrażając gorące podziękowanie za wyniesienie na arcybiskupią stolicę.

Przyszedłszy za swym panem do domu, Wawrzus służył mu przy rozbieraniu, przyniósł świeżej wody do podręcznego dzbana i do kociołka na umywalnię, po czym pochwalił Pana Jezusa i pomknął na poddasze, przeskakując po dwa schody. Poczciwy Paweł chrapał jak najęty.

— Oj, nie pójde jeszcze spać, nie pójde — mruczał chłopak pod nosem — muszę se najpierw panienkę maluśką wyrobić, póki dobrze pamiętam. Ino główkę z noskiem, z oczkami, z włoskami.

Zabrał się z wielkim zapalem do roboty.

Długosz tymczasem nie mógł jakoś usnąć. Bytność w Tyńcu, jako zmiana długoletniego trybu życia, już go trochę zmęczyła; a dzisiejsze odwiedziny u króla, rozmowa z Kazimierzem Jagiellończykiem, dawnych gorczy wspominki, a w końcu serdeczne słowa królewskie i świetne zadośćuczynienie, wszystko snuło mu się po głowie i sen z oczu spędzało. Zapalił świecę, chciał czytać, nie mógł skupić uwagi. Postacie Stanisława i Dobiesława z Kurozwęk, co przed laty dwudziestu splądrowali i złupili dom jego, stanęły mu żywo przed oczyma... dziś Stanisław zestarzał się i wraz z duchowną szatą ułagodził dawną porywczność. Jako podkanclerzy, z urzędu będzie musiał doręczyć mu nominację...

Poleżał chwilę z przymkniętymi oczyma, ani rusz usnąć.

„Starość nie radość — pomyślał — w późniejszym wieku nawet pomyślność jest udręczeniem”.

Zaczął odmawiać pacierze, i to nie pomagało, zwłaszcza że szmer jakiś na górze za-
niepokoił go.

„Oni tam także nie śpią, zda się; może zaniemógł który”.

Wstał z łóżka, postęgując, odział się w kapotę futrem podbitą i ciepłe ciżmy sukienne i ze świecą w ręku wyszedł do sieni. Spojrzał ku drzwiom poddasza, przez szczelinę widać było światło.

Wawrzus tak był zajęty wyrzynaniem noska królewny, że nie tylko cichych kroków księdza kanonika nie usłyszał, ale nie zauważył nawet, że ktoś stoi tuż obok niego i patrzy... Długosz patrzył i dziwił się. Zdradziło go chrypliwe chrząknięcie. Chłopiec skoczył jak

Kara, Król

Starość

³⁴⁶ peregrynacja (z łac.) — pielgrzymka, wędrówka.

oparzony, a ujrawszy jego przewielebność nad sobą, ani próbował wymówek, wykrętów, królewna z rąk mu wypadła, stał nieszczęsny zbrodniarz, czekając kary.

— Czemu nie śpisz? Co to ma znaczyć? Już dawno po północy.

Wawrzus milczał.

— Pokaż, co robisz?

— O Jezu... wasza przewielebność... nie bijcie! Ja nocami ino... jak matusię kocham, ino w nocy!

— Pokaż, co robił!

Podniósł nie dokończoną główkę, ręka mu drżała, że omal nie upuścił, i podał księdzu. Nie było na co patrzeć, owal twarzy ledwie zaznaczony, broda i szyjka już podrzeźbione, włosy rozdzielone nad czołem, brewki, nosek zaczynał występować... Jeszcze nic, a jednak w twarzy Długosza odmalowało się zdumienie.

— Masz co więcej? Coś skończonego? Pokaż!

Wawrzus westchnął ciężko. Jeszcze nie bije... chce więcej zobaczyć... a wtedy co? Pewno wypędzi.

— No, pokaż.

— Boję się...

— Ależ ja się nie gniewam. Czego się boisz?

— Naprawdę bicia nie dostanę?

— Za co? Lepiej, że się tak bawisz, niżlibyś baki zbijał. Ino szkoda, że w nocy. Noc Pan Bóg dał do spania. Mało to czasu masz we dnie? Tedy nie marudź, ino pokaż coś gotowego.

Malec włożył cały pod tapczan i wygarnął kilkanaście drewienek.

— To jest tatuś, proszę waszej przewielebności, a to Jasiek... a to nasza Gwiazdula, a to...

— Widzę, poznaję, kościółek świętego Idziego; wyśmienicie wydarzony, pochwalić się godzi. A to?

— To jest moja matusia. Wasza przewielebność widzi, jaka dobra? Zawdy³⁴⁷ się na mnie tak patrzy. A jak my się spać kładli, to mnie i pocałowała czasem. Teraz... teraz... to choć taką drewnianą, co wieczór...

Buzia mu się skrzywiła, pociągnął nosem i dalej przebierał w klockach.

— A to ojciec Szymon, a to nasz Znajduś, jak łeb z budy wystawia.

— Pokaż no to coś większe, coś teraz miał w ręku i pod łóżko zasunął.

Wawrzusia jakby warem oblał; zaczerwienił się aż po włosy.

— To... to złamane... nie ma na co patrzeć.

— Pokaż zaraz! Aha... to ja tak wyglądam? No, brwi i nosa cale³⁴⁸ mi nie żałowałeś. Podaruj mi ten wizerunek, będę nań co dzień patrzył, abym się w pychę nie unosił, żem nadto urodziwy.

Widząc, że ksiądz kanonik śmieje się całkiem szczerze, Wawrzus zrozumiał, że mu nic nie grozi i jego przewielebność raczy łaskawie żartować. Rezon mu wrócił zupełnie i już śmielej spojrział ku księdzu kanonikowi. Pocałował go w rękę i także się uśmiechnął.

— Kiedy się waszej przewielebności tak udał, to se go weźcie, daruję wam.

— Bóg ci zapłać. Teraz ano dość tej mitręgi. Spać mi pójdziesz natychmiast. Jak nie usłuchasz, a nalazłbym cię kiedy w nocy tak jak dziś... skóra w robocie.

— Oj nie, nie; dy wolę w dzień, jeśli się nie gniewacie.

UCZEŃ MISTRZA WITA

Wit Stwosz zabija anioła. — Okrutnie dobry brodaty człowiek. — Wawrzus i święci z ołtarza. — Legenda o Wniebowzięciu. — Po co przyszedł do warsztatu gwardian bernardynów.

Biedny był ksiądz kanonik Długosz³⁴⁹; biedny od wczoraj arcybiskup lwowski! W samo południe oczekiwał zapowiedzianego przyścia księdza podkanclerzego z nominacją,

³⁴⁷zawdy (daw.) — zawsze.

³⁴⁸cale (daw.) — wcale, zupełnie.

³⁴⁹Jan Długosz herbu Wieniawa (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

co było dlań kłopotliwym z dwóch względów: pierwszy ten, że Długosz nie lubił wszelkich ceregieli dworskich i urzędowych oracji; po wtóre, osoba Stanisława z Kurozwęk przypominała mu zbyt przykre chwile; przybierać twarz w uprzejmość, prawić słówka wytworne i ostatecznie dziękować — jeżeli nie za dekret, który był dziełem i łaską króla, to za jego doręczenie — wszystko to było Długoszowi bardzo nie w smak. Niepodobieństwem jednak było wymigać się od tej pańszczyzny; obyż ją przynajmniej uczynić jak najkrótszą! Dla chcącego nic trudnego; ksiądz Długosz wynalazł sposób.

Wysokie dostojęstwo arcybiskupa, choćby nawet dopiero co mianowanego, dawało od razu pewne przywileje. Na przykład mógł taki ksiądz Kościoła potrzymać gościa niższego hierarchią w poczekalni małą chwilę. Zaś kto znał pyszałkowatość księdza podkanclerzego, wiedział, że takie minuty oczekiwania dotkną go niemiłe; skutkiem czego nie roztworzy³⁵⁰ upustów swego krasomówstwa ani się rozplynie w komplementach, ino³⁵¹ załatwi rzecz krótko i sucho.

Długosz znał Stanisława z Kurozwęk...

Przy tym inną jeszcze sprawę miał na głowie, a załatwienie jej wiązało się zrzecznie z przytarcie rożków księdzu podkanclerzemu. Spojrzał na zegar klepsydrowy, dwu godzin brakowało do południa; właśnie czasu wystarczy na wszystko. Zadzwoił. Wawrzek z rozjaśnioną twarzą wszedł i stanął przy drzwiach.

— Biegaj do pana Żegoty, pokłoń mu się ode mnie i proś, żeby wstąpił zaraz; mam mu coś powiedzieć.

Jego miłość pan Żegota z Proszowic, daleki krewny Długosza, zajmował dwie izdebki w domu księdza kanonika na dole. Dostawał żywność i opał, stróż miał przykazane obsłużyć go uczciwie, a za to wszystko obowiązany był spełniać polecenia księdza-wuja (tak Długosza nazywał) i być na jego rozkazy. Od czasu do czasu dostawał po kilka złotych, z czego sobie sprawiał skromne ubranie.

Przyszedł naturalnie czym prędzej, a rozmowa trwała krótko, bo się księdzu bardzo śpieszyło.

— Sprawże mi się, waszmość, jak należy, to pomyślimy o żupaniku od niedzieli, bo ten, widziałem, już się przeciera.

— Jeżeli wasza przewielebność raczy zezwolić — rzekł pan Żegota, całując księdza w rękę — to zreasumuję³⁵² jego instrukcje. (Pan Żegota lubował się w wyrazach łacińskich). — Tedy mam pilnie oczekiwać *in aula*³⁵³ przybycia księdza podkanclerzego; przyjąć go *honestissime*³⁵⁴ i *stante pede*³⁵⁵ lecieć do pracowni księdza-wuja, a w rzeczy weryfikować³⁵⁶, zali³⁵⁷ wrócił z miasta albo³⁵⁸ nie. Następnie *de noviter*³⁵⁹ jawić się przed oblicznością księdza Kurozwęckiego i o chwilę pacjencji³⁶⁰ upraszać a dyskursem³⁶¹ dwornym³⁶² zabawiać. Konkluduję³⁶³, że nie zabaczyłem³⁶⁴ ani słówka.

— Wyśmienicie. Masz więc przyjść dobrze przed południem, by ksiądz podkanclerzy ani momentu sam nie pozostawał. Jędrzej niech nikogo nie odprawia od bramy, wracam niebawem. Wawrzus!

— Tę jest³⁶⁵! — zapiszczało od proga.

— Wybierz spośród onych twoich robótek matusinę główkę, Jaśka, kościółek; pójdziemy na miasto.

Grzech, Artysta

³⁵⁰roztworzyć (daw.) — otworzyć.

³⁵¹ino (gw.) — tylko.

³⁵²zreasumować (z łac.) — krótko powtórzyć, streścić, podsumować.

³⁵³in aula (łac.) — w sali.

³⁵⁴honestissime (łac.) — bardzo gościnnie.

³⁵⁵stante pede (łac.) — na jednej nodze, tj. natychmiast.

³⁵⁶weryfikować (z łac.) — sprawdzić.

³⁵⁷zali (daw.) — czy.

³⁵⁸albo (daw.) — czy też.

³⁵⁹de noviter (łac.) — znowu, jeszcze raz.

³⁶⁰pacjencja (z łac.) — cierpliwość.

³⁶¹dyskurs (z łac.) — rozmowa.

³⁶²dworny — grzeczny, uprzejmy, wyszukany, elegancki.

³⁶³konkludować (z łac.) — wnioskować.

³⁶⁴zabaczyć (daw.) — zapomnieć.

³⁶⁵tę jest — tu jestem.

Wawrzek otworzył szeroko usta... po co brać to wszystko? Czy ksiądz kanonik zanieśie te drewniane grzechy do Wisły i wrzuci na największą głębię? Czy poprosi ojca Szymona, by odczytał egzorcyzmy nad jego głową? Słusznie; tatuś zawsze powtarzał, że dziecko czarownik urzekł. No dobrze, niech będą egzorcyzmy. Ale topić w Wiśle matusię? Choćby ino podobieństwo matusi!

Wyszli na ulicę.

„Ucieknę abo³⁶⁶ co? — pomyślał, próbując uwolnić się od trzymającej go ręki księdza. — Jakże uciekać, kiedy mocno trzyma i gdzieś wiedzie”.

Zawrócili z ulicy Kanoniczej w Poselską i weszli do narożnego domu po lewej stronie. Sienć krótka, wąska, za to podwórze ogromne niczym jaki rynek. Więcej niż połowę tego placu zajmowała obszerna szopa z desek.

Ksiądz przystanął i pytał o coś przechodzącego chłopca w szarym fartuchu aż po szyję, spod którego wyzierały białe rękawy od koszuli. Wawrzus rzucił obojętnie okiem w prawo, w lewo, zobaczył kilkanaście pni bukowych i lipowych, wspartych o mur wzdłuż jednego boku podwórza. Przy nich leżały ociosane siekierą białe kłoc drewniane; trochę dalej, przy drugiej ścianie, znowu kłody jakoś cudacznie pociupane; górą zdawało się, jakby coś trochę podobne do głowy, potem niby jakieś ręce niewyraźne, to znowu kawał drzewa leżał na ziemi, przysiągłbyś, że wielkie skrzydło.

„Na co takie?” — myślało dziecko.

Z boku schody prowadziły na ganek, przez który się szło do mieszkania. Szopa miała trzy szerokie okna i drzwi, w tej chwili na rozcież otwarte. Chłopak w fartuchu wskazał ręką w tę stronę i ksiądz kanonik szedł ku szopie, ciągnąc Wawrzka za sobą. Jeszcze ich kilka kroków dzieliło ode drzwi, gdy usłyszeli głos jakiś niski, donośny, wyraźnie bardzo zagniewany. Ktoś krzyczał ze złością, ktoś drugi odpowiadał, hałas coraz się wzmacniał.

— Nie będzie widać, powiadasz? Tak wysoko, powiadasz? — wołał głos pierwszy.

— A juści³⁶⁷. Będzie ta kto widział, dwadzieścia łokci³⁶⁸ od ziemi, zali³⁶⁹ obie stopy jednako długie — drwiąco wrzeszczał głos drugi.

— Taaak? To gdyby ci o ludzkie oko nie chodziło, partoliłbyś jedno za drugim? A dla kogo robisz? Dla Boga wszechmogącego! do kościoła na ołtarz!...

— Ij... gadanie... co wam ta o to.

— Co? — głos pierwszy aż chrypl z wściekłości. — Co mi o to? Za sto lat, za dwieście, za trzysta ołtarz stał będzie w kościele; moje kości dawno w proch się rozsypią, a chwala mistrza Wita wieki przetrwa. A ten jakiś pyta, co mi o to! Tyle mi o to! Wiesz? Tyle mi o to! Robota z mego warsztatu moją jest; a kiedy niegodna mnie, to ja jej...

We drzwiach szopy ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, z twarzą rozognioną szałem gniewu, ze zwichrzoną brodą; trzymał oburącz za nogi jakąś drewnianą figurkę wielkości kilkoletniego dziecka... Skoczył ku stosowi pniaków leżących na boku, podniósł posążek wysoko ponad głowę, zamachnął się i rznął³⁷⁰ nim o twarde kłoc... Poleciały trzaski na wszystkie strony, z nieudanej roboty nie zostało nic.

— No tak... — rozśmiał się pogardliwie i otarł pot z czoła. Rzucił okiem po podwórzu i spostrzegł Długosza. W tejże chwili złość znikła, twarz rozjaśniła się wielkim zadowoleniem, skłonił się z uszanowaniem i podeszedł skwapliwie ku gościowi.

— Dawno oczekuję odwiedzin waszej przewielebności — rzekł zupełnie spokojnym głosem, bez najmniejszego rozdrażnienia. Trzeba mi waszej rady w niejednym względzie, a jakoś w ostatnich czasach skąpicie mi swojej łaski.

— Wybaczcie, mistrzu; duch ochoczy, ciało mdle³⁷¹; wiadomo wam, że kończyłem ostatni tom mojej kroniki, a w podeszłych leciech³⁷² opornie praca idzie. Zawzięłem się sam na siebie, że nie pomyślę o czym innym, póki tego zadania, któremu część żywota poświęciłem, nie dokonam. Od dwóch dni jestem wolny, dziś do was przychodzę.

³⁶⁶abo (daw.) — albo.

³⁶⁷juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

³⁶⁸łokieć — daw. jednostka miary, ok. 60 cm; 20 łokci: ok. 12 m.

³⁶⁹zali (daw.) — czy, czyż.

³⁷⁰rznąć (gw.) — uderzyć, rąbnąć.

³⁷¹duch ochoczy, ciało mdle — chciałbym, ale nie mam siły; nawiązanie do słów Jezusa Chrystusa, skierowanych do apostołów a zapisanych w Biblii (Mt. 26:41).

³⁷²w leciech (daw.) — dziś popr. forma Ms. Im: w latach.

— Każdego dnia rad bym was tu miał; i dla siebie samego jako przyjaciela, i dla pożytku mego dzieła, przy którym nie ino moja myśl, a sprawność ręki wszystko zdoła³⁷³, jeszcze oka mądrze patrzącego mi potrzeba³⁷⁴, co by uwidziało³⁷⁵ to, czego ja sam nie dojrzę.

— Robota musiała postąpić, odkąd tu był? — zapytał Długosz.

— Nie tyle, jakby się należało. Choćby mi się wszystko darzyło po myśli, jeszcze to długie lata upłyną, zanim pierwszą mszę świętą odprawi jego przewielebność ksiądz archiprezbiter przed wielkim ołtarzem u Panny Maryi... Wiadomo wam, że wszystkie osoby głównego wizerunku chcę wykonać własnoręcznie. Zda mi się czasem, że mi życia nie starczy, że to zadanie nad siły jednego człowieka. A znów są dni, gdzie mi robota ptakiem leci i co wczoraj było niepodobieństwem, dziś rośnie w rękach, mnie samemu na podziw. Pomniejsze obrazy robią starsi uczniowie i najzdatniejsi z czeladzi. Ale czy to człek może liczyć na sumienność i dbałość? Partacze są, ducha w nich nie masz; i gdybym ino cugli popuścił... Przed chwilą zabiłem anioła; widzieliście?

Rozśmiał się swobodnie, bez śladu gniewu.

— Raccie wejść, chciałbym wam coś pokazać.

Weszli do szopy, Wawrzus jak cień za piętami jego przewielebności.

— Tedy, jakom sobie z waszą i Kallimacha³⁷⁶ pomocą umyślił, ołtarz uczynię w podobieństwie szafy zamykanej. Gdy otwarta, widny będzie środkowy główny obraz, czyli zaśnięcie Panny Maryi otoczonej dwunastoma apostołami. Na drzwiach zaśię po trzy mniejsze obrazy, przedstawujące³⁷⁷ ważniejsze fakta³⁷⁸ z życia Chrystusa Pana. Gdy się skrzydła drzwiów³⁷⁹ zawrze³⁸⁰, umieszczę na nich znowu po trzy wizerunki, a na bocznych nieruchomych tablicach z lewej i z prawej także po trzy. Co dalej, a raczej co wyżej, wniebowzięcie i ukoronowanie Panny Maryi jako też anioły, ku jej służbie wzlatujące, oznaczyłem sobie dopiero liniami w abrysie³⁸¹; ale póki rozpoczętych robót się nie skończy, nie tykam tamtego. Zechciejcie tedy zobaczyć: tu jest dwunastoletni Jezusik nauczający w kościele; malutką osobkę Pana naszego rzezałem sam, jako też postać mędrca z lewej i arcykapłana z prawej. Jakoż się wam zdają?

Długosz klasnął w ręce.

— Bóg wam daj zdrowie, mistrzu... toć Kallimach... omal nie przemówi! A i Zbigniewa Oleśnickiego utrafilicie na podziw.

— Tu zaśię na dole, pojrzyjcie, usadziłem dla pamiątki wielebnego Jana Heydeka, przyjaciela mego i protektora. Gdyby nie gorące jego przemowy za mną w komitecie, kto inszy dostałby zamówienie na to dzieło.

— Przecz³⁸² tak w pomniejszeniu go uczyniliście?

— Sam tego chciał, z pokory. Na tej znów tablicy macie narodzenie Maryi Panny.

— Dziwnie wydarzony wizerunek, zaiste — chwalił Długosz. — O niczym nie zabaczyliście³⁸³, a mimo to natłoku ani zamieszania cale³⁸⁴ nie masz. I kąpielkę³⁸⁵ dziecinie gotują, i usługa wedle świętej Anny, i ława z przyborami do wieczerzy; sąsiadka w odwiedziny przyszła... aż radość serce ogarnia, jak to wszystko wyraźnie urobione.

Wawrzus stał o półtora kroku za kanonikiem, oczy jego stawały się coraz większe.

— Darujcie, wielebny panie, że was tak długo samolubnie własną sprawą trudnię, a spocząć nie proszę. Hej, Krystek... podaj zydle!

³⁷³zdołać — zdołać, dać radę.

³⁷⁴potrzeba (gw.) — potrzeba.

³⁷⁵uwidzieć (gw.) — zobaczyć, dostrzec.

³⁷⁶Kallimach — Filip Buonaccorsi (1437–1496), przybrał przydomek Kallimach na cześć gr. poety z III w. p.n.e. Włoch, poeta i kronikarz, piszący po łacinie. Nauczyciel synów króla Kazimierza II Jagiellończyka.

³⁷⁷przedstawujące (daw.) — przedstawiające.

³⁷⁸fakta — dziś popr. forma B. lm: fakty.

³⁷⁹drzwiów (gw.) — dziś popr. forma D. lm: drzwi.

³⁸⁰zawrzeć (daw.) — zamknąć.

³⁸¹abrys (daw.) — szkic, zarys.

³⁸²przech (daw.) — dłaczego, po co.

³⁸³zabaczyć (daw.) — zapomnieć.

³⁸⁴cale (daw.) — wcale, zupełnie.

³⁸⁵kąpielka — zdrob. od kąpiel.

Usiedli obaj na uboczu pod oknem; Stwosz, bardzo wesoły i rozgadany, wskazywał ręką szczegóły i ornamenta³⁸⁶ przez czeladników z grubsza obrabiane, którym on sam nadawał cechę artyzmu ostatnim dotknięciem dłuta.

Ksiądz kanonik obejrzał się za Wawrzusiem i skinął ręką, a gdy się przybliżył, wziął oden związane w chuście rzeźbione figurki, rozwinął szmatkę i nic nie mówiąc, położył wszystko Stwoszowi na kolanach. Ten brał małe rzeźby jedną po drugiej, przypatrywał się im również w milczeniu, tylko brwi podniósł wysoko i coś mu drgało w twarzy.

— Skąd to macie? — zapytał po chwili.

— To są zabawki mego pacholika, tego tu malca. Chciałem się was zaradzić, czy warto go kształcić w rzeźbiarskim kunszcie albo nie.

Wit Stwosz wstał z ławy, podszedł do Wawrzusia, zgął się niemal wpół i zajrzał dziecku w oczy.

— To nie może być; omyliliście się, wasza wielbność. Nie podobna, aby to dziecko...

— Jakożbym śmiał twierdzić coś, czego bym nie był pewny? — odparł Długosz poważnie. — Widziałem chłopca przy robocie.

Ksiądz kanonik w swym powolnym sposobie nie domówił ostatnich słów, gdy stało się coś nieprzewidzianego; Stwosz porwał Wawrzusia na ręce i pobiegł z nim ku drugiemu oknu, gdzie stała jakaś nie wykończona rzeźba, postać więcej niż naturalnych rozmiarów. Figurę otaczało rusztowanie, trzeba bowiem było wyjść po schodkach, by rzeźbić głowę i ramiona. Długosz patrzył i zdumiewał się, zwłaszcza tym, że dziecko nie miało wcale przestraszonej twarzyczki, owszem, objęło nieznajomego człowieka poufale za szyję. Wit Stwosz skoczył dwoma krokami na deskę i pokazując Wawrzusiowi wspaniałą, wyrzastą głowę apostoła zawołał:

— Powiedz, synku, rad byś umieć wyrzezać takiego świętego?

— O Jezu...

— A rad byś uczyć się u mnie?

— O Jezu...

— No, to umowa zawarta! — zaśmiał się mistrz donośnie. — Z dniem dzisiejszym biorę cię do terminu, a za jakie sześć roków³⁸⁷, gdy wola Boska będzie po temu, a posłuszenie i z wytrwaniem robił będziesz, co ci każe i jak ci każe, to... no, to zobaczymy.

— Zali naprawdę nie żał wam trudu dla takiego maleństwa? — spytał Długosz. — Toć to dziecko, ani dziewięciu lat nie ma.

Stwosz postawił Wawrzusia na ziemi i szepnął księdzu do ucha:

— On dziś więcej wart niż ci wszyscy razem — i wskazał ręką na czterech czeladników... — Obdarzony od Boga... Za niedługie lata, wspomnicie moje słowa, chluba mi z niego urośnie.

— Nie dożyję — rzekł Długosz smutnie.

Wawrzus z sercem pełnym wdzięczności dla okrutnie dobrego brodatego człowieka, jak sobie Stwosza w myśli nazwał, kręcił się po pracowni i zaglądał w ręce każdemu robotnikowi. Toć on tu już domowy, mistrz go chce uczyć, nazwał go synkiem...

Jeden z czeladzi pokazał mu osła, mającego leżeć przy żłóbku w scenie narodzenia Pana Jezusa, i wołu, któremu właśnie wyglądał rogi.

— Ee... ja by go nie tak zrobił... — zganił malec — zanadto spaśny³⁸⁸; prawdziwy wół nie tak wygląda.

— Oho, komu to starszych uczyć! — z szyderczym śmiechem odpowiedział czeladnik; ale Stwosz, który właśnie jakiejś głowy anioła szukał niedaleko dla pokazania jej Długoszowi, usłyszał te uwagi dziecka i podszedł do rozmawiających. Rzucił okiem na robotę i spytał Wawrzusia:

— No, a jakże ten wół ma wyglądać, coby nie był spaśny?

— Trza mu zaznaczyć ziobra³⁸⁹ na bokach, zaraz przychudnie. Bo tak, jak jest teraz, to ledwie nie pęknie; paskudnie patrzeć na niego. I pysk mu trza przykrócić; ino trochę, niewielu, o, tyćko.

— Jakoż ci się widzi, Jurek, dobrze radzi to dziecko?

³⁸⁶ *ornament* (z łac.) — ozdoba; tu B. Im: *ornamenta*.

³⁸⁷ *roki, roków* (gw.) — lata, lat.

³⁸⁸ *spaśny* — gruby, tłusty.

³⁸⁹ *ziobro* (gw.) — żebro.

Czeladnik milczał nadąsany, a mistrz nie domawiał mu już więcej, tylko powrócił do gościa.

— O raju... Stanko! — zawołał Wawrzus, biegnąc ku drzwiom z wyciągniętymi rękoma.

— Wawrzus! — odpowiedział również wesołym okrzykiem wchodzący. Objął dziecko w pól, podniósł w górę i pocałował.

— Cóż za nowina? Skąd się znacie? — spytał Stwosz.

— A to ten pacholik małućki, pamiętacie, ojcie, com to wam opowiadał, że mi zginął na rynku, przy koniku. Cóż ty tu robisz, Wawrzus?

— Pogadacie se potem — rzekł ojciec. — Teraz pójdź, pokłoń się jego przewielebności. Tak dawno się nie widzieliśmy, nawet nie miałem kiedy pochwalić się księdzu kanonikowi, że mój Stanko już powrócił.

— Aleś też sporo urósł za te dwa lata — rzekł Długosz — ojca dogoniłeś, czy ano i w głowie przybyło?

— Rzetelnie pracował, nie można przyganić — odparł Stwosz. — Świadectwa od Lebrechta ma piękne.

— A to się wam przyda przy robocie ołtarza?

— A jakże. Gdzie ino będzie potrzebne jakie złocenie, to już jemu powierzę. Zresztą i snycerz³⁹⁰ z niego nienajgorszy.

Pogawędziwszy jeszcze z pół godziny, mniej więcej tyle, aby ksiądz podkanclerzy miał sposobność zniecierpliwic się oczekiwaniem, Długosz powrócił do siebie, zabierając jeszcze Wawrusia, którego dopiero za kilka dni miał przysłać z przystojną³⁹¹ wyprawą w szatach i bieliźnie.

*

Od tego dnia upłynęło trzy lata, Wawrzus, choć najmłodszy wiekiem, przerastał uczniów mistrza Wita uzdolnieniem i zapalem. Z początku dostawał niepotrzebne zrzynki³⁹² drzewa, na których się uczył i wprawiał rękę. Trwało to długo, więcej niż rok, a chłopiec ani się temu dziwił, ani się zniechęcał, że tylko jakieś łuki, wykrętasy, półkola wyrzynać mu każą. Mistrz Stwosz ciągle go miał na oku i zawsze jakimś przychylnym słowem zachęcał do wytrwałości. Po upływie kilkunastu miesięcy malec dożył wielkiej chwały, bo mu powierzono rzeźbienie kroksztynów³⁹³ i baldachimów do małych posążków ustawionych w obramieniu głównej części tryptyku³⁹⁴. Dumny był, że i jego ręce przyczyniają się do spełnienia wielkiego dzieła. Gdy mu się zadana robota szczególnie dobrze udała, mistrz pozwalał w nagrodę oglądać gotowe obrazy albo stać tuż przy sobie i patrzeć, jak rzeźbił.

Dobrze było Wawrusiowi u Stwosza; gdyby nie tęsknota za matką, ojcem, za Porębą i najserdeczniejszym Jaśkiem, nic by mu do szczęścia nie brakowało. W godzinach wolnych od obowiązkowej pracy bawił się na dawny sposób wyrzynaniem ptaszków i zwierzątek. Pewnego dnia Krystek mozolił się nad jaszczurką, która miała być użyta w ornamentach predelli (część ołtarza wąska i podłużna, znajdująca się tuż ponad mensą, czyli kamiennym stołem, na którym się msza święta odprawia), spostrzegł to Wawrzus i błagał go jak o największą łaskę, by mu dał skończyć za siebie tę robotę potajemnie. Przypomniała mu się owa nieszczęsna jaszczurka, pierwsza przyczyna jego wygnania z Poręby, tylu dziwnych wydarzeń i nareszcie tak pomyślnej zmiany w jego życiu. Schował się za olbrzymią figurę świętego Jakuba apostoła i w tej bezpiecznej kryjówce marną, sztywną, prawdziwie drewnianą jaszczurkę zmienił swym czarodziejskim dłutem w stworzonko naturalne w ruchu, z figlarnymi oczkami, pełne życia.

Gdy czeladnik odniósł Stwoszowi skończoną robotę do obejrzenia, mistrz rozśmiał się w głos z zadowolenia.

³⁹⁰snycerz — rzeźbiarz.

³⁹¹przystojny — tu: porządny, właściwy.

³⁹²zrzynek — okrawek, ścinek.

³⁹³kroksztyn — półeczka, na której stoi figura.

³⁹⁴tryptyk — obraz a. płaskorzeźba, składająca się z trzech części.

— A toś mi sprawił niespodziankę! — zawołał — pierwszy raz odkąd jesteś u mnie, zasłużyłeś na pochwałę. Ino tak dalej jak dziś, a wart będziesz nazywać się uczniem Wita.

Ale niestety, następne roboty Krystka nie miały w sobie tego piętna talentu co jaszczurka; jak był rzemieślnikiem bezdusznym, tak rzemieślnikiem pozostał.

W ciągu tych pierwszych lat nauki Wawrzusia dwa smutne wydarzenia zapisały się w jego sercu na wieczną pamięć.

Umarł Długosz³⁹⁵, nie doczekawszy nawet wstąpienia na arcybiskupią stolicę, tak właśnie jak od roku przeczuwał. A w lipcu 1482 roku umarł pierwszy opiekun i dobroczyńca Wawrzusia, Szymon z Lipnicy³⁹⁶.

Pogrzeb Długosza z domu pod Wawelem do kościoła Na Skalce, gdzie jako fundator i dobrodziej klasztoru paulinów, miał być w podziemiach pochowany, odbył się z niezmierną wspaniałością. Ilu było w Krakowie księży, zakonników, braci zakonnych, jakieś kilkaset ludzi, wszyscy się stawili dla oddania ostatniej posługi arcybiskupowi.

Od stóp wawelskiej góry, ulicą Stradomską i Kazimierzem aż do Skalki ciągnęły się podwójnym szeregiem białe komże, habity brunatne i szare, zakapturzone głowy dominikanów, szli członkowie kapituły w żałobnych ornatach; płomień świec w rękach duchowieństwa zdawał się w blasku słonecznego dnia brudnoczerwony... a nad tysiącem światełek, poruszanych wiatrem, unosił się szarawy, przejrzysty dym.

Tuż przed wozem żałobnym szedł Jan Rzeszowski, biskup krakowski, w asystencji najstarszych kanoników; obok niego infułat archiprezbiter, proboszcz kościoła Panny Maryi, i opat tyniecki.

Sześć koni w czarnych kapach ciągnęło wóz czarnym suknem okryty i choiną³⁹⁷ przybrany, a na nim w wysoko ustawionej trumnie zwłoki zmarłego.

Pierwszy za wozem szedł król Kazimierz z czterema synami, dalej senatorowie i dostojnicy państwa, urzędnicy, dworzanie królewscy i tysiące ludu, po większej części z ciekawości na widowisko zgromadzone. Szedł i pan Żegota, serdecznie stroskany, choć wuj w testamencie zapewnił mu spokojne utrzymanie do śmierci. Szedł Stwosz z synem, a za nimi Wawruś, oszołomiony tłumem, światłem i śpiewem, mniej rozumiejący powagę chwili, raczej przejęty wspaniałością obrzędu i malowniczym widokiem.

Gdy w rok później gruchnęła po Krakowie żałobna wieść, że opiekun nędzarzy, pocieszyciel nieszczęśliwych, kaznodzieja i spowiednik najgorliwszy, ojciec Szymon z Lipnicy, zaraziwszy się morowym powietrzem przy pielęgnowaniu chorych, zeszedł z tego świata, cała uboższa ludność Krakowa zakrzyżała płaczem wielkim. Cisnęły się tłumy do furty klasztornej i nie bacząc na straszność zarazy, żądały widzieć po raz ostatni swego dobrodzieja. Zakonnicy z rozkazu wielkorządcy Krakowa nie wpuszczali nikogo, a nawet w obawie o zdrowie braci klasztornych przyspieszono pogrzeb. Był to obchód zupełnie odmienny od poprzednio opisanego. Sami tylko bernardyni zajęli się złożeniem do grobu swego zmarłego brata; żaden klasztor nie uczestniczył w nabożeństwie, które odprawione zostało przy drzwiach zamkniętych. Usunięto kilka tafli posadzki tuż przy progu i młodzież zakonna wykopała w tym miejscu dół głęboki, gdyż ojciec Szymon prosił umierając, by go pochowano pod progiem jako najnędzniejszego grzesznika. Posadzkę wprawiono na powrót szczelnie i tylko imię zmarłego wyryto na kamieniu.

W parę dni później rzucili się ludzie pielgrzymką do tego grobowego kamienia; przynoszono chorych a nawet umierających; wracali o własnej sile do domu, ślepi odzyskiwali wzrok, chromi władzę w nogach; utopione dziecko, od kilkunastu godzin zmarłe, matka położyła na grobie Szymona z Lipnicy i obudziło się do życia. Cały Kraków rozbrzmiewał chwałą świętego, co za życia mieniał się być najnędzniejszym z grzeszników.

Wawruś płakał gorzko. Odczuł śmierć ojca Szymona żałosnym bólem kochającego serca; wszak pierwszą noc w Krakowie spędził pod dachem klasztornym, wniesiony na miłosiernych rękach świętego. I od tej pierwszej godziny doznawał bez ustanku jego tkliwej, prawdziwej ojcowskiej opieki. On go pocieszał w tęsknocie za matką i przyrzekał z taką pewnością, że ją za niedługie lata zobaczy; on mu wyszukał dobrego pana, on go

Pogrzeb

Cud

Żałoba

³⁹⁵Jan Długosz *herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

³⁹⁶Szymon z Lipnicy (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

³⁹⁷choina — gałęzie świerkowe.

uczył świętych prawd wiary, on słuchał pierwszej spowiedzi, on go zachęcał do pokory i wytrwałości, gdy się nudne terminowanie u Stwosza dziecku przykrzyło; do niego biegł Wawrzus pochwalić się pochwałą mistrza, u jego nóg siedząc, marzył głośno, że sam kiedyś także mistrzem będzie. A teraz nie miał już nikogo na całym Bożym świecie.

Czas biegł szybko, miesiące mijały... W warsztacie mistrza Wita pracowano z natężeniem. Coraz to nowy obraz odkładali czeladnicy, gotowy do obejrzenia i poprawek. Stwosz nadawał ostateczne wykończenie artystyczne mniej doskonałym rzeźbom. Przy olbrzymich zaś figurach wchodzących w skład głównej grupy pomagał ojcu Stanko, obrabiając je z grubsza. Jakkolwiek złotnikiem i pozłotnikiem był z rzemiosła, miał uzdolnienie i do rzeźby i teraz jako tak zwany punktator wielce był przydatny w pracowni.

Wawrusiowi dawano do roboty czasem jakieś skrzydło anielskie, to znów podrzędne figurki, takie same, jakie wykonywali młodszy czeladnicy, a dopiero spomiędzy kilku jednakich, lecz niejednakowo dobrze wyrzeźbionych, wybierał Stwosz najlepsze; prawie zawsze wybór padał na pracę dwunastoletniego terminatora. Szczęściem dla chłopca, to wyróżnianie go tak pochlebne nie gniewało współzawodników, jakoś umiał ich od samego początku ująć swym pokornym obejściem; nigdy się nie chępił ani ponad mniej zdolnych nie wynosił, a co najważniejsze, brał do swej izdebki roboty starszych towarzyszy, gdy który szedł bawić się do gospody lub hulać na weselu. Wawrzus pracował wieczorami, a nazajutrz po niewyspanej nocy mógł sobie czeladnik drzemać ukradkiem przy warsztacie, robota na tym nie cierpiała.

Figury świętych apostołów, Jakuba, Andrzeja, Piotra, Jana i Tomasza, były już gotowe. Stwosz namozolił się nad nimi kilkanaście miesięcy, ale też nawet sam, tak wiele wymagający od innych, a tak niezmiernie surowy sędzia własnej pracy, z zadowoleniem spoglądał na swe dzieło.

Pewnego wieczora Wawrzus zakradł się do pracowni, by korzystając z nieobecności mistrza, napatrzeć się do woli wspaniałym posągom pięciu apostołów. Pewny był, że mu nikt nie przeszkodzi; czeladź i uczniowie uciekali z szopy, skoro się tylko dzień ukończył, wcale im nie było pilno tam wracać; Stwosz wybrał się na pogawędkę do Kallimacha i zapowiedział żonie, by nań z wieczerzą nie czekała; Stanko... tego najmniej się można było spodziewać, bo wszystkie wolne wieczory spędzał u stryja Macieja. Miał tam żywy posąg do uwielbiania, czarnoooką Jadwisę³⁹⁸. Wprawdzie bliskie pokrewieństwo stało wielce na przeszkodzie małżeństwu, ale młodzi ufali, że prawdziwa miłość wszystko zwycięży, zwłaszcza że i ojcowie także sobie tego związku życzyli.

Jakże się miał Wawrzus oprzeć pokusie, gdy druga taka wyborna sposobność nieprędko się nadarzy! Powyciągał z kątów kaganki olejne, których kilkanaście zawsze było w pogotowiu na wypadek, gdyby mistrzowi przyszła chęć pracować w nocy. Zaświecił ze sześć, żeby widzieć jak najlepiej, i stanął sobie na podwyższeniu, przy świętym Piotrze.

„Oj Boże, Boże... jak też to wyrobione! i włosy, i oczy, i zmarszczków po twarzy tyle!... staruszek widno³⁹⁹ był... Albo i ta ręka! Cale⁴⁰⁰ jak żywa. Ach, miłosierny Panie Jezu, dajże mi też choć za dziesięć lat... choć na podobę⁴⁰¹... Drugiego takiego mistrza chyba cały świat nie ma. Wielkie szczęście od Boga, że jestem jego uczniem. Gdyby nie ojciec Szymon... gdyby nie ksiądz kanonik... może bym gdzie zmarniał albo do złych ludzi przystał... Pójdę se teraz po schodach do świętego Jędrzeja.

— A to co za światło w warsztacie? — dał się słyszeć głos z podwórza — wyście to ojciec? Matka mówili, że was nie ma... Wawrzek? Cóż ty tu robisz? Jeszcze ogień zapuścisz!

— Stanko... bój się Boga, nie wydaj mnie!

— Właśnie że poskarzę ojcu. Niechby gdzie, broń Boże, isierka padła, tyle lat ciężkiej pracy ludzkiej, tyle kunsztownych dzieł poszłoby z dymem. Gadaj, po coś tu przylazł?

— Chciałem się raz napatrzeć do sytości.

— Mało ci dnia?

— We dnie, przy mistrzu, nie śmiem.

— No, dziękuj Bogu, że ja wcześniej powróciłem, a nie ojciec, boby kruchoby było ze skórą, gdyby cię tu przyłapał.

³⁹⁸Jadwisę — Syn Wita Stwosza Stanisław ożenił się ze swą stryjeczną siostrą Jadwigą, córką Macieja Stwosza.

³⁹⁹widno (daw.) — widocznie.

⁴⁰⁰cale (daw.) — całkowicie, zupełnie.

⁴⁰¹na podobę (gw.) — podobnie, w przybliżeniu.

— A ja sobie rachował, że i ty posiedzisz u stryja.
 — E... byłbym siedział, a jakże; ino stryjną głowa rozboleła i musiałem się wynosić.
 — Stanko, mójś ty⁴⁰²...
 — No, co?
 — Opowiedz mi, jak to ma być w ołtarzu, bom strasznie ciekawy. Że szafa zamykana, że małe obrazy dokoła, to wiem; ale co więcej? Co ci święci ludzie mają tam do roboty?
 — Zaraz ci dokumentnie wytłumaczę, żebyś rozumiał, jak się będzie ołtarz składało, co przedstawiają osoby i co to wszystko razem znaczy. Słuchaj więc. Po wniebowstąpieniu Pana Jezusowym, mówi starodawna opowieść, mieszkała Najświętsza Matka w małym domeczku u stóp góry Syjonu.
 — Gdzie ta góra?
 — W Ziemi Świętej; tam, gdzie się nasz Zbawiciel narodził, gdzie żył, nauczał i gdzie został ukrzyżowany. Tedy mieszkała tam cicho, w ukryciu, przez lat czternaście⁴⁰³. Jednego razu ukazał jej się anioł i oznajmił, że za niedługo żywot ziemski zakończy. Bardzo się Panna Maryja uradowała, jako że okrutnie za Synem swoim Jezusem tęskniła. Ale prosiła anioła, by jej wyjednał u Pana Boga trzy rzeczy: pierwsze, żeby sam Chrystus Pan przyszedł do niej w godzinę śmierci; drugie, żeby jej przybrane dzieci, apostołowie, byli przy niej także; a trzecie, żeby ani na okamgnienie diabła nie widziała. I stało się wszystko tak, jak żądała. Gdy umarła, święte ciało złożono do grobu i apostołowie przy nim czuwali, modląc się. Trzeciego dnia ukazał im się Pan Jezus i zapytał, jaką ma cześć oddać swej Matce. Odpowiedzieli: „Posadź ją, Panie, żywą po prawicy swojej”. Wtedy na rozkaz Boski powróciła dusza do martwego ciała i żywą Pannę Maryję unieśli aniołowie do nieba, gdzie jest od Trójcy Świętej ukoronowana. Tedy już będziesz miał całość w oczach, prawda?
 — A jakże. Wielki obraz w środku... no, ale jeszcze osoba Matki Boskiej ani zaczęta?
 — Właśnie ojciec mówili, że w tym tygodniu dadzą na mszę, coby⁴⁰⁴ godnie mogli rozpocząć ten święty wizerunek i Bożej Matce w niczym nie uchybić.
 — Jakże to? W środku łóżko będzie stało czy co?
 — Nie; w pośrodku właśnie będzie klęczeć Najświętsza Panna, jako że ją ostatnia chwila przy modlitwie spotkała. Ten wysoki apostoł z wielką brodą, święty Jakub Starszy, będzie ją podtrzymywał, a wszyscy inni najdą się dokoła, płaczący i modlący się. Powyżej Matka z Synem w otoczeniu aniołów, a na samym szczycie Trójca Święta i koronacja.
 — Ach... jeszcze tyle roboty! Kiedy będzie koniec?
 — Tego nikt nie przewidzi. Ojciec ma takie dni, co starczą za miesiące, w rękach mu się pali robota; zaś przychodzą tygodnie, gdzie go niechęć ogarnia, zda mu się, że nic nie zdoła, wtedy chce wszystko rzucić i uciekać na koniec świata. Trza wtedy pilno nań zważać i kogoś mądrego upraszać, coby mu te smutki pędził z głowy, a otuchą krzepił. Jego wielmożność pan Kallimach i jego wielebność ksiądz Heydek najlepiej to umieją. Wiesz co, uciekajmy; już późno, dostalibyśmy oba po uszach, gdyby nas ojciec zastał.
 Pogasili z wielką ostrożnością kaganki, przewietrzyli warsztat, by swąd knotów dymiących nie pozostał w szopie i nie zdradził nazajutrz niedozwolonych nocnych odwiedzin.
 Mijały dni za dniami, podobne do siebie. Mistrz Wit szalał z gniewu o lada drobnostkę, to znów rad był wszystkim i wszystkiemu, a po godzinie znowu go złość ogarniała. Im dalej postępowała robota, tym dobre chwile pojawiały się częściej i trwały dłużej. Jakkolwiek Stwosz nie dowierzał własnym siłom i talentu swego nie cenił zbyt, co jest zawsze cechą ludzi genialnych, jednak musiał widzieć, że dzieło stworzone przez niego jest potężne. To przeświadczenie równoważyło jego chwiejny, fantastyczny humor.
 Obowiązkiem Wawrusia, jako najmłodszego z uczniów, było sprzątanie warsztatu po skończonej robocie. Zmiał wióry i trzaski do kąta, zgarniał je na wielką płachtę i odnosił na górę do pani majstrowej, na podpałkę w piecu. Miał także mieszek do odmuchiwania rzeźb z kurzu; gotowe zaś obrazy, odwrócone ku ścianie, jeszcze bywały szmatami okrywane.

Artysta, Praca, Zwątpienie

⁴⁰²mójś ty (gw.) — jesteś mój.

⁴⁰³mieszkała tam... przez lat czternaście — Opowiadanie to wzięte z książki pod tytułem *Złota legenda*. [przypis autorski]

⁴⁰⁴coby (gw.) — żeby.

Pewnego dnia pod wieczór właśnie był zajęty porządkowaniem, gdy ktoś drzwi pracowni otworzył i wszedł ksiądz Makary, gwardian bernardynów.

— *Laudetur Jesus Christus*⁴⁰⁵!

— Na wieki wieków — odpowiedział chłopiec, nieświadomy łaciny, i pocałował ojca gwardiana w rękę.

— Nie ma nikogo? Oj szkoda; miałem pilną sprawę, myślałem, że jeszcze któregoś zastanę.

— Raczcie, wasza przewielebność, mnie dać zlecenie, a ja powtórzę, komu rozkazecie.

— Niech Jurek albo Krystek... a może Jacuś przyjdzie do klasztoru wolną godziną rozmówić się ze mną co do jasełek.

— Darujcie, wielbny ojczu, co to takiego?

— Nie wiesz? To są małe drewniane osóbki wyrobione na podobieństwo Najświętszej Panienki, świętego Józefa, Dzieciątka Jezus w żłóbku; potem pasterze z darami, wół — i osioł do stajenki, wszystko pięknie wyrzeźbane z drzewa i farbami powleczone, aby jak najpodobniej wyglądało. Podczas świąt Bożego Narodzenia ustawia się te figurki w bocznej kaplicy i po nieszporach schodzą się ludzie przypatrować⁴⁰⁶ jasełkom, przy czym bractwiskowic nasi kołędują, a naród uczy się tych pieśni, słuchając, i potem doma⁴⁰⁷, zamiast bezecnych śpiewek, grzesznych rozmów i pijaństwa, śpiewają sobie wieczorami o Maryi i Dzieciątku.

Wawrzusiowi aż się oczy zaiskrzyły.

— A to... proszę waszej wielbności... może bym ja...

— Cóż ty?

— Ja bym zdołał zrobić takie osóbki.

— Idźże idź; aniś jeszcze od ziemi nie odrósł; tobie miotła i mieszek do kurzu, a nie dłuto. Chyba na śmiech ludziom, a nie ku Bożej chwale.

— Czekaćcież... pokażę wam coś.

Pobieglł do kącika, gdzie miał złożone swoje narzędzia, i wyciągnął spod szmatki dwa aniołki w locie, trzymające tkaninę ułożoną w kształcie baldachimu.

— No to, to rozumiem. Kto takie śliczności urobił, temu jasełka nie dziwne. Powiedzże mi, niech do mnie przyjdzie w niedzielę, to sobie dokładnie obliczymy, ilu pasterzy, jacy mają być trzej królowie, jednym słowem, trza się umówić. Pewno Jacuś, bo go mistrz chwalił raz przede mną.

— E, coby ta czekać niedzieli; ugađajmy⁴⁰⁸ se wszystko choćby i dziś — odparł Wawruś i wyszczerzył zęby w rozradowaniu wielkim.

— Szkoda czasu mitrzyć z głuptakiem; mówię ci, niech tamten przyjdzie w niedzielę.

— Ano, wola wasza; mam czas, to przyjdę i w niedzielę.

— Drwiny se robisz z duchownej osoby, zuchwalcu jeden!

— O Jezu... jakoż inaczej mam gadać? Dy⁴⁰⁹ ja rzezałem te aniołki; mają ulatować⁴¹⁰ nad Panem Jezusem maluchim⁴¹¹, gdy Panna Maryja klęczy przed ołtarzem w świątyni.

— Nie może to być!

— Oj, gdyby ojciec Szymon żył, toby poświadczył za mną. Zresztą, jak nie wierzycie, to zapytajcie samego mistrza.

— No, no, sam nie wiem, co o tym mniemać.

— Także wam się to dziwne zdaje? Czwarty rok dobiega, jak się tu ucze. Co bym za matoł był, gdybym do tej pory ino do zmiatania wiórów był dobry.

— Dziękujże co dzień Panu Jezusowi, Matce Najświętszej i swemu patronowi, bo to ich niezmierna łaska, nie twoja zasługa, że masz taki zmysł w palcach. Tedy wyrzeźbij ze dwóch pastuszków na próbę i przynieś mi pokazać. A może nie wolno? Tyle tu macie roboty; jakoż będziesz tracił czas, gdy masz inszą powinność?

⁴⁰⁵ *Laudetur Jesus Christus* (łac.) — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

⁴⁰⁶ *przypatrować się* (gw.) — dziś popr.: przypatrywać się.

⁴⁰⁷ *doma* (gw.) — w domu.

⁴⁰⁸ *ugađać* (gw.) — umówić.

⁴⁰⁹ *dy a. ady* (daw.) — przecież, ależ.

⁴¹⁰ *ulatować* (gw.) — unosić się, latać.

⁴¹¹ *maluchki* (gw.) — maleńki.

— Ani mi to w myśli nawet! Dzień do mistrza należy, to się rozumie; ale wieczory moje. Zresztą, jak się boicie, to poproszę. Mistrz nawet przykazuje, abym se wolnym czasem rękę wprawiał i rzezał, co mi do głowy przyjdzie. Pewno i wasze jasełka pilne, to się będę kwapił⁴¹², co ino zdolę.

— Słuchajże, co ma być: dwunastu pastuszków, starszych i młodszych, Przenajświętsza Rodzina, trzej królowie, wół, osioł, podarunki dla Dzieciątka, i co ci się zdawać będzie ku ozdobie; czy jakie drzewko, czy zwierzę, jednym słowem, piękne jasełka. Pomyśl, rozważ, obrachuj, a w niedzielę przyjdiesz mi powiedzieć, jakiej zapłaty żądasz za tę robotę.

— O, przewielebny ojcie... gdzieżbym ja za pieniądze! Jak żywo jednego grosza nie chcę. Gadaliście tylko co, że mam Panu Jezusowi dziękować; słowami nie zdolę, bom głupi, niechże te jasełka za podziękę staną. Jedna ino rzecz będzie was kosztować: pomalowanie, i gdzieby koniecznie trzeba było, wyłocenie. Na ten przykład ubiory i korony trzech królów. Tego ja nie umiem, i to by może zrobił Stanko.

— Pogadaj z nim, a co się będzie należało, zapłacę.

JASIEK

„Panu Jezusowi za darmo”. — Pan Świrenkowicz z Wilna. — Arcydzieło Wawrzusia. — „Skrzypi wóz, wielki mróz”. — Ręka rękę... łapie. — Dole i niedole Jaśka z Poręby. — Straszne spotkanie. — Przez okienko do miasta.

— Proszę waszej wielmożności...

— Czego chcesz??

— Był tu wczoraj pod wieczór ojciec gwardian.

— Jaki gwardian?

— Ojciec Makary od bernardynów.

— No i co?

— No i... — Wawruś wspiął się na palcach i pocałował w kolano Stwosza stojącego na schodkach przy świętym Bartłomieju.

— Do mnie miał sprawę? Czego chciał?

— E... nie do was, ino do mnie; kazał rzezać jasełka.

— Gadajże jasno, bo nieskładnie pleciesz; nie wiem, o co chodzi.

— Jedno za drugim gadam, tak jak było. Ojcu gwardianowi trza⁴¹³ jasełek na Boże Narodzenie; przychodził do warsztatu popytać się, czyby mu który z nas nie zrobił. Ja obiecałem, ino kazał was pytać, czy pozwolicie.

Jurek, siedzący nie opodał, słyszał każde słowo i złość go chwyciła, że najmłodszy w warsztacie zdmuchnął mu zarobek sprzed nosa. Zerwał się z ławy i poskoczył ku Stwoszowi.

— Chyba nie dopuscicie, mistrzu, aby głupi terminator⁴¹⁴, co ani dłuta porządnego nie udźwignie, przyjmował zamówienie na robotę, która po sprawiedliwości czeladnikowi się patrzy. Takie to małe, a takie chciwe. Aż wstyd dla warsztatu mistrza Wita.

Stwoszowi nabiegły krwią żyły na skroniach.

— Milcz... Zali⁴¹⁵ w moim domu ja panem abo⁴¹⁶ ty? Jeszczem słowa nie przemówił, a ty się będziesz odzywał i rozsądzał, co jest ze wstydem dla mistrza Wita? Wawrzek... powiadaj, jak dalej było.

— Ano, nijak już więcej nie było, ino chodzi ojcu gwardianowi, co byście nie swarzyli⁴¹⁷.

— Nie tylko nie będę swarzył, ale nawet zwalnię cię od inszej roboty, abyś miał czas rzetelnie się zająć zamówieniem i na porę jasełka wykończyć. Ileż ci ojciec gwardian zapłaci za one osóbkę?

— Nic.

— Jak to nic?

⁴¹²kwapić się — spieszyć się.

⁴¹³trza (gw.) — trzeba.

⁴¹⁴terminator — uczeń a. pomocnik w warsztacie rzemieślnika.

⁴¹⁵zali (daw.) — czy.

⁴¹⁶abo (daw.) — albo; tu: czy.

⁴¹⁷swarzyć (gw.) — gniewać się, krzyczeć.

— Ano chciał płacić, alem go w rękę pocałował i prosiłem, żeby tę pierwszą robotę, co będzie cała moja własna, przyjął za darmo. Panu Jezusowi w stajence narodzonemu na chwałę. Gadałem, co drzewa musi mi kupić, bo sam nie mam za co, i pomalować ani pozłocić nie zdolę, niechby się ze Stankiem rozmówił.

Wit Stwosz położył rękę na głowie chłopca z ojcowską pieśczęcią, na Jurka zaś spojrzał surowo i rzekł:

— Mniemam, że jeśli ma być w moim warsztacie chciwy, to chyba kto inszy, nie to dziecko. — I znowu łagodnym głosem przemówił do Wawrzusia: — Wyszukaj sobie na podwórzu klocków, jakich ci będzie trzeba; dajesz ty robotę Panu Jezusowi, niechże ma ode mnie drzewo w podarunku.

— A ja pomaluję i wyzlęcę za darmo! — krzyknął Stach, wyskakując z pędzlem ze swego kąta. — Ino się postaraj, pastuszków pięknych wyrób, świętego Józefa...

— Ach, mój Boże... jaki ja głupi! Dy ja w żaden sposób nie utrafię malucьkiego Dzieciątka ani Najświętszej Pani. —

— Weźże sobie obraz Narodzenia Pańskiego — rzekł Stwosz — ten z wierzchu, co ich trzy przy ścianie sparte, i wyrzeżaj na podobieństwo, a ja ci jeszcze sam poprawię, jakbyś sobie nie mógł dać rady.

Uszczęśliwiony chłopiec wyskoczył na rusztowanie i przypadł do nóg Stwosza, całując jego kolana.

Od tej pory urósł jakby i spowaźniał: robota jasełek nie była przecie zabawką dziecinną; jeżeli mu ją powierzono, a sam nawet mistrz nie bronił, owszem zachęcał, to chyba jest się czym cieszyć i z wiarą w siebie pracować z całych sił. Pana Jezusa w żłóbku i Maryję żywcem odrobił z wzoru danego mu przez Stwosza, a tak wiernie, że mistrz pokiwał tylko głową i nic już nie poprawiał. Ze świętym Józefem łatwiej mu poszło, a pastuszków rzeźbił literalnie⁴¹⁸ śpiewający⁴¹⁹. Podawał im twarze czeladników mistrza Wita, a że i Stanka nie ominął, owszem, bardzo go zrobił podobnym, przeto i tamci nie mieli za co się obrażać. Jednego małego pastuszka nazwał Jaśkiem i posługując się główką robioną z pamięci przed czterema laty, palnął portret swego najmilszego druha z Poręby.

Trzej królowie za to zabili mu klina w głowę; bał się, że nie dość będą wspaniali i bogaci. Ale i w tym wypadku znalazł wzory w bocznych tablicach ołtarza. Właśnie gdy już wykończył wszystkie osoby i oddał Stankowi do pomalowania, już nawet z wołem i osłem się uwinął, Jurek i Paweł, najstarsi z czeladzi, odstawili do poprawki gotowy obraz adoracji trzech królów. Już się więc nie pytał nikogo ani narzekał, że nie potrafi, tylko czym prędzej odrobił Melchiora, Kaspra i Baltazara z najdrobniejszymi szczegółami. Murzynowi, jako przynależy, mlecznobiałego konia sprawił, giermków, paziów, dworzan i pacholców nasypał jak z rękawa, by święci królowie z przepychem do stajenki zajechali, a przed Bożym niemowlęciem kornie czołem uderzyli.

— Przyjrzyjcie się ino, matko — rzekł Stanko, przynosząc cichaczem kilka figurek do mieszkania rodziców — czyby kto uwierzył, że te śliczne osóbkę to małego Wawrzka robota?

— Ojciec chwalił go nieraz, że zmyślny nad wiek — odparła pani Stwoszowa — ano, prawdziwie mówisz, wierzyć się nie chce. Ileż on ma lat, ten kunsztmistrz?

— Trzyńście kończy, ale drobno się trzyma; kto nie wie, dziesięciu by mu nie dał. Ojciec wielkie nadzieje w nim pokłada.

Jakoś w połowie grudnia Wawrzek z Wojtkiem, drugim terminatorem, zajechali tryumfalnie w dwoje wyładowanych tacek przed furtę oo. bernardynów. Brat Melchior musiał ich wpuścić ze wszystkim na krużganek, bo nadto zimno było wypakowywać figurki na ulicy i wносить po jednej do klasztoru. Furtian pobiegł do ojca gwardiana spytać, gdzie te rzeczy mają być tymczasem złożone; a ksiądz Makary stoczył się ze schodów, pędzony srogą ciekawością, bowiem sam mistrz Wit zabronił mu półzartem zaglądać na robotę, zanim będzie ze wszystkim wykończona.

— Najlepiej od razu do kościoła i do kaplicy, gdzie ma być szopka — dysponował gwardian — kaplica i tak krata zawarta, da się kukły pod ścianę aż do świętej Wili, gdzie je na podwyższeniu ustawimy.

⁴¹⁸literalnie — dosłownie.

⁴¹⁹śpiewający — dziś: śpiewająco, tj. doskonale, biegle.

— O nie... proszę waszej przewielebności — odważnie zaprzeczył Wawruś — uczynicie mi wielką łaskę, cobym ja sam własną ręką każde najmniejsze drewnienko położył tam, gdzie mu być należy. Tego nikt dobrze nie robi, ino ten, co wszystko w swej głowie obmyślił.

— Ale owszem, pošę cię zawiadomić i pod twoje rozrządzenie się poddamy. No, ale pokaż, pokaż choć jedną osóbkę! Nie... to chyba Stanka robota? W cudze piórka stroisz się, chłopcze!

— Jako żywo! Niczego tu cudze dluto nie tknęło, ino moje — gorąco wykrzyknął Wawruś. — Li⁴²⁰ oczka Panu Jezusowi mistrz sam poprawił, bo były za malućkie i przymknięte, jakoby Dzieciątko spało. Mistrz powiedzieli, że cale zwyczajne dziecko nie usnęłoby w tym gwarze i śpiewaniu, a nie dopiero Boski Syn.

Za powrotem do domu zetknęli się chłopcy w sieni ze strojnie odzianym niemłodym człowiekiem, a ten ich o mistrza Wita pytał.

— Jest we warsztacie — odpowiedział Wawruś.

— Prowadźcie mnie, bom ja tu pierwszy raz.

Weszli.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki — odparł Stwosz, nie przerywając pracy; ale spojrzawszy na gościa, rzucił pospiesznie dluto i z rozweseloną twarzą postąpił ku niemu.

— Czy mnie oczy mylą? Jego miłość pan Andrzej Świrenkowicz! Witajcie, witajcie! dawno w Krakowie?

— Gdzie dawno! — przeciągając z litewska, odpowiedział przybyły. — Taże rozstawnymi końmi⁴²¹ z Wilna gonię; gnatów się człek nie dorachuje... Wczoraj wieczór zajechałem, dziś gwoli⁴²² rozkazania najmiłościwszego królewicza do was się kwapię⁴²³, nawet uczciwie śniadać⁴²⁴ nie pośpiałem⁴²⁵.

— Cóż za sprawa tak nagła? — spytał Stwosz z uśmiechem.

— I nagła, i ważna zaiste — odpowiedział pan Andrzej poważnie. — Spraszałbym⁴²⁶ się ja od tej posługi jego królewiczowskiej miłości, bom już w leciech⁴²⁷ i nie pilno mi zdrowia tyrać, gdyby właśnie o najdroższe nam życie księżęcia Kazimierza⁴²⁸ nie chodziło.

— Zaciekawiacie mię⁴²⁹ srodze — rzekł Stwosz — powiadajcież.

— Tedy rozpocznę *ab ovo*⁴³⁰. Jego królewiczowska mość niedomaga już od dłuższego czasu, lecz się słabości nie poddawa⁴³¹, zwłaszcza w modlitwach a postach, a rannych nabożeństwach pilnie trwając. Zrazu i my dworzanie mało sobie ważyliśmy owe mdłości, brak smaku do jadła i inne symptomata⁴³², nawet nadworny medyk ino⁴³³ mu ziółka jakoweś warzył na wzmocnienie. Gdy wszakoż chorość nie ustępuje, sił z każdym dniem ubywa, najmiłościwszy kniaź spadł z ciała⁴³⁴ i błądź śmiertelną w twarzy nosi, lęk nas ogarnął niezmierny. Zebraliśmy się dworzanie *in gremia*⁴³⁵, i ostro do medyka, co sobie myśli, że księżęcej osobie w naszych oczach ginąć pozwala. Gada ano, co raił⁴³⁶ skuteczne leki najmiłościwszemu królewiczowi, tenże je z gniewem odrzucił⁴³⁷. Tak my znowuż

⁴²⁰li (daw.) — tylko, jedynie.

⁴²¹rozstawnymi końmi — metoda podróżowania, polegająca na przesiadaniu się na świeże, niezmęczone konie, rozmieszczone uprzednio w karczmach lub innych punktach na trasie.

⁴²²gwoli (daw.) — z powodu, zgodnie z.

⁴²³kwapić się — spieszyć się.

⁴²⁴śniadać (daw.) — zjeść śniadanie.

⁴²⁵pośpieć — pospieszyć się, zdążyć.

⁴²⁶spraszać się — odmówić, wykręcić się.

⁴²⁷w leciech (daw.) — dziś popr. forma Ms. Im: w latach; tj. stary.

⁴²⁸święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

⁴²⁹mię — dziś popr.: mnie.

⁴³⁰ab ovo (łac., dosł.: od jaja) — od początku.

⁴³¹poddawa się — dziś popr. forma 3.os. lp cz.ter.: poddaje się.

⁴³²symptomata (łac.) — objawy.

⁴³³ino (gw.) — tylko.

⁴³⁴spadł z ciała — schudnąć.

⁴³⁵in gremia (łac.) — zbiorowo, wszyscy razem.

⁴³⁶raić — radzić, polecać.

⁴³⁷tenże je z gniewem odrzucił... — Żywoty Świętych Piotra Skargi.

hurmem do księdza jałmużnika. Rada w radę stanęło, że cały dwór, począwszy od podkomorzego a skończywszy na ostatnim kuchciku, złoży się, na co kogo stać, i sprawimy *votum*⁴³⁸ na intencję umiłowanego kniazia. Jako się przynależy, wysłaliśmy księdza w deputacji, czy jego królewiczowska mość zezwoli na ten uczynek. Odpowiedział, że śmierć go nie trwoży, owszem, za łaskę największą u Boga sobie poczyta, jeśli go w młodym wieku raczy wziąć z tego świata, a nie dopuści, by Jego Majestat jakowym ciężkim grzechem obraził. Życzeniu jednak naszemu cale się nie sprzeciwia, owszem, i sam się do onego *votum* przyłożył, z tym atoli zastrzeżeniem, by się tak stało, jako jest z największym pożytkiem dla jego duszy. Tu się kończy pierwsza część, jakoby *prologos* tej ważnej sprawy, którą nie na co inszego opowiedziałem, ino ku wyrozumieniu całości.

— A dalej? — pytał Stwosz.

— Ta, coże długo rozpowiadać? Ołtarz funduję do prywatnej kaplicy najmiłościvszego królewicza, a wy go, ma się rozumieć, wykonacie.

Mistrz Wit zerwał się z ławy i chwycił się oburącz za głowę.

— Człowiecze... zdrajco... wolej⁴³⁹ mi kamień młyński u szyi uwiążcie i na dno morza wrzucić! Czyż nie wiecie, jaką robotę nad siły niemal podjąłem i ta mi pierwsza nad wszystko! Hańbą się okryję, gdy na czas ołtarza mariackiego nie wykończę. Krótkie lata ptakiem zlecą, a ledwie trzecia część gotowa.

Mówiąc te słowa, biegł po pracowni i targał się za brodę. A pan Andrzej podchwycił tylko jedno zdanie i powtórzył je.

— Nad wszystko wam pierwsza ta robota? Nawet nad życie królewicza Kazimierza? Niech mnie kołem łamią, jeżeliście nie zelgali, mistrzu Wicie!

Stwosz stanął, przeciągnął ręką po twarzy i spytał ze złością:

— Cóż ma być w onym ołtarzu? A raczej, jakież mieć chcecie?

— Nu, ta czego się tu było siepać⁴⁴⁰? Wiedziałem, że mi nie odmówicie. Ma być szafka; nieduża, nieduża. Czego skaczecie nade mną jak ten kat? Szafka, powiadam, pół wielkości człowieka; w pośrodku Matka Boża z Dzieciątkiem.

— Stać ma czy siedzieć?

— W stojącej postaci wolelibyśmy.

— Szczęście wasze; mam ich tu z pięć w pracowni, wybiorę najlepszą. No, a potem co?

— W bocznych skrzydłach archaniołowie Michał i Gabriel, a gdyby można, i małych aniołków kilka.

— Co uznaję za konieczne do ozdobienia ołtarza, dodam bez waszej rady — mruknął Stwosz niechętnie; a pan Świrenkiewicz, uszczęśliwiony, że dopiął swego, miał się ku odejściu, by swym widokiem nie drażnić niepotrzebnie mistrza. Wyciągnął doń rękę i rzekł nieśmiało:

— Królewic bardzo chory...

— Na pierwsze dni lutego wykończę, nie wcześniej.

— Ostańcie z Panem Jezusem.

— Odejdźcie z Bogiem.

Pan Świrenkiewicz odszedł, a Stwosz zawołał natychmiast chłopaków, by mu wyszukali i przynieśli wszystkie posążki Matki Boskiej, jakie były w pracowni. Oglądał, mruczał, ruszał ramionami, przykładał miarę i notował coś kredą na czarnej tabliczce, wreszcie wybrał jedną figurę i zaraz ją dał Stankowi do pomalowania i wyzlócenia.

Brat Melchior zapowiadał każdemu, co w jakimkolwiek interesie przychodził do klasztoru, że w tym roku będą przedstawienia jasełkowe w kaplicy świętej Anny, począwszy od pierwszego dnia Bożego Narodzenia aż po koniec stycznia, we wszystkie niedziele i święta po nieszporych⁴⁴¹; przy czym dodawał z tajemniczą miną:

— Cale⁴⁴² nowe kukielki; jeszcze tak pięknych Kraków nie widział.

Już 23 grudnia rano posłano po Wawrzusia, który też jednym tchem biegł z Poselskiej do bernardynów, jakby się paliło. I dobrze ksiądz gwardian uczynił, że chłopcu wolną rękę

⁴³⁸*votum* (łac.: ofiara, dar, obietnica) — nabożeństwo błagalne.

⁴³⁹*wolej* (daw.) — lepiej, raczej.

⁴⁴⁰*siepać* (gw.) — złościć się, krzyczeć.

⁴⁴¹*nieszpory* — śpiewane nabożeństwo wieczorne.

⁴⁴²*cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

zostawił, bo tak zgrabnie jak Wawrzuś w stajence Świętą Rodzinę umieścił i pastuszków, jakoby na wyścigi bieżących z darami, malowniczo porozrzucił, nikt z braci nie byłby w żadnej mierze potrafił.

Tłumy pobożnych i niepobożnych cisnęły się co święto w lewej nawie kościoła, której zakończeniem właśnie była kaplica świętej Anny. W samych drzwiach kaplicy, na drewnianym rusztowaniu osłoniętym jaskrawymi kobierczykami, wśród zieleni żywych świerczków i jodełek, przez księdza podkustoszego z Tyńca przysłanych, szarżała uboga stajenka, niedbale z deszczulek sklecona i słomianą dziurawą strzechą pokryta. Jednej połowy bramy wcale nie było, druga wisiała krzywo na zepsutej zawiasie⁴⁴³. U samego niemal wejścia, by widzowie mogli się dobrze napatrzeć, stał na ziemi żłóbek siankiem wysłany, w nim Dzieciątko szmatkami owinięte. Z lewej Najświętsza Panna pochyłona, ze złożonymi rękoma, z prawej święty Józef u drzwi stojący, jakby miał wyrzeć, co za kroki i głosy coraz się zbliżają. W głębi wół i osioł na klęczkach, według słów kolędy, oddechem swym zziębłe niemowlętko ogrzewały. Nie dwunastu, jak żądał ojciec gwardian, ale ze dwudziestu pasterzy biegnie powitać Mesjasza, a każdy z podarunkiem w rękach. Są tam bochenki chleba i jaja w kobiałkach, jabłka, orzechy, kielbasy, kurczęta; jeden pastuszek pędzi przed sobą prosiątko uwiązane na powrózku za tylną nogę, aż dziwo, że głośno nie kwiczy, bo wygląda jak żywe.

Poza szopką, ukryci za choinami braciszczowie klasztorni i żacy szkolni kolędują pięknie; jest na co patrzeć, jest czego posłuchać.

Ten obraz trwał do szóstego stycznia, w którym to dniu usunięto pastuszków, a na ich miejsce zjechali tłumnie i szumnie trzej królowie monarchowie.

Od samego początku, od pierwszego dnia, Wawrzuś nie opuścił ani jednego przedstawienia. Sam nie wiedział, co się z nim działo; taki jakiś był dumny, pyszny, aż go wstyd ogarniał. Ukrywał jak najusilniej te brzydkie uczucia, ale choć nikt nie zauważył ani się domyślił hardości Wawrzuśowej, ona siedziała w głębi serca i nie chciała ustąpić. Toż te wszystkie śliczne osobki, które się tak bardzo ludziom podobały, on zrobił, on, nie kto inny!

W samo święto Trzech Króli, wmieszany jak zwykle w tłumie, słuchał uwag i żartów, wtrącał się do rozmowy, wszędzie go było pełno.

— Dwóch ino królów widzę. Gdzież trzeci? — spytała młoda wysoka mieszcza, bogato strojna, drugiej starszej, również złotymi łańcuchami obwieszonej, w prześlicznym czepcu, misternie perlami sztytym.

— A stoi na samym przedzie i hełmu przed Paniątkiem uchyla.

— Co? Ten Murzyn obmierzły⁴⁴⁴? Zębiska wyszczerzył... Ja zrozumiałam, że to sługa któregoś z tamtych.

— Ale! Nie widzicie to, że koronę ma złotą na hełmie i zbroicę takież wyłaczaną? Król jest, ino czarny.

— Prawda, prawda, nawet w pieśni stoi, że „Kasper z gorącego jechał kraju”.

— Ano, widzicie — wmieszał się do rozmowy poważny jakiś człek, w sutej kierei⁴⁴⁵, lisami podbitej. — Zbawiciel najmiłosiernej dopuszcza do siebie wszelakie stany i ludy, przygarnia nędzarza i koronata, — nie czarną skórą się brzydzi, ino czarną duszą.

— Słusznie mówicie, panie Marcinie; wasze słowa niczym kazanie ojca Bonifacego.

— Matusiu... a tenże śmieszny pacholek, cudacznie przybrany, to kto?

— Ten w czapie z dzwonekami? Toli błazen; przywłókł się i on w orszaku któregoś z monarchów.

— Także robota! — bąknął Wawrzuś półgłosem — co tu ma błazen przed oblicznością Pańską?

— Ot, głupie gadanie głupca znamionuje — skarcił go pan Marcin — widzisz przecie, co tu za tłum dworzan, jakie konie, giermkowie... nawet tam dalej wóz wyładowany stoi. Z daleka idą, to se też pobrali wszystko, co chcieli, ku potrzebie; tedy błazny dla zabawki być muszą. Sprawny i roztropny był, co te śliczne osoby i królewskie orszaki rzezał, o niczym nie zabaczył.

⁴⁴³zawiasa — dziś: zawias; na zepsutej zawiasie — dziś: na zepsutym zawiasie.

⁴⁴⁴obmierzły (czyt.: obmier-zły) — wstrętny.

⁴⁴⁵kiereja (daw.) — płaszcz ocieplany futrem.

— Ee... — ruszając ramionami, drwił Wawruś — co mi to za cuda! Ino bym palcem ruszył, jak raz takie same potrafię, jeszcze i piękniejsze.

— Dziękuj Bogu, że święte miejsce; gdyby nie kościół, spralbym cię za takie zarozumiałstwo, ażbyś rok popamiętał.

Spoza szopki chór młodych głosów śpiewał wesoło nutę:

Święci trzej królowie,
Od wschodu mędrcomie
Idą witać Pana,
Przed Nim na kolana
Padają.
Skarby ofiarują,
Miłość okazują.
Siebie z poddanymi
Narodami swymi
Wyznają.

— Kukły, jak kukły — podśmiewał się dalej Wawruś — terminator je robił, tyli co i ja.

— Im puściej w głowie, tym szumniej w mowie. Dy⁴⁴⁶ słyszałem od kumotra, co wpodłe mistrza Witowej kamienicy mieszka, że całe te jasełka nie kilku, nie dwóch, ino jeden rzezał, umiłowany uczeń mistrza Stwosza, którego on za oko w głowie sobie ceni.

Wawruś urósł w dumie i radości. „Umiłowany uczeń, oko w głowie, o Jezu... to ja!”

Chór żaków rozpoczął nową kolędę:

Skrzypi wóz — wielki mróz;
Wielki mróz — skrzypi wóz.
Trzej królowie jadą — złoto, mirrę kładą;
A komuż takiemu? — Dzieciątku małemu.
Cóż to za Dzieciątko? — Musi być Paniątko,
Któremu królowie — służyli panowie...

Niektórzy z widzów łączyli swój głos z chórem, nuta jakby taneczna rozbrzmiewała po kościele, Boskiemu Dzieciątku na uciechę. Uwagi o szopce, jakiej naprawdę Kraków dotąd nie widział, ciągle się powtarzały; nie było jednego słowa przygany.

Gruba mieszczka w bursztynach zasłoniła widok Wawrusiowi, czekał spokojnie, aż odejdzie lub się nieco usunie. Cóż to?... Czy dobrze widzi?... Może mu się zdaje?... Ręka opalona wysuwa się w ścisku powolutku, wysuwa się cicha jak wąż, palce sięgają skórzaną kaletką⁴⁴⁷ wiszącą u pasa grubej niewiasty, otwierają guziczek, co torebkę zamyka... Tego już za wiele! Druga ręka, raczej rączka, ale pracą wyćwiczona, więc silna, skrada się za tamtą, porywa ją i zgniata jak żelazną obręczą. Złodziej drgnął... chce się wyrwać... uciekać... niesposób: twarda rączka trzyma niczym kleszcze. Cóż to znaczy? taki malec...

— O matko... Wawruś! — wyrывa się okrzyk z ust schwytanego. Ludzie śpiewają kolędy, nikt nie słyszy.

— Wawruś... ulituj się... puść mnie!

— Co masz do mnie, złodzieju! — wżgardliwie odpowiada chłopiec i podnosi mimo woli oczy na wyrostka w baranim kożuszk.

— Jezu... Jasiek!

W jednej chwili staje mu przed oczyma Poręba, tatuś, matusia najśladza i ten Jasiek, ten Jasiek, towarzyszy, przyjaciel, prawie brat!... Zaciska rękę jeszcze silniej, usta mu się krzywią obrzydzeniem, przez zęby wyrzuca z trudem jedno słowo:

— Pójdź...

I ciągnąc za sobą Jaśka, Wawruś przepycha się ku drzwiom kościelnym. Wyszli na pusty zupełnie, bo przedstawienie jeszcze nie skończone, więc się ludzie nie rozchodzą.

⁴⁴⁶dy a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

⁴⁴⁷kaletka (daw.) — torebka.

— Nie bój się, nie trzymaj mnie, ja ci nie ucieknę — odzywa się Jasiek cicho. — Czym się spodziewałeś, że cię w Krakowie napotkam!

— Wolej bym cię w życiu nigdy nie zobaczył, niżli tak... — odpowiada Wawrzus gorko. — O mój Boże... mój Boże... a ja cię tak co dzień wspominałem, tylem się napłakał za matusią i za tobą! Wstydno mi teraz, że złodzieja miłowałem.

— Mójesz ty złoty, nie plwaj na mnie! Już mi ta nie doczyniaj... Toli w ziemię rad bym się zapaść. Widzi Pan Jezus nowonarodzony, że nie lżę.

— Co komu przyjdzie z takowego gadania? Włazłeś w błoto, boś chciał...

— Żeby ci wszystko powiedział...

— To gadaj. Ano, czy zdołasz zaprzeczyć, że cię złapał na bezecnym uczynku?

— Pójdźmy gdzie indziej; za chwilę zaczną się ludzie rozchodzić z kościoła.

— Gdzie pójdziemy?

— Chodźmy. Ino ulicę wszecz przebiec, zaraz bagniste łąki; tam pustkowie, nikt nam nie przeszkodzi.

Przeszli paręset kroków wzdłuż murów miejskich i zawrócili na prawo. Była to istotnie najbardziej odludna część przedmieścia. Przed nimi rozpościerała się grząska nizina, teraz pokryta grubym, puszystym śniegiem, spod którego gdzieniegdzie sterczały suche, szerniałe badyle wodnych traw i trzciny. Mokradła te między wschodnią stroną miasta a starym korytem Wisły zwały się łąką świętego Sebastiana, od kościółka, który tam stał na płaskim wzniesieniu, otoczony wiązami. Dalej ciągnęły się oparkane składy drzewa, szopy na siano, sklecone jakby od niechcenia, mała opuszczona cegielnia, zaułki, gdzie tuliły się do siebie nędzne domostwa. W dali zaś widniał cmentarzyk, otoczony na wpół rozwalonym murem, i kapliczka świętej Gertrudy. Dziwnie ponure było to miejsce; bo też w owej kaplicy wystawiano ciała straconych zлочyńców i po egzekwacjach grzebano je na owym cmentarzyku. Cała ta okolica podmiejska pospołu⁴⁴⁸ z łąką świętego Sebastiana nosiła nazwę Brzegi.

Słońce zapadło poza miasto; na rozjarzonym niebie odcinały się czarno szczyty kościołów, wieże, baszty i mury Krakowa, ponad którym górował z jednej strony strzelisty gród wawelski, z drugiej wieżycza mariacka.

Chłopcy szli w milczeniu; pod ich nogami chrupiał śnieg. Wydłużone cienie ich postaci i starych garbatych wierzb siniały na śnieżnej równinie, zaróżowionej luną zachodu.

Wawrzus przystanął.

— Co masz gadać, to gadaj — rzekł szorstko. — Ani ci bieda, ani ci głód; kożuch masz pański, buty nowe i gębę czerwoną. Kto ci kazuje⁴⁴⁹ kraść?

— Właśnie takeś powiedział i tak jest: służę u pana, co mnie przymusza do złodziejstwa.

— To go rzuć. Jednej godziny ci u niego nie być.

— Juści⁴⁵⁰; tak się da łąco powiedzieć, a ruszyć się odeń nie mogę. Posłuchaj mnie, Wawrzek, cierpliwie, opowiem ci wszystko po porządku.

— Ady⁴⁵¹ nie można być cierpliwszym, skorom tu przyszedł z tobą. Gadaj.

— Jakoś w zimie, tego roku, coś to uciekł z Poręby...

— Nie uciekałem cale⁴⁵², inom się zgubił w puszczy, a potem... no, niechta; więc?

— Więc onej zimy matusia pomarli.

— Jezus, Maryja! Moja złocista matusia!

— Ale nie twoja, moja.

Wawrzus odetchnął ciężko.

— No i co?

— No i na wielkanocne święta już macocha była w domu. Z początku, jakieś parę tygodni, nie zważała na mnie; buchnęła w kark o lada co, ale to wspominku nie warte. Później ano, jak się rozpanowała w chałupie, tak od rana do nocy tatusiowi głowę klektała, coby mnie dać do służby albo do terminu. Dla świętej zgody zaprowadzili mnie tatuś do Mirowa i dali do kowala.

⁴⁴⁸pospołu — razem.

⁴⁴⁹kazować (gw.) — kazać; kazuje — dziś popr. forma 3.os. lp cz.ter.: każe.

⁴⁵⁰juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

⁴⁵¹ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

⁴⁵²cale (daw.) — wcale, zupełnie.

— Takiego małego?

— Jakże? Dy przeszło dwa roki⁴⁵³ starszym od ciebie; jużem wtedy dziesięć był skończył. Co prawda, siły wielkiej nie miałem, kował bił, czeladź szturchała, uciekłem do domu. Nie na wiele się zdało, macocha znowu swoje. A cobym już nie wracał, sama wyszukała mi służbę, daleko, aż⁴⁵⁴ w Łobzowie⁴⁵⁵, u wójta. Tamem krowy pasał bez⁴⁵⁶ rok. Dobrego pana miałem, głodu nie było, przyodziewa⁴⁵⁷ była, złego słowa mi nie powiedział. Ale mi się cnęło⁴⁵⁸ za czym lepszym. Jechali gospodarze z Poręby do Krakowa na odpust, od nich się dowiedziałem, co i tatuś poszli na tamten świat, a macocha całą puściznę zagarnęła dla swego synka. Już mi nie wracać do dom — myślę se — już tam nic po mnie. Podziękowałem od Nowego Roku wójtowi i poszedłem do Niegoszowic. Wzięli mnie do stajni; byłem tam blisko trzy roki. Od małego do większego, nauczyłem się sprawnie powozić. Pan miecznik był młody, żona też, często jeździli w sąsiedztwo abo do Krakowa; lubili, cobym ich woził, bo zawdy⁴⁵⁹ młode do młodego ciągnie, a siwy Łukasz jakoś im nie tak wygodził jako ja. Sprawili mi białą sukmankę, czapkę z pawimi piórami i tak my sobie jeździli choć dwa razy w tygodniu. Jak pan był dobrej myśli, to mi często rzucił kilka denarów⁴⁶⁰ abo i cały cheski, pani też nieraz obdarzyła, gościowi się konia podprowadziło, znowu co wpadło do garści, a na Nowy Rok zasługa; wszystkom se składał do szmatki i pod siennikiem trzymał.

— Widzisz, chciwość zawdy na zły koniec przywodzi.

— A nie. Chciałem se uskładać i choć za jakie długie lata kupić se gruntu gdzie na wsi i kmieciem wolnym być jako i tatuś. Ano, pojechali my znowu raz do Krakowa na jakiejś starościanki wesele. Umyłem kolebkę jak się patrzy, koniem obrządził — i na miasto. Walę od razu do Sukiennic, bo tam kramy bogate, jest na co oczy wypatrować. Chodzę, chodzę, aliści podsuwa się do mnie jakiś człek dostatnio ubrany i zaczyna pogwarkę. „A skąd, a po co, a na długo do Krakowa?” Grzeczny był, mowny, szliśmy razem od kramu do kramu. Wreszcie gada, co mu się strasznie pić chce, i pociągnął mnie za sobą do miodowni. Rozповіда, że kupcem jest, ale nie zwykłym kramarzem, ino jeździ do Gdańska, do Moskwy, nawet do Carogrodu po towary i te wielkimi pakami na furach od miasta do miasta wozi i pomniejszych handlarzom z dobrym zarobkiem odstępuje. W ten sposób z jednego grosza ma czasem dziesięć i spodziewa się na starość wieść spokojny żywot w dostatkach. — Mój Boże — myślę se — i świata dalekiego się napatrzy, i majątności uciula, a ja co? Parobek do koni, sierota, bez własnego dachu nad głową. — I tak jakoś przy miodzie rozpowiedziałem mu wszystko, co miałem na sercu, nie skrywając, że chcę być kiedyś wiejskim gospodarzem. Ośmiał się ze mnie jak z dziecka i gada: „Ani za pięćdziesiąt lat nie złożysz tyle, ile trza na ziemi kawał; starym dziadem będziesz, a nie gospodarzem. Ja bym wiedział lepszy i prędszy sposób”. — „A jaki? Powiedzieć mi, zlitujcie się!” — „Przystań do mnie; na początek w domu się przydasz do usług, a i tak cię lepiej zapłacę niż ten twój pan miecznik. Później, jak poznam, żeś sprawny i rozgarniony, to i w drogę cię wezmę, i handlować nauczę. Czasem, jak dobrze pójdzie, to w jednym roku zarobisz tyle, co w służbie za dwadzieścia lat”. I tak gadał, gadał, a mnie aż coś szarpało do onego prędkiego zarobku. Ugodziliśmy się przez pół⁴⁶¹, bo nie wiedziałem, czy mnie mój pan ze służby zwolni. Poszedł ze mną do dworca pana miecznikowego i w sieni czekał, jaką odpowiedź przyniosę.

— Bodaj go była ziemia pochłonęła owej godziny! — zaklął Wawrzuś.

— Pan miecznik był ludzki i cale⁴⁶² niesrog; wyrozumiawszy, że mnie kupiec chce brać do terminu, nie przeciwiał się temu i po owym weselu musiałem jeszcze tylko odwiedzić państwa do domu. Za jedną drogą zabrałem swoje łachy i szmacinę z pieniędzmi. Mego

⁴⁵³roki, roków (gw.) — lata, lat.

⁴⁵⁴aż (daw.) — aż.

⁴⁵⁵Łobzów — dziś dzielnica Krakowa, wówczas wieś pod miastem.

⁴⁵⁶bez (gw.) — przez.

⁴⁵⁷przyodziewa — ubranie, odzież.

⁴⁵⁸cnić się — tęsknić.

⁴⁵⁹zawdy (daw.) — zawsze.

⁴⁶⁰denar — najdrobniejsza moneta w czasach Jagiellonów.

⁴⁶¹przez pół — połowicznie, nie na pewno.

⁴⁶²cale (daw.) — wcale, zupełnie.

nowego pana łatwo znalazłem, bo kazał pytać w tej samej gospodzie, gdzieśmy raz byli, o Hincza Bartnika. Prawie co dzień pod wieczór zwykł był tam chadzać na kubek.

— Jakże, nie połapałeś się od razu, że to rzezimieszek szkaradny? — przerwał mu opowiadanie Wawrzus.

— Nigdy w świecie nie byłbym wyrozumiał z początku, co on za jeden. Twarz miał co prawda niemłą i prosto w oczy nie lubił patrzeć; alem się prędko z tym oswoił i nic mi nie wadziło, że ponuro poglądał. Z początku, jako mi zapowiedział, inom był do posług. Izby zamiatałem, w piecum palił, żur albo kluski na śniadanie warzył, buty i przyodziewę czyścił. W południe szliśmy se oba do gospody na obiad. Parę razy pan wyjeżdżał z domu na kilka lub kilkanaście dni, wtedy mi sute strawne⁴⁶³ zostawiał, wszystkie izby prócz kuchni na kłódki zamykał, a i tak upominał, żebym się nie włóczył po mieście, ino domu strzegł, bo o złodziei nietrudno. Drzwi od ulicy także na dwa spusty zamykał i żelaznym drągiem zasunął, ino mi klucz od podwórzowej furtki zostawiał. Okna gęsto zakratowane, siedziałem jako w twierdzy. Musi mieć różne drogości i złote pieniądze, kiej się tak boi — myślałem. Namówił mnie, cobym i swój oszczędzony grosik dał mu do przechowania; odświętną przyodziewę także mi zamknął do komory, żeby prochem nie przepadała, anim się opatrzył, już mi wszystko zabrał, inom to miał, co na sobie. Po jakimś czasie zaczęła się nauka. Dziwuję się dzisiaj, co mię⁴⁶⁴ zaślepiło, żem nie odgadł, jakie to było terminowanie; wtędym się ino śmiał i niczego nie rozumiał.

— Cóż ci kazał robić? — spytał Wawrzus.

— Kazał mi znieść ze strychu kukłę wielką, na podobieństwo człowieka urobioną i przyodzianą. Kaletkę, torebek było na niej z dziesięć, a po całym kubraku ponawieszane dzwoneczki. Do każdej kieszeni wkładał denary i kazał mi je wyjmować ostrożnie, coby którego dzwoneczka nie potrać. „Jak się zręcznie sprawisz — powiada — grosiki twoje; zadzwoni dzwonek, pójdziesz spać o głodzie”. Długom się nie mógł nauczyć; inom dotknął onego cudaka, oho, juści wszystkie dzwonki dyndały na larum⁴⁶⁵; pan łajał i wieczerzy nie dawał. Ale też uciechy było, uciechy, jak dobrze poszło! I coraz częściej szło dobrze, aż po jakich dwóch miesiącach tom ci wypróżniał kaletki jedną za drugą, a bałwan⁴⁶⁶ cicho stał, ani jęknął. Klnę ci się na rodziców... ani mi przez myśl nie przeszło, co to wszystko ma znaczyć. Mniemałem, że ot taka sztuka, na pokaz ludziom. Ani jednego dnia mi nie przepuścił, abym wprawy nie stracił. Któregoś wieczora każe mi się pan ubierać i iść za sobą. Ucieszyłem się; Bogiem a prawdą, cnęło mi się strasznie za jaką odmianą. Dostyc dalekośmy szli, aż stanęli przy jakimś wysokim murze. W murze była furtka; pan wyjął z kieszeni pęk kluczy, ale ze siedem próbował, zanim się udało. Ciemno — myślę se — nie może znaleźć dobrego. Patrzcie, ludzie, co za bogacz, jaki to ogród ma okrutny. Weszliśmy po cichu, piękny dworzec wśród drzew, ale ciemno. „Stój tu — mówi do mnie — poglądaj i nasłuchuj, a gdyby kto szedł wedle domu, to gwizdnij ostro”.

— Będziesz może gadał, co i wtenczas nie rozumiałeś, że to złodziej, szubienicznik? — z gniewem krzyknął Wawrzus.

— Jak Pana Boga miłuję, nie rozumiałem! Ale czekaj, niedługo już mojej głupoty. Postąłem tak z godzinę, może krócej, ale mi się czas bardzo dłużył na onym czekaniu po ciemku. Wreszcie pan wyszedł z niedużym zawiniątkiem i dał mi je nieść za sobą. Ciężkie było i twarde, ledwie dźwigał. Wróciwszy do domu, zasunął się w swojej izbie, a mnie kazał iść spać. Choćby mnie ciekawość brała wyjść na podwórze i oknem zaglądać, nic bym nie uwidział, bo dzień i noc grubą derą było zaslonione. Kilka razy powtórzyła się taka wyprawa, ma się rozumieć coraz to w innej stronie: zawsześmy wracali szczęśliwie. Aż jednej nocy, będzie temu ze trzy tygodnie, gdy tak stałem na straży, a deszcz ze śniegiem prószył gęsty, widzę, że się brama od ulicy otwiera, dwóch panów idzie rozmawiających głośno, za nimi pacholek. Jak ci nie gwizdnę co ino sił, umarły by usłyszał; ale stoję w miejscu i czekam na pana. Ani pół pacierza nie zeszło, leci ku mnie jak ten wichur, tłumoczek na ręce rzuca... „Biegaj do domu w te pędy!” — My obaj do furtki, za mur, zawróciłem się w swoją stronę, gnam cwałem, bo mi tak przecie kazał, aż tu wyraźnie słyszę: „Łapaj, łapaj... złodziej!” Jakby mi kto kosą nogi podciął, runąłem na ziemię. Matko

Nauka, Złodziej, Pozory

Złodziej, Sumienie

⁴⁶³strawne (daw.) — pieniądze na jedzenie.

⁴⁶⁴mię — dziś popr.: mnie.

⁴⁶⁵larum (z łac.) — alarm.

⁴⁶⁶bałwan — tu: kukła, figura.

Boska... święty Janie, patronie... u złodzieja służę! Złodziejskie łupy dźwigam! Pozbierałem się cały trzęsący i chciałem iść naprzeciw owych, co krzyczeli, oddać im skradzione rzeczy. Ale się widno gdzie indziej zawrócili, bo coraz ciszej głosy mnie dochodziły. Co robić? Zostawić tobół na ulicy, byle jaki dziad albo pijak porwie jak swoje. Odnieść do ratusza? Dy miejskie bramy pozamykane. Jutro rano zaniósę i powiem wszystko — rzekłem se w duchu i lżej mi się zrobiło. Przychodzę do domu, a pan przy drzwiach czeka na mnie. „Udało ci się? — gada — gracki chłopak; sowitą nagrodę dostaniesz”. — I śmieje się łotr całą gębą. „Nie trza mi waszej nagrody! — wrzeszczę ze złością — ani mi palcem tykajcie tego tłumoka! Skoro świt idę z nim na ratusz”. — „Jak wola, jak wola — odpowiada i jeszcze lepiej się śmieje — a tymczasem wejdź do izby, nie musisz moknąć na deszczu”. Co miałem robić! Wszedłem. Dopiero on mi gada, że m głupi jak dwuletnie dziecko. „Idź na ratusz, idź, synku. Ładnieś zrobił, żeś mi się przyznał. Niech cały dom do góry nogami przewrócą, jednego czerwienca nie powąchają, jednego pierścionka nie najdą. Wszystko w bezpiecznym schowaniu. Sam się w ziemię zapadnę, zje diabła, kto mnie chyci. A ciebie, złodziejskiego pomocnika, wsadzą do lochu, za czym się sprawa rozjaśni. Posiedzisz tam rok albo dziesięć, różnie się zdarza; a panowie w trybunale mają setki spraw do sądzenia, łącno i zapomną takiej drobnostki, że tam jakiś psi syn czeka zmiłowania. Hincza Bartnika nie dostaną, ale Jasiiek zgnije pod ziemią.” Śmiał się, ino mu te zębce lyskały w gębie, a ja stałem i patrzyłem nań jak na samego diabła. „Nawet cię zamykać nie będę — gada — wolno ci chodzić do miasta, kiedy zechcesz, i wracać, kiej ci się podoba. Wydasz mnie, pójdę na hak⁴⁶⁷, wiem o tym, ale skoro na sądzie opowiem, żeś u mnie służył, żeś z dobrej woli stróżował, jakem na robotę chadzał, żeś tłumoki za mną dźwigał a gwizdaniem o niebezpieczeństwie ostrzegał, to jakoż ci się zda, co z tobą zrobią? Może powiesz, a może się twej młodości ulitują i wsadzą do takiej ciemnicy, że do samej śmierci złotego słoneczka nie uwidzisz. A cobyś nie umknął, na łańcuszku cię do ściany przykują. Idź, synku, wydaj mnie, jeszcze ci sam drzwi otworzę”. Już ci dalej nie powiem... co będę gadał! Teraz muszę spieszo do domu, czekać na pana, bo lada chwila powróci.

— To nie może być, żeby się na twoją biedę lekarstwo nie znalazło! — zawołał Wawrzus.

Jasiiek ruszył ramionami.

— Choćby uciekał na kraj świata, i tam mnie dostanie. Podprowadź mnie, muszę już iść.

— Co? Na cmentarz pójdziemy?

— Bez mała — z gorzkim uśmiechem rzekł Jasiiek. — Dworek Bartnika ustronny i zaciszny, a podwórze do cmentarnego muru przypiera. Uciekaj, mógłby nadejść; lepiej, żeby tu nikogo nie zastał. Zresztą, będą już miasto zamykać. Bierz się ku Nowej Bramie, bliżej ci niż do Grodzkiej.

— Chciałbym przyjść do ciebie.

— Co dzień z południa siedzę w domu sam.

— Dobrze.

— Dobranoc.

Wawrzus pośpieszył ku Nowej Bramie, a po drodze rozmyślał, jakby tu wyrwać nie-szczęśliwego przyjaciela z rąk zbrodniarza.

Śpiewy, krzyki, śmiechy, głos piszczałek i bicie w bęben wyrwały go z zadumy. Pa-robeczek z gwiazdą na przedzie, za nim trzej królowie w pozłacanych koronach i ja-skrawych szmatkach, rogaty diabeł prowadzący na powrozie turonia o kłapiącym koźlim pysku, dwóch muzykantów z fujarkami, trzeci z małym bębenkiem; słowem, przebrani żacy uganiający od domu do domu po kołędzie zabiegli mu drogę.

— Wawrzek od mistrza Wita! Jak się masz!

— Co mnie zaczepiasz? Dy ja cię nie znam!

— Nie znasz? — Król Baltazar odwiązał sznurek i zdjął na chwilę długą siwą brodę z konopnego przędzywa...

— Florek!

⁴⁶⁷ Wydasz mnie, pójdę na hak... — W średnich wiekach surowo karano za kradzież, nawet śmiercią. [przypis autorski]

- A widzisz? Dawnoś nie był u pana Żegoty, toś i zapomniał o mnie. Chodź z nami!
- Bramy zamykają...
- Wielkie rzeczy, przenocujemy razem, ot tutaj, w gospodzie.
- Nie mogę, mistrz by strasznie swarzyli.
- A to bywaj zdrów!

Trzej królowie z orszakiem wpadli, piszcząc dziko, do szynkowni, drzwi nie zamknęli za sobą, światło błysnęło. Wawruś przystanął bezwiednie i patrzył ze śmiechem na niezgrabne skoki turonia.

Ktoś przeszedł obok prędko i nagle się zatrzymał. Chłopiec obejrzał się: wysoki człowiek jakiś, w kozuchu i barankowej czapie, stał dwa kroki od niego i bacznie mu się przyglądał. Coś, niby wspomnienie snu przykrego, przeleciało przez głowę Wawrusia... dreszcz go wstrząsnął... kto to? Czego tak patrzy na mnie? Och, te oczy... Jezus Maryja, pielgrzym!...

Z otwartych drzwi gospody wyszedł, zataczając się, obdarto odziany człek i uderzył sobą tamtego...

- Czarny Rafał!... Śmiercim się pierwszej spodziewałem... A ty co robisz w Krakowie?

Wawruś skorzystał ze sposobności, że pijak czepił się ramienia pielgrzyma, i nie oglądając się już poza siebie, pędził ku Nowej Bramie. Nie ubiegł dwudziestu kroków, zdało mu się, że ktoś go goni.

- O rety... zamknięta!

Zaczął bić pięściami we wrota i wołał:

- O dobrzy ludzie... o moiściewy⁴⁶⁸... otwórzcie!

Kroki zbliżały się, potem ucichły, ktoś czekał.

Okno na piąterku tuż ponad szkarpą otwarło się; wachmistrz ceklarzy wychylił głowę.

- A ty raku przekłety... jak śmiesz burdy czynić po nocy? Zaraz mi się precz wynoś!

— O miłościwy pułkowniku... zlitujcie się nade mną biednym... Gdzież ja się na noc podzieję? Co wam szkodzi otworzyć?

— Juści, we trzech zleziemy na dół dla usługi waszej wielmożności. Pan starosta wczoraj się spóźnił, musiał nocować w zajeździe, a to kocię każe se bramę otwierać! Uciekaj, pókim dobry.

- A oknem wolno? — zapiszczał chłopiec.

Wachmistrz parsknął śmiechem.

- Ojoj... coby nie? Nawet ci całe otworzę.

- Bóg wam zapłać!

Odsadził się dla rozpędu... coś czarnego stało pod murem na boku... Wawruś przeżegnał się i pomknął jednym tchem, jak szalony po pochyłej szkarpie⁴⁶⁹...

Złapał się futryny.

- Wciągnijcie mnie do izby, jeśli łaska!

- Jak Pana mego... nie trzeba po cudach chodzić!

Wachmistrz trącił nogą drzwi do drugiej izby.

- Onufer... Jacek... Pokazać wam wiewiórkę?

ŚWIĘTY KAZIMIERZ⁴⁷⁰

Do Wilna. — Piwna polewka u pani Salomei. — Kąpiel Wawrusia w Narwi. — O czym Bystry gadał z Kudrasiem. — Strzała Stanka i nóż pielgrzyma. — Żółte ciżemki. — „Omni die dic Mariae⁴⁷¹”. — Zgon królewicza.

Listy z Wilna przynosiły coraz to smutniejsze wieści o chorobie królewicza Kazimierza. Ostatni posłaniec przywiózł tylko kilka wierszy, z trudem widocznie napisanych,

⁴⁶⁸moiściewy (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

⁴⁶⁹szkarpa — skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru.

⁴⁷⁰święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

⁴⁷¹Omni die dic Mariae (łac.: każdego dnia chwal Marię) — hymn maryjny, przypisywany dawniej św. Kazimierzowi.

a osobno list od przybocznego i ulubionego dworzanina, pana Świrenkowicza, donoszący, że chory do cna z sił opadł i ledwie z przymusem szklaneczkę mleka trzy razy dziennie wypija. Ciężko zasmucony król posłał czym prędzej dwóch najpierwszych lekarzy z Krakowa, pokładając w nich lepsze nadzieje niż w nadwornym medyku królewicza.

Wit Stwosz dowiedział się o tym wszystkim od Kallimacha i kwapił się z wykończeniem ołtarzyka; Stanko, Jurek i Wawrzus pracowali nad rzeźbieniem figur i ornamentów, mistrz doskakiwał do chłopców co godzina, krzyczał, że robota stoi, wzywał pomsty od nieba i piekiel nad próżniakami, za czym przyjrawszy się bliżej, klepał ich po plecach z zadowoleniem. Dni całe aż do zmroku pracowano z takim natężeniem, że mowy nie było o swobodniejszej chwili; pozostawały czeladnikom na wypoczynek tylko niedziele. Wawrzus wyglądał każdej jak kania deszczu, by się zobaczyć z Jaśkiem i obmyślić wspólnie plan wyswobodzenia go ze szponów Hincza Bartnika. Tymczasem, ilekroć w niedzielę po południu biegł do przyjaciela, za każdym razem zastawał drzwi zamknięte i okiennice pozasuwane.

Trzydziestego stycznia posąжки Matki Boskiej, archaniołów Michała, Gabriela, jako też pół tuzina skrzydlatych dzieciaków, stały w pracowni pomalowane, wyzłocone, gotowiuteńkie. Można się było spodziewać, że wysłańcy z ołtarzem dojadą na miejsce za jakie trzy lub cztery tygodnie. Zwłaszcza że szafę miano robić już w Wilnie, by nie tracić czasu i nie przysparzać ciężaru.

Zaopatrzywszy Stanka w pieniądze potrzebne do długiej podróży, mistrz Wit wyprowadził go z Jurkiem i Wawrzkiem w drogę. Woźnicę mieli doświadczonego bywalca, ruszyli z Krakowa pełni otuchy, radzi, że taki kawał świata zjadą, Wilno zobaczą, a co najważniejsze, pokłonią się miłościwemu królewiczowi, którego żaden z nich, jako żył, nie widział.

W ostatnich dniach stycznia spadły wielkie śniegi; przezorny Błażej był na wszelaką pogodę przygotowany, od razu więc po pierwszym popasie zdjęto koła i włożono wóz na płozy, za czym jechali sporzej⁴⁷² dobrą sanną. Nie mogli jednak zbyt mocno męczyć koni, nie mając innych do zmiany; woźnica tedy, a zarazem naczelny wódz wyprawy, przeznaczał popasy i noclegi, jechano krótkimi dniołkami. Pierwszy nocleg przypadł w Proszowicach, nazajutrz w Nowym Mieście Korczynie, potem przez Tursko, Sandomierz, Kraśnik do Lublina.

W Lublinie kierować się mieli wprost do dworku pana Mikołaja z Proszowic, brata pana Żegoty.

— A wiecie którą? — spytał Stanko Błażeja.

— Nie wiedziałbym? — odparł stary. — Ady⁴⁷³ w święta woziłem tu pana Żegotę; miał zostać dwa tygodnie, ale piątego dnia my się zabrali z powrotem.

— Zachorzał czy co się stało?

— Ee... nic ważnego... wszędy dobrze, a doma⁴⁷⁴ najlepiej. — Błażej machnął ręką ze śmiechem. — Ot, zaraz, w tej ulicy na lewo.

Strzelił z bata dwa razy, podjechał i zatrzymał konie. Stanko skoczył z wozu, ale nim zdążył zastukać do bramy podwórzowej, wrota same się otwały, drobniutki, zawiądły człeczek w szarym żupanie wybiegł z pośpiechem i ręce ku niemu wyciągnął:

— Witam, witam... wiem wszystko... na ścieżaj bramę jako i serce moje ku przyjęciu miłych gości otwieram!

Bryka wjechała, gospodarz zamknął czym prędzej, przeciągnął drąg przez drewniane klamry i rzucił się drugi raz witać podróżnych.

— Bóg zapłać waszej miłości za tak skwapliwą gościnność — rzekł Stanko z ukłonem. — Do królewicza Kazimierza ołtarzyk wieziemy.

— A jakże, a jakże, brat mi rozповідаł dokumentnie o wszystkim; daj Bóg, cobyście jeszcze na porę zajechali. Wejdźcie do izby, proszę.

Usiedli na ławie, pan Mikołaj rozpytywał o nowiny: czy król miłościwy nie zamierza syna odwiedzić, czy ołtarz mariacki ma się już ku wykończeniu, co porabia brat Żegota, nagle... urwał w pół zdania i skoczył na równe nogi, rumieniąc się jak żaczek.

We drzwiach ukazała się podobnie chuda i zasuszona jak mąż, ale o głowę odeń wyższa

Żona

⁴⁷²sporzej (daw.) — więcej, obficie; tu: lepiej.

⁴⁷³ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

⁴⁷⁴doma (gw.) — w domu.

pani Salomea Proszowska. Pan Mikołaj pobiegł ku żoneczce.

— Nie było cię doma, dziewczko najmilejsza, gdy Opatrzność Boska zesłała nam gości.

— Widziałam już — odparła pani zimno — bryka, cztery konie, parobek...

— Aha, com to chciał rzec — wpadł jej mąż pośpiesznie w mowę — pozwólcie, wasze miłości, że was zapoznam: syn mistrza Wita z towarzyszami; a to mój przyjaciel dozgonny, sercem ukochana Salusia. Od rana mróz cierpią, dziewczko najmilejsza, przydałaby się piwna poleweczka na rozgrzanie.

Dozgonny przyjaciel uśmiechnął się słodziutko.

— Już się warzy; właśnie sama przyprowadziłam — a w ucho mężowi syknęła — na jeden krok z domu niesposób się ruszyć, wiecznie jakichś darmozjadów naprowadzasz, ino ja za progiem.

— Z twarogiem świeżym, powiadasz, Salusiu? Z twarogiem? Dziewkoż ty moja! Wiedzicie, wasze miłości, czego ino myślą zażądam, z oczu mi chęć odgaduje, na każdym kroku mię psowa⁴⁷⁵, jedynaczka moja!

— Dla asana ani kropki... żebyś mi się nie ważył tknąć! Masz być chory... — zaszemrało ukochanie jedyne.

— Aż dwa gąsior⁴⁷⁶, drogości moje? Wiesz przecie, że od wczoraj niedomagam, nawet nie pokosztuję. Tym ci lepiej, goście nie wzgardzą, niech będzie i dwa. Grzanek misę kopiastą, nie zapomnij, ptaszyno.

Salusia wymknęła się z izby spiesznie, nie chcąc karcieć małżonka przy obcych, i wlała kwartę wody do piwa gwoli⁴⁷⁷ dopełnienia zapowiedzianych dwóch gąsiorów.

Po wieczery podróźni pożegnali gościnnych gospodarzy, bowiem przed świtem jeszcze mieli wyruszyć dalej.

Bez przygód zajęchali do Kocka, następnego dnia do Białej, cały dzień wypoczęli w Drohiczynie, gdzie warowny zameczek, przez Konrada Mazowieckiego⁴⁷⁸ wzniesiony, z wysokiej góry w błękitnawoszarych wodach Bugu się przegląda. Z Drohiczyna pośpieszyli do Bielska na obiad i zaraz dalej.

Dojeżdżają do Narwi, rzeka w łód się zakula, śnieg na niej; patrzą w prawo, patrzą w lewo, mostu nigdzie ni znaku... Błażej podrapał się w głowę, zlął z wozu i chodzi nad brzegiem.

— Cóż myślicie — spytał go Stanko — przeberzemy⁴⁷⁹ się chyba na drugą stronę? Ślady sani, kopyt, widno wszyscy tędy jeżdżą.

— Ta, ano niby tak, alebym wołał...

— Rzeka stoi, łód mocny, kiedy wozy przechodzą.

— Ale nasza bryka ciężka, a piąty już dzień mrozu nie masz. Ano, co robić... nic tu nie wystoimy, trza jechać.

Przeżegnał konie batem, poszły. Łód cichy, nie dudni pod kopytami... Błażej strasznie chmurny idzie przy koniach i chłopakom zleźć kazał, żeby jak można ulżyć saniom.

— No widzicie, było się czego bać — śmieje się Jurek — już więcej niż pół drogi!

Błażej nic nie odpowiedział, oczyma śledził każdy krok koni. Nagle... zachrzęściło coś głucho, woda bryznęła spod kopyt, trzask się rozległ okropny, chlupot... pierwsza para koni zapadła się po brzuchy w wodę.

— O Jezu... nie mówiłem! Hej, chłopaki... co tchu!... biegajcie na tamtą stronę... światelka niedaleko... wołajcie ludzi z drągami, niech śpieszą konie ratować. Ino duchem! Na prawo... na prawo... tam bezpiecznie!

Konie, zanurzone w wodzie, chrapały ze strachu i drżały od zimna; druga para za nimi szarpała się i przysiadła na zadach, a łód pękał coraz dalej... po kilku minutach zapadły się i one. Sanie przechyliły się na bok, jedna paka zesunęła się w wodę; szczęściem nie poszła pod łód, tylko wsparta jednym kantem na zielonej roztrzaskanej tafli, sterczała do góry, grożąc z każdą chwilą osunięciem się w głąb.

⁴⁷⁵psować (daw.) — psuć.

⁴⁷⁶gąsior — duże naczynie na wino a. piwo.

⁴⁷⁷gwoli (daw.) — w celu.

⁴⁷⁸Konrad I Mazowiecki (ok. 1187–1247) — syn Kazimierza Sprawiedliwego, książę kujawsko-mazowiecki. Walczył z pogańskimi Prusami, sprowadził na ziemie polskie zakon krzyżacki.

⁴⁷⁹przebrać się (daw.) — przedostać się.

Biednemu Błażejowi zdawało się, że trzy godziny czeka, choć naprawdę wieś była blisko, chłopcy gnali bez opamiętania, a ludzie we wsi, dowiedziawszy się o przygodzie, w okamgnieniu się zabrali i biegli z pomocą.

— O mój Boże... świętości wiozą dla chorego królewicza! — dziwował się wójt, pędząc przed sobą ośmiu parobków z tęgimi drągami. — Zbierajcie nogi, chłopcy, a żywo, wszakci naszemu umiłowanemu kniaziowi służymy!

Dobiegli.

— Najpierwsza rzecz odciąć konie; inaczej nie damy rady — komenderował wójt. — Dobrze. Teraz po trzech z każdej strony, drąg pod brzuch i dźwignąć z wody!... Fiedor... tumanie jeden... gdzie stajesz? Nie masz oczu? Pójdiesz pod lód i kto cię będzie szukał? Hawryło... Semen... ku brzegowi ciągnąć; koń mądry, sam się ano gramoli... do góry drągi! Przysadzić się! No! To już, sława Bohu, jeden! Wańka, pędem z nim do mojej stajni, wytrzeć wiechciami do sucha, całego derami owinąć i powrozami owiązać pod brzuchem, co by się zagrzał. Nic mu nie będzie. Macie drugiego? Ot, mołojcy⁴⁸⁰! Pietia, prowadź i tego do wsi, a zrób tak, jakom Wańce przykazał.

Wyciągnąwszy szczęśliwie konie, wzięto się do wozu. Wawrzusiowi straszno się zrobiło, że paka od godziny w wodzie stoi, a posągi choć jak najtroskliwiej grubym płótnem owinięte, wiórami i sianem poprzetykane, zamokły na pewno; świeża farba odstanie, złoto się zetrze... nieszczęście. Miałże stać darmo i przypatrywać się, jak inni pracują? Inni, obcy ludzie, co ani wiedzą, jaki tam cudny archanioł Michał z mieczem ognistym albo Gabriel z lilii gałązką... Choć podźwignąć, choć na suchym lodzie zeprzeć... Schylił się, namacał kant paki pod lodem, ujął go silnie, szarpnął i wpadł głową naprzód do wody. Gdyby nie Błażej, który go w tej samej chwili za połę od kożucha pochwycił, byłby niechybnie poszedł na dno; a tak tylko czoło zakrwawił o spiczasty odłam lodu, tyknął zimnej wody więcej, niżby chciał, i przemókł do nitki. Poczciwy Błażej zatulił go we własną oponę i na rękach zaniósł do ciepłej izby w chałupie wójta.

Parobcy wynieśli obie paki z pomocą Stanka i Jurka na brzeg, sanie cofnięto na twarde miejsce i ostrożnie doprowadzono na drugą stronę. Po tej ciężkiej robocie zaprosił wójt podróżnych i całą młodzież, co się tak dzielnie spisała, do siebie na poczęstunek.

Nawet Wawrzusina przygoda zakończyła się całkiem pomyślnie, bo tylko guzem na czole. Wieczór spędzili podróżni na gawędzie z wójtem, który słuchał ciekawie opowiadań o Krakowie, o wspaniałościach dworu królewskiego i o wiezionym do Wilna ołtarzu na ofiarę za zdrowie królewicza. Nocleg pokrzepił wszystkich i nazajutrz rano, podziękowawszy gorąco za ratunek i gościnność, ruszono wprost już do Białegostoku na obiad.

Aż tu w drodze pokazało się, że jeden z koni przy załamaniu otarł sobie nogę do krwi, spuchła mu i kulał porządnie. A Wawrzus, rano jeszcze zdrowy i wesół, ku południowi zaczął narzekać na głowę, chwyciły go dreszcze, wczorajsza kąpiel dziś dopiero dawała się we znaki.

Z kulawym koniem i chorym chłopcem nie docierali już do samego miasta; radzi wjechali do pierwszej lepszej gospody, jaka im się tuż przy rogatkach nawinęła. Karczmarka usłała Wawrzusiowi wygodne spanie na przypiecku; ciągle narzekał na głowę, gorączka go rozbierała⁴⁸¹. To drzemał, to się budził, to jakby rozmawiał, śmiał się, to stękał i znowu zasypiał, by za chwilę zerwać się z krzykiem.

Poleciwszy go opiece gospodyni, Błażej poszedł opatrzyć konia, a Stanko z Jurkiem wybiegli po obiedzie na miasto.

Chory chłopak uspokajał się z wolna, gorączka ustępowała, usnął twardo i smacznie.

Obudził się przytomny i trochę rzeświejszy; powiódł zdziwionym wzrokiem po izbie, jakoś nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tu wziął i dlaczego leży za piecem. Spostrzegł siedzącego przy stole człowieka w grubym kubraku, przepasanego skórzanym pasem; zjadł smacznie jajecznicę z kielbasą. Karczmarka przyniosła mu dzbanek piwa, popił, otarł olbrzymie wąsy i odsapnął z zadowoleniem. Gospodyni wyszła do piekarni, a gość wstał z ławy, przeciągnął się, ziewnął i wyjrzał do sieni. Zaklął w sto diabłów, splunął i usiadł na powrót. Coś go musiało niecierpliwic, bo przytupywał nogą i bębnił palcami po stole. To wstawał, to siadał, to na ulicę wychodził, a spluwał przez zęby raz za razem.

⁴⁸⁰mołojcy (z białorus.) — zuchy.

⁴⁸¹rozbierać (gw.) — tu: brać, osłabiać.

Drzwi skrzypnęły, wszedł młody człowiek o gęstej kędzierzawej czuprynie; usiadł przy drugim stole, nie patrząc w lewo ani w prawo i oparł głowę na rękach.

— Ij... cóż znowu za figlasy... — półgłosem rzekł starszy — widzisz przecie, że ani psa nie ma w izbie, możesz mówić śmiało.

— Zostanę tu — odparł młody — wejdzie kto, lepiej, że się nie znamy.

— I to racja. Gadaj, coś sprawił?

— Dużo i mało; a Majster niech z tego kleci, co zdoli.

— No, Bystry, nie marudź. Otwórz kłódkę.

— Otwieram, a i tak nic nie będziesz wiedział. Słuchaj. Jedzie ich dwóch ze Lwowa; Ormiany⁴⁸² są. Jeden kobierce z Persji wiezie, makaty złotem przerabiane, balsamy i wonności wschodnie. Jest tego bryka wyładowana, cztery konie ją ciągną, piąty przodem doprzężony, hajduczek⁴⁸³ na nim. Drugi kupiec zasię ino dwie skrzynki ma na tymże wozie, ale w nich perły i wszelakie najdroższe kamienie; jedna ich garść starczy za tamto wszystko.

— Jakoż trza rozumieć te kręte słowa „dużo i mało”? Dwie skrzynie klejnotów jeszcze ci nie dosyć?

— Mądry odgadnie snadnie, głupiemu na myśl nie wpadnie.

— Miejże se uciechę, zem głupi, a gadaj wyraźnie, bez przypowiastek.

— Oj, Kudraś, Kudraś, wstydno mi za cię! Gdybyś był kupcem, a jechał na kraj świata z bryką pełną drogości, nie przysposobiłbyś wszystkiego, co ino można, ku obronie swych towarów, he?

— Teraz mi świta...

— Po dwóch stronach bryki z kuszami łuczники⁴⁸⁴; tedy se porachuj: dwóch kupców, hajduk i woźnica, czterech pacholków, to razem ludzi osiem; i mieczyki zacne mają u boku, dobrzem się przypatrzyl.

— Prawda twoja. Ciekawość, co Majster na to?

— Gdyby nas zarówno było, aniby mrugnął; ale ich ośmiu, nas pięciu, trochę kuso.

— Czy tak, czy owak, z opowieścią biegaj. A wspomnij i o tym, że jakiś wóz od Krakowa z dwiema pakami jedzie, trzech ludzi i malec, półdziecko. Nie zabacz, że tych ja zwietrzyłem.

— Nie omieszkać, nie omieszkać — odparł Bystry, szyderczo się uśmiechając. — A co w tych pakach?

— Czort wie, nie ja.

— Do piekła za daleko, ja ci powiem: w pakach figury drewniane, święte kukły malowane, wiezie do Wilna dla królewicza Kazimierza czeladź z warsztatu mistrza Wita.

Kudraś splunął ze złością.

— Takem się radował, że choć ten jeden raz mi się udało.

— Nie frasujcie się, kumoter — pocieszał go Bystry — jeden ma w głowie, drugi ma w rękach. Jak przyjdzie grzmocić, twój jeden palec więcej wart niż moje obie pięści. No, komu w drogę, temu czas, idę w las; a ty, jako Majster przykazał, staw się jutro rano pod trzema dębami.

Młody wyszedł, starszy został jeszcze z godzinę, a Wawruś wiązał w myśli zrozumiałe i niezrozumiałe słowa tych dziwnych ludzi, którzy niby się sprzecali, niby żartowali, a których mowa przejmowała go strachem, sam nie wiedział czego.

Pod wieczór zeszła się czeladź pana Wita w izbie gospodniej i Wawruś, któremu z całej choroby już tylko katar pozostał, opowiadał szczegółowo wszystko, co widział i słyszał.

— Abo⁴⁸⁵ to zbóje i rzezimieszki — zawyrokował stary Błażej — aboś, chłopcze, miał ciężką gorączkę i wszystko ci się ino śniło.

— Sam nie wiem. Do tej pory w głowie mi się zawraca; może mi się i śniło.

Tupanie koni, dzwonki przy saniach, gwar głosów zwrócił ich uwagę. Po chwili drzwi się otwały i ktoś odezwał się od proga:

— Niech będzie pochwalony...

Odpowiedzieli „na wieki”.

⁴⁸²Ormiany — dziś popr. forma M. lm: Ormianie.

⁴⁸³hajduczek — służący w węgierskim stroju, lokaj.

⁴⁸⁴łucznicy — dziś popr. forma M. lm: łucznicy.

⁴⁸⁵abo (daw.) — albo.

— Stanko... widzisz ty? Żydy⁴⁸⁶... A Pana Jezusa chwałą... Chyba chrzczone? A to ci nochale mają aż ku brodzie, włosiska ciemne, kręte...

— Cicho, smyku... gotowi cię usłyszeć. Chrześcijanie to są, katoliki porządne i dobre ludzie⁴⁸⁷. Z ormiańskiego narodu pochodzą.

— Aha, a Błażej gadali, że mi się śniło. To pewnikiem owi kupcowie⁴⁸⁸ ze Lwowa.

— Zaraz się to wykryje — rzekł Stanko.

Nastąpiło wzajemne poznanie, kazano sobie podać przy jednym stole wieczerzę i w pogawędce, skąd kto jedzie i w jakiej sprawie, pokazało się, że tak było co do joty, jak opowiadał Wawrzuś.

— Łaska Boża — rzekł starszy z kupców — że jesteśmy tak zawczasu powiadomieni; trza się mieć srodze na baczności.

Umówiono się, że nazajutrz rano wyjadą wszyscy razem, bo im więcej rąk do obrony, tym bezpieczniej.

Ledwie szarżało, co w lutym oznacza mniej więcej szóstą godzinę, ruszyła karawana: kupcy ze zbrojnymi pachółkami przodem, bryka mistrza Wita tuż za nimi. Droga była niezła z początku, bo mroźnik przytrzymał sanne, wypoczęte konie szły żywo i parskwały wesoło, a furmani za każdym razem odpowiadali „na zdrowie!”

— Kuźnicki bór — rzekł jeden z pachółków, pod Bielskiem donajęty — tutaj trzeba dawać pozor; niejeden się tu już z Majstrem, czyli Hetmanem spotkał.

— Czemuż starosta nie zrobi obławy, kiedy wie, że w tym lesie zbójcy grasują? — spytał kupiec.

— Nie raz i nie dziesięć my ich szukali — odpowiedział chłop — ino zimny popiół z ogniska i poogryzane zajęcze kostki po nich najdowali; a psie syny pod Białowieżą dokazywały. Dalejże za nimi, oho... ani znaku, poszli w pińskie błota i rób, co chcesz.

— No... ale też tu wertepy mają... czort ich bierz — zaklął Błażej. — Zleźcie, chłopcy, z wozu i podpierajcie drągami; lada chwila się wywali.

Bryka ormiańskich kupców jeszcze bardziej się chyliła; cała lewa strona wężozu, podmyta spływającymi deszczowymi strumykami, o jakie dwie stopy niższa była od prawej.

— A może by nam w tę leśną dróżkę się obrócić? — spytał któryś. — Tam nie ma wybojów.

— Jedziemy do Grodna, nie do Świsłoczy — odparł parobek krótko.

— Oho, cóż to za koń przy drodze uwiązany? — zawołał Wawrzuś.

— Gdzie, gdzie?

— A ot, tam wyżej, na lewo.

Wszyscy mimo woli zwrócili głowy w tę stronę, a to był właśnie fortel sławnego Majstra, bo jak na komendę w tejże chwili z przeciwnej strony lasu wybiegło pięciu ludzi, zbrojnych w noże i siekiery, prosto na brykę z towarami.

Wawrzuś rozpoznał od razu Bystrego i Kudrasia; tak był oszołomiony z przerażenia, że w pierwszej chwili nie rozumiał nawet rozkazu Błażeja.

— Trzymaj konie mocno, bo się strachają!

Przytomny woźnica rzucił mu lejce, poskoczył kupcom na pomoc, Stanko i Jurek za nim.

Nie było czasu ni miejsca naciągać kusz: parobcy porwali za mieczyki, rzezimieszki wyrócili z łatwością sanie do rowu, tłumoki się rozsypały, dowódca krzyknął ostro:

— Ino te dwie skrzynie żelazne chwycić i w las! — Sam zaś, widząc nadbiegające posiłki, wskoczył na koń i stanął, tamując im przejście. — Ani kroku, bo siekierą w łeb!

Wawrzuśowi aż w oczach pociemniało... Majster zbójcecki to pielgrzym świętokradca, to Czarny Rafał spod Nowej Bramy! Nieprzytomny ze strachu, wypuścił z rąk wodze, konie spłoszone krzykiem jęły wierzgać i dęba stawać. Równocześnie jeden z kupców, porwawszy żelazną szkatułkę, uciekał z nią poza sanie rzeźbiarzy. W skok za nim pędził Bystry i z krzykiem już go dopadał, gdy Wawrzuś oburącz dzielił go biczyskiem pomiędzy oczy i twarz mu całą zakrwawił.

⁴⁸⁶Żydy — dziś popr. forma M. lm: Żydzi.

⁴⁸⁷katoliki porządne i dobre ludzie — dziś popr. forma M. lm: katolicy porządni i dobrzy ludzie.

⁴⁸⁸kupcowie — dziś popr. forma M. lm: kupcy.

Na wrzask Bystrego Majster, który borykał się ze Stankiem i Jurkiem, odwrócił głowę; w oczach mignęło mu coś dzikiego, poznał chłopca; lecz ten, nie tracąc chwili, rzucił się z wozu i co sił w nogach puścił się drogą wstecz. Pielgrzym spał konia ostrogami i gnał za nim. Chłopakowi śnieg migał pod nogami, tchu w piersiach nie czuł, niósł go szalony strach... Kopyta dudniały w ślad za nim po grudzie; nagle poczuł na karku rękę, która go porywa od ziemi, i sam nie wiedział, kiedy znalazł się na siodle. Chciał wrzeszczeć, też sama ręka usta mu zatkała jego własną czapką.

— Mam cię! — zachrypiło mu nad uchem. — Co inom nie wisiał z twojej łaski... rzekłem ci do widzenia... no, twoja śmierć teraz!

Stanko widział, co się dzieje... Dlaczego zbój wszystko rzucił, a porwał chłopaka?

— Rany Chryste! — krzyk mu się wyrwał z piersi — chwycił kuszę z rąk pacholka, naciągnął, strzala świsnęła, koń Majstra, ugodzony w kolano, dał szczupaka i zwałił się na ziemię.

Wawrzus pierwszy się zerwał i byłby umknął szczęśliwie, gdy wtem straszny nieprzyjaciel, leżąc jeszcze na ziemi, szarpnął go za nogę. Chłopiec runął jak długi. Wydierającego się i kopiącego nogami w jednej chwili obezwładniły potężne dłonie i tuż nad sobą ujrzał pochyloną ohydą, dziką twarz z nożem w zębach... Jedno mgnienie oka, nóż błysnął w powietrzu, w zaciśniętej pięści zbrodniarza. Chłopak ostatnim wysiłkiem wyrwał jedną rękę i podstawił ją pod cios śmiertelny. Żelazo wbiło się w ramię. Zbój syknął bezcenne przekleństwo, wyrwał nóż z rany i zamierzył się po raz drugi.

„Matko Boska z matusinego obrazka...” — przemknęło błagalnie Wawrzusiowi przez głowę... zmrużył oczy...

„Co?... Nie zabija?... Puścił?... Ręce wolne?...”

Otworzył oczy zdumione.

Na karku Majstra przysiadł Stanko i z garści nóż mu wydierał. Mocowali się rozpaczliwie. Zbój, od Stanka silniejszy, lewą chwycił go za włosy, prawą usiłował zadać mu pchnięcie. Wawrzus poskoczył jak żbik raniony i pielgrzymowi zęby wpił w rękę. Ukąszony puścił Stanka i uderzeniem kolana powalił chłopca. Wawrzus potoczył się i padł bez zmysłów. Ale Stanko zdołał tymczasem nóż wyłamać z garści mordercy.

Majster, bezbronny, widząc, że Jurek z Błażem nadbiegają na pomoc, pomknął z nieopisaną szybkością i znikł w gęstwinie. Stanko zawahał się: ścigać czy ratować chłopca? Spojrzał... leży na śniegu błądy... krwią zalany... martwy. Czy dycha⁴⁸⁹ jeszcze? Z trudem docucił się malca, nacierając go i zwilżając mu skronie.

Niebawem nadciągnęli z lasu woźnica z Jurkiem po nieudałym⁴⁹⁰ pościgu...

Przez ten czas kupcy i zbrojna ich czeladź po zaciętej walce zdołali wziąć górę nad hultajstwem pozbawionym wodza; zwłaszcza że Bystry, najzmyślniejszy z opryszków, niezdolny był do boju, na wpół oślepiiony biczyskiem Wawrzusia. A że mocarny Kudraś dostał także mieczykiem przez ramię, przeto pierzchli na lasy i bory, unosząc jednego z kamratów z przetrąconą golenią.

Długo jeszcze trwało, zanim podróżni puścili się w dalszą drogę. Obalony wóz musiano stawiać i naprawiać, wiązać uprzęż potarganą, ładować rozrzucone tłumoki, w których na szczęście nic nie brakowało. Słudzy kupieccy opatrywali sobie nawzajem cięższe i lżejsze rany, a Wawrzusia złożyli towarzysze na wóz, umościwszy mu wygodne legowisko na sianie.

Po tej strasznej przygodzie gładko już przeszły dalsze dni drogi przez Grodno, Olkieniki do Wilna.

Rana Wawrzusia, acz bardzo bolesna, nie była niebezpieczna; zapuchło mu wprawdzie całe ramię, ale na szczęście nie wdała się gorączka. Chłopczyzna, zarzucany pytaniami, zrazu beładnie, potem od początku do końca rozpowiadać musiał towarzyszom podróży całą swoją historię z tajemniczym pielgrzymem. Mówił o świętokradztwie, o spotkaniu w Krakowie podczas „konika zwierzynieckiego”, o pościgu do Nowej Bramy. Całymi dniami był Majster niewyczerpanym przedmiotem ich rozmów. Zachodzili w głowę, czy bardziej zemsta, czy chęć sprzątnięcia niebezpiecznego świadka kierowała zbrodniarzem.

⁴⁸⁹dychać (daw.) — oddychać.

⁴⁹⁰nieudatny (daw.) — nieudany.

Dnia drugiego marca przed samym zachodem słońca oba wozy wjeżdżały do Wilna. Starszy kupiec drzemał, otuliwszy się w kożuch, młody przysiadł się na sanie do Stanka i rozpowiadał chłopakom o dalekich krajach i miastach, które zwiedzał w swych podróżach handlowych.

— W Wilnie też pewno nie pierwszy raz jesteście? — spytał młody Stwosz.

— Już czwarty — odparł kupiec. — Dobry targ, zwłaszcza na bławaty i bisiory⁴⁹¹; niewiasty, jak wszędzie, tak i tutaj strój lubią, a na targowicy wileńskiej ino powszednie sukna i chłopskie samodziały sprzedają. Widzieliście, co wiozę, za tydzień wszystko pójdzie między ludzi.

— A to co za kopuły tak jaskrawo pomalowane i wyłaczane? — zadziwił się Wawrzus. — Po trzy, po cztery w kupce, chyba nie kościoły? Takich nawet w Krakowie nie ma.

— A bo to, widzisz, we wschodniej stronie miasta mieszkają Rusini i tu mają swoje cerkwie. Wzdłuż Wilii zaś, ku zachodowi i północy, katolicka dzielnica. Tam i my zdążamy. Kupcy mają tam targowy dom, gdzie się z towarami zajeżdża.

— A na gród kędy⁴⁹²?

— Dwie rzeki pod Wilnem się łączą: Wilna i Wilia. W samych tedy widłach, które tworzy ujście Wilny, wznosi się góra, nazwana Turza. Na niej zbudował jeszcze książę Gedymin⁴⁹³ twierdzę obronną, ale na mieszkanie ona niedogodna, więc u stóp góry mają drugi zamek, raczej pałac; tam królewicza najdziecie. Złazę już, bo się nasza droga rozchodzi, wy na gród, a my do targowego dworca.

— Jedźcie zdrowo, dobrego zysku!

— Zdrowia nawzajem!

Popytawszy jeszcze przechodniów, za kwadrans zatrzymali się nasi podróżni u bramy Niżnego Zamku. Był to gmach olbrzymi, dwupiętrowy, uwieńczony zębatymi blankami, ponad które sterczały czworoboczne baszty.

Powitali odźwiernego boskim słowem; spojrzął na sanie badawczo.

— Z dalekiego kraju... prawda? Mowa odmienna, ubiór odmienny, zaprząg odmienny...

— Z Krakowa — odpowiedział Stanko — do samego królewicza sprawę mamy.

— Wolno, wolno, czemu nie? — rzekł odźwierny, kiwając głową smutnie — ino was nie dopuszczą. *Książ chce uże umeraty*⁴⁹⁴.

— Wiemy, że ciężko chory, toteż pierwiej z panem Świrenkowiczem radzi byśmy się widzieć.

— A ot, właśnie przez dziedziniec idzie; podejdźcie k'niemu⁴⁹⁵.

Stary dworzanin, ujrawszy ich, rozkrzyżował ręce i lży mu nabiegły do oczu.

— Dziękujęż ja Tobie, Panie Wszechmogący! Tak się książę biednieńki pyta i dopomina, aż serce żalność uciska, nie mogąc chorego pocieszyć. Ołtarz gotowy? Dawajcie! Książ jeszcze nie śpi.

— Prosimy waszą wielmożność choć o dwa dni zwłoki — odparł Stanko. — Szafę trza zbić i pomalować. Przydałaby się izba obszerna i suche deski bukowe.

— Tęgo momentu wszystko dostaniecie, i sypialnię z wszelką wygodą wam obmyślę; ino jak wam książę Kazimierz miły... duchem, duchem! Niechby raz jeden pomodlił się Panu Bogu przed upragnionym ołtarzem.

— Dzień i noc będziemy robić, za trzy dni zdążymy.

Nazajutrz rano niezwykle w pałacu odgłosy zbudziły królewicza. Jakkolwiek mieszkalne jego komnaty znajdowały się w głównej części zamku, a pan Świrenkowicz umieścił robotników w lewym skrzydle, jednak do drażliwych uszu chorego dolatywało coś niby stukanie, jakieś zgrzyty, jakieś kroki po korytarzu.

Zadzwonił. Wszedł paź. Królewicz pytał słabym głosem, nie podnosząc głowy od poduszki:

— Co się tam dzieje?

— Nie wiem, o co raczycie pytać, miłościwy kniaziu — odpowiedziało pacholę.

⁴⁹¹bławaty i bisiory — delikatne, kosztowne tkaniny.

⁴⁹²kędy (daw.) — gdzie.

⁴⁹³Gedymin a. Giedymin (1275–1341) — wielki książę litewski, dziad Władysława Jagiełły.

⁴⁹⁴Książ chce uże umeraty (z białorus.) — książę chce już umierać.

⁴⁹⁵k'niemu (daw.) — do niego.

- Jakieś szmery... uderzenia młotem... co to jest?
- Robotnicy deski pilują i heblują, miłościwy kniaziu.
- Na co?
- Szafę robią na ołtarz do waszej kaplicy.

Woskowo blade lica księcia zabarwiły się lekkim rumieńcem; otworzył oczy szeroko, z wyrazem dzieciennego rozradowania.

- Co? Przyjechali z Krakowa?
- Tak jest. Wczoraj wieczorem.
- Przecz⁴⁹⁶ Świrenkowicz nie zawiadomił mię⁴⁹⁷ o tym?
- Czekaj w antykamery⁴⁹⁸ waszego przebudzenia, miłościwy kniaziu.
- Niech wejdzie... albo nie... chcę wstać.
- Miłościwy...
- Wstanę; zdrowszy dziś jestem; wołaj Wincka, pomóżcie mi się odziać... lektyka!

Stanko z Jurkiem, gnani serdeczną chęcią sprawienia ostatniej może uciechy umierającemu, uwijali się i pracowali za czterech. Wawrzuś, niemocny⁴⁹⁹ jeszcze, rozpakowywał wyjęte ze skrzynki posążki; przecinał sznury, odwijał płótno i stawiał na boku figury, otrzepawszy je miękką szmatką z kurzu. Przymusowa kąpiel w Narwi nie sprawiła na szczęście większej szkody: jednemu aniołkowi farba z nóżki oblaźła i miecz świętego Michała przyczerniał od wody, ale to były drobnostki, nawet Wawrzuś mógł temu zaradzić, a farba i złoto były naturalnie pod ręką.

Ktoś drzwi szarpnął z pośpiechem, wpadł paż, wymachując rękoma.

— Cicho... zaprzestać roboty... odmieść trochę wiórów, cobym miał gdzie zydel ustawić... królewic⁵⁰⁰!

Rzucili się uprzątnąć trzaski, paż wsunął krzesło z poręczami, ze wszech stron poduszkami wyłożone. Po małej chwile wszedł Świrenkowicz, otwarto podwoje, czterech ludzi wniosło ostrożnie lektykę do izby i ustawili ją na podłodze.

Jeden z dworzan objął królewicza wpół, drugi pod ramię — stanął.

Dużego był wzrostu, a wychudzony do ostatnich granic chorobą, wydawał się jeszcze wyższym. Ciemne włosy nosił dość długo, opadały mu do ramion; czoło szerokie, szlachetne, a pod owalnie zarysowanymi brwiami jarzyły się gorączką cudne czarne oczy. Cała dusza świętego królewicza mieszkła w tych mądrych, słodkich, miłosiernych oczach. Nos trochę za długi i wysunięta dolna warga Habsburgów czyniły nieco ujemy w jego urodzie.

Snycerze stali pokornie na boku, czekając, aż raczy przemówić, a Wawrzuś, schowany za skrzydłami anioła Gabriela, wpatrywał się w bladą jak opłatek twarz księcia.

— Posadźcie mnie, znużonym jest — rzekł Kazimierz cicho.

Powiódł oczyma po izbie.

— Gdzież są te święte wizerunki? Może jeszcze nie cał⁵⁰¹ gotowe?

— Owszem, najmiłościwszy królewicu — odpowiedział Stanko, przystępując i chyląc mu się do kolan — wszystko zrobione, ino ustawić i umocować. Wawrzuś, przynieś Świętą Panienkę! To jest główny obraz, proszę waszej książęcej miłości; własna robota mego rodzica.

Kazimierz oparł łokieć na poręcz krzesła a policzek na dłoni i patrzył długo w milczeniu. Błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz zmęczoną, rzeczywiście wydawał się jakby zdrowszy. Czeladnicy podsunęli figury dwóch archaniołów, a Wawrzuś stanął o krok od księcia ze skrzydlatym maleństwem na rękach. Królewicz patrzył i chwalił, a wciąż powracał wzrokiem do statuy Matki Boskiej.

Wawrzuś zakaszłał się srodze i naturalnie dopiął celu.

— A... jeszcze coś więcej? Mniemałem, że ino te trzy posągi mają być w ołtarzu.

— W środkowej części, nad głową Matki Boskiej, unosić się będzie sześć aniołków — objaśnił Stanko.

⁴⁹⁶przecz (daw.) — dlaczego.

⁴⁹⁷mię — dziś popr.: mnie.

⁴⁹⁸antykamera (daw., z wł.) — przedpokój.

⁴⁹⁹niemocny — osłabiony, nie całkiem zdrowy.

⁵⁰⁰królewic (daw.) — dziś: królewicz.

⁵⁰¹cale (daw.) — wcale, zupełnie.

— Słusznie... słusznie... jakoż mogłoby być inaczej! *Regina angelorum*⁵⁰²... tak właśnie będzie najlepiej. Przybliż się, pacholiku, pokaż... Gębusia mileńka, oczka patrz; gdyby nie skrzydełka, rzekłbyś niemowlątko żywe.

— Tego... ja rzezałem — wyszeptał Wawrzus zająkliwie.

— Jakoż to być może? — królewicz spojrział pytająco na Stanka.

— Prawdę gada, miłościwy książę. Rodzic mój najlepszym swym uczniem go mieni.

— I u Boga w łasce być musisz, skoro cię tak szczerze obdarował. Uciechę mi wielką sprawileś. Proszę was — dodał, zwracając się do czeladników — umocujcie tę właśnie figurkę w samym środku, abym ją dobrze widział. A tu masz parę złotych pieniążków; kup sobie co, abyś i ty miał pamiątkę ode mnie.

Chłopiec objął królewicza za nogi i nie wiedząc, jak dziękować, rozplakał się.

Wychudła ręka pogłaskała go pieszczotliwie.

— Cóż za ciężkie smutki? Co ci dolega?

— Nic... nic... takiście dobry!

— Ale gdzie tam! zdaje ci się ino — zaprzeczył królewicz, rozweselony. — Nie jestem wcale dobry; nawet w tej chwili popełniam grzech ciekawości... przyznaj mi się, powiedz, co sobie kupisz za te pieniądze?

Chłopiec spuszczał oczy, to znów podnosił je, szukając czegoś na powale, przygryzał dolną wargę, a wciąż obracał dukaty w palcach.

— Rad bym wiedział, czego ci się zachciewa; no, nie bój się... powiedz, co sobie kupisz?

— Żółte ciżemki! — zapominając o szacunku dla książęcej osoby, wrzasnął Wawrzus.

— Jak powiedziałeś? Żółte ciżemki?

— Bo... bo Margośka takie miała... i na jarmarku widziałem... i... i... strasznie mi się podobają!

— Czy takie jak moje? — to mówiąc, królewicz wysunął koniec trzewika spod ciepłej chusty okrywającej mu nogi.

— Aha, aha, takusieńkie! Już pięć lat mi w głowie siedzą.

— Tedy trzeba zrobić, coby siedziały na nogach; mam i na to rychłe lekarstwo. Janusz, biegaj do mojej sypialni, w skrzyni na samym spodzie leżą żółte ciżmy, co mi ich szewc nie utrafił, za krótkie były. Nadadzą się, tym lepiej; a nie, to poczekasz z jaki roczek, zanim ci noga podrośnie. Wincek... niech dają lektykę; bywajcie zdrowi, chłopcy!

Wyciągnął ku nim rękę, ucałowali ją ze czcią i żalością. Po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu widzieli królewicza.

Przemówił do nich jeszcze; zmęczenie głos mu rwało.

— Uczynicie... sercem was proszę... uczynicie... by jutro mogła się odbyć msza święta przed nowym ołtarzem.

— Według woli waszej książęcej mości, na ósmą rano — odpowiedział Stanko, a do Jurka szepnął: — Cały dzień i cała noc przed nami, będzie gotowe.

*

Dzień czwarty marca zapowiadał się pogodny i słoneczny. Ksiądz jałmużnik skończył właśnie poświęcenie ołtarza, zakrystian zapalił sześć grubych świec w srebrnych lichtarzach a po dwadzieścia małych w wiszących od stropu świecznikach... Kapliczka zamkowa o wąskich gotyckich oknach, dość zazwyczaj ponura i ciemna, wyglądała dziś rano uroczysto i wesoło. Płomyki świec odbijały się stokrotnie w ognistym mieczu Michała archanioła, w rozszerzonych jakby do lotu skrzydłach Gabriela, lśniły w koronie Matki Boskiej i Dzieciątka...

Ukryci za organkami czeladnicy teraz dopiero zrozumieli, jak pięknym jest dzieło w myśli mistrza Wita poczęte a pracą ich rąk powołane do życia.

Przyboczny lekarz księcia wszedł spiesznym krokiem do zakrystii.

— Wasza wielbność zechce pomówić z jego książęcą miłością; od północy nic w ustach nie miał; serce milknie, duszność go dławi, głosu prawie dobyć nie może... niechby choć małmazji⁵⁰³ kubeczek dla wzmocnienia.

⁵⁰²*Regina angelorum* (łac.) — królowa aniołów; jedno z określeń Matki Boskiej.

⁵⁰³*małmazja* — słodkie, ciemne wino; kosztowny rarytas.

— Właśnie od północy do tej pory siedziałem przy jego łożu — odpowiedział ksiądz — zaklinam i błagam, by się choć odrobinę posilił; Ciało Pańskie i tak mu przy mszy podam, choremu wszystko wolno. Ani sobie mówić nie pozwolił. Upiera się, że jest o wiele rzeświejszy niż wczoraj, uniósł się nawet w końcu i milczeć mi kazał. Prawda, że w tej samej chwili, płacząc, swej porywczności żałował, ale... wybaczenie, wasza miłość, już mu dam spokój.

— Pośpieszcie ze mszą przynajmniej, a ja w zakrystii przysposobię kordiały⁵⁰⁴.

Wbiegł pan Świrenkowicz.

— Kniazia niosą!

— Już ubrany jestem — odparł ksiądz. — Z wejściem kniazia nabożeństwo rozpoczynam.

U drzwi zatrzymała się lektyka i niesiony niemal przez dwóch silnych dworzan, wszedł Kazimierz do kaplicy. Posadzono go naprzeciw ołtarza w takim samym wygodnym krześle jak wczoraj. Szepnął coś paziowi do ucha, ten zarumienił się, zawahał, lecz na rozkazujący ruch głowy królewicza pobiegł do zakrystii i wyniósł klęcznik, który postawił u stóp chorego.

Rozpoczęła się msza święta. Pan Świrenkowicz stał tuż przy umiłowanym kniaziu, baczny na każde skinienie. Cienie śmierci słały się już coraz wyraźniejsze na twarzy księcia; zapadłe oczy traciły blask chwilami i jakby mgłą zachodziły. Na skroniach szarzały ziemiste plamy. Mimo śmiertelnego osłabienia modlił się gorąco i z rozkoszą utkwiał gasnące oczy w obliczu Królowej Aniołów; bezsilne usta szeptały słowa hymnu, który co dzień kilkakrotnie od lat wielu odmawiał:

Omni die dic Mariae
Mea laudes anima⁵⁰⁵...

Śmierć, Pobożność, Święty,
Obyczaje

Podczas ewangelii kazał się dźwignąć i stał z opadającą na piersi głową. Przed samym podniesieniem zesunął się na kolana...

Lekarz i Świrenkowicz uklękli przy nim i błagali go na miłość Boską, by usiadł. Spojrzał na nich surowo:

— Ja, marny proch, grzesznik nędzny, mam się rozpierać wygodnie, gdy mój Pan z nieba zstępuje? Usuńcie się precz... dręczycie mnie.

Pochylił czoło w kornym pokłonie, oczy się zawarły... zemdlął. Bezwładnego posadzono na krześle i cucono...

Ksiądz odwrócił się twarzą ku zgromadzonym, trzymając puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, i schodził powoli ze stopni.

— *Ecce agnus Dei*⁵⁰⁶...

Królewicz spojrzał przytomnie; radość niebiańska rozpromieniła twarz jego przedziwnym blaskiem...

— Nie jestem godzien, abyś...

— Niech strzeże duszy twojej do żywota wiecznego... — szeptał ksiądz, podając mu komunię świętą.

W tej chwili zabrzmiały organy, i dworzanie, jak to co dzień na życzenie księcia pod koniec mszy czynili, zaczęli chórem hymn ulubiony:

Już od rana,
Rozśpiewana,
Chwał, o duszo, Maryję,
Cześć Jej świętkom
I pamiątkom
Co dzień w niebo niech bije!
Cud bo żywy,
Nad podziwy

⁵⁰⁴kordiał (daw.) — lek wzmacniający serce a. trunek.

⁵⁰⁵*Omni die dic Mariae/ Mea laudes anima* (łac.) — każdego dnia głoś chwałę Maryi, duszo moja; autorstwo tego hymnu przypisywano dawniej właśnie świętemu Kazimierzowi Jagiellończykowi.

⁵⁰⁶*Ecce agnus Dei* (łac.) — oto Baranek Boży.

Jej wielmożność u Boga.
Panna czysta,
Matka Chrysta
Przechwalebna, przebłoga!

Kapłan odczytał ostatnią ewangelię. Idąc do zakrystii, spojrzał bacznie na królewicza, potem z przerażeniem na medyka.

Lekarz skłonił głowę potakująco.

Ksiądz jałmużnik dał znak ręką dworzanom, by się uciszyli, ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się z płaczem:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki. Amen.

TAJEMNICA DWORKU POD CMENTARZEM

Co krakowski burmistrz kazał ogłosić pod ratuszem. — Okienko we drzwiach. — Człowiek o pięciu imionach. — Kto pod kim dołki kopie. — Na co się zdała ciężka beczka. — Przez mur cmentarny.

— Jasiek... Jasiek... stój! Gdzie lecisz?

— Wawrzuś! Jak mi Bóg miły, myślałem, żeś umarł.

— Mogłeś tak samo umrzeć i ty; com się nałaził wedle waszej chałupy i onego cmentarza, to strach.

— A com ja się ciebie naczekał w każdą niedzielę!

— Aha, czekałeś ta, gadaj zdrów; drzwi na kłódkę, okiennice zaparte.

— Juści⁵⁰⁷. Przecieżem ci gadał na wyrozumienie, że skoro pan wyjeżdża, wszystko na moc zamyka; ino⁵⁰⁸ kuchenkę od podwórza wolną zostawia i tam po całych dniach siedzę. Czemużes we drzwi nie walił? Bylbym usłyszał i z tamtej strony cię wpuścił przez furtkę w parkanie. Tyle niedziel, tyle niedziel...

— Ij... cobyśmy lamencili po próżnicy; dobrze się stało, żeśmy się dziś spotkali, to się już tak umówimy, że nie będzie bałamuctwa. Gdzie idziesz?

— Na Kleparz do zajazdu. Już czwarty dzień stary mnie tam pędza, kupca jakiegoś pilno wyczekuje. Ów go zawiadomił przez wędrownego Słowaka czy Cygana, że w tych dniach będzie w Krakowie i „Pod Czerwonym Koniem” zamieszka. Widno kumoter z jednego cechu, mają ze sobą sprawki. Tak mnie też posyła i posyła, nie może się doczekać. A ty gdzie?

— Ja po złoto do mistrza Macieja, brata panowego.

— To mistrz Wit mają tu brata?

— Jakże, starszy cechu złotników; z jego córką nasz Stanko żeni się niebawem. Słyszysz ty? Cóż tam za krzyki?

— Aha... w bęben biją!

— Ludzie biegają ku ratuszowi... już wiem, wiem, pewno zgubę jaką wielką obwołują albo jakie zarządzenie lub rozkaz pana burmistrzowy.

— Chodźmy i my posłuchać!

Pod wieżą ratuszową była niewielka przystawka o trzech kamiennych arkadach i schodkach, przed którymi leżały dwa rzeźbione lewki. Teraz gmach ratusza, przystawkę i schodki otaczał zbity tłum ludzi; na schodach sługa miejski bił co siły w taraban⁵⁰⁹, chwilami zupełnie przestając. Ciągłe napływały nowe gromady, przechodnie biegli z ulic ku rynkowi i stawali przed ratuszem. Wawrzuś i Jasiek przepychali się przez ścisk i znaleźli się niebawem przy jednym z kamiennych lewków. Pod arkadami przystawki stanął mąż poważny z siwiejącą brodą.

— Znaczny pan jakiś; podwójci czy co? — szepnął Jasiek w ucho Wawrzuśowi.

— Cicho, cicho — mruknął Wawrzuś — będzie cosik czytał.

⁵⁰⁷juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

⁵⁰⁸ino (gw.) — tylko.

⁵⁰⁹taraban — bęben.

Urzędnik miejski zwinęty w rulon papierem dał znak, by uciszyć wrzawę, po czym rozwinąwszy pismo, czytał:

„My, burmistrz, konsulowie i rajcy świetnego królewskiego miasta Krakowa na polecenie urzędu starościńskiego ogłaszamy wszem wobec i każdemu z osobna uniwersał niniejszy:

Zbrodzień bezecny, niewiadomego miana, zwany *Czarny Rafał*, vulgo *Majster* alias *Wojewoda*, alias *Piskorz*, grasujący *armata manu*⁵¹⁰ po różnych ziemiach tego najjaśniejszego królestwa oraz po krajach litewskich; czyniący łupiestwa, grabieże, mężobójstwa⁵¹¹ po gospodach, drogach i lasach, podan jest zaocznie wyrokiem sądowym na karę pręgi-rza i śmierci szubienicznej, gdziekolwiek w Koronie czy w Litwie pojman będzie. Który *recente*⁵¹² w trockim województwie, w lesiech⁵¹³ między Białymstokiem a Kuźnicą, na kupce Ormiany⁵¹⁴ ze Lwowa jadące do Wilna z hultajstwem swoim z zasadzki wyskoczył, pacholki⁵¹⁵ onych poranił, towar ich odbić usiłował, tak że mu się ledwie obronić zdolili. Za czym, starościńską siłą zbrojną ścigan, przepadł bez wieści.

Ktobykolwiek jego ukrycie urzędowi królewskiemu czy miejskiemu wiadomym uczynił, w nagrodę czerwonych złotych dwadzieścia, kto by go zasię żywym czy umarłym onymże urzędowi wydał, czerwonych złotych pięćdziesiąt otrzyma. Który, choćby spółnikiem lotra tamtego być się okazał, byle jeno krwie ludzkiej na rękach jego nie było, wszelakiej kaźni wolen będzie, niemniej i nagroda wyliczoną mu zostanie.”

— Ano, przyjdzie łotrowi na koniec; ino kto go złapie? Wawrzek... a tyś co tak oczy wytrzeszczył? No, trzymaj, bo ci na bruk wypadną. Żal ci zbója czy co takiego? Rusz się, gadaj... a może cię kto urzekł? Stoi jak ten kamień...

Wawrzus zamrugnął oczyma, jakby ze snu zbudzony, obejrzał się bojaźliwie i szepnął Jaśkowi do ucha:

— Ja go znam...

— Kogo? Tego opryszka?

— Cicho... nie krzycz... może on tu gdzie stoi niedaleko...

— Nie plótlbyś głupstw!

— Żeby ci wszystko opowiedział, tobyś zapomniał śmiechu. Pójdziemy, odprowadzę cię ku Kleparzowi, pogadamy.

Idąc Floriańską ulicą, opowiedział Wawrzus przyjacielowi całą swoją historię, od pierwszego spotkania z pielgrzymem w puszczy aż do napadu w kuźnickim lesie.

— Dzisiaj krótko, piąte przez dziesiąte napomykam, bo mi pilno wracać — kończył, zatrzymując się przed bramą. — Jak się zejdziemy którego dnia spokojnie, dowiesz się więcej. Ino to najważniejsze, że ów *Majster*, a *Czarny Rafał*, a *Wojewoda*, to wszystko jeden i ten sam człowiek, mój wróg okrutny, com go w myśli zwał *Pielgrzymem*. Ach, sprawiedliwy Panie Jezu, dozwól, aby go już raz złapano, coby więcej ludzi nie krzywdził. No, a ty z twoim gospodarzem nie próbowałaś skończyć? Przecie się już ciebie nie boi, niech cię puści, i tak go nie wydasz.

— Ani sposób gadać do niego, zły jakiś jak sto diabłów. Zresztą, nie było nawet kiedy, jak pojechał po Nowym Roku na Węgry, to go blisko dotychczas nie było. Jacys ludzie łazili raz po raz popod nasze okna. Widno się bał, że się jego uczynki wydały, więc dał nura na kilka tygodni. Teraz niby wrócił, ale nosa za drzwi nie wystawia, umartego⁵¹⁶ udaje.

— A tyś co robił, jak go nie było?

— Pomyśl ino, grosza mi na życie nie zostawił. „Zarób se — powiada — będziesz miał co jeść”.

— Ano, bo i prawda; próżnować grzech wielki.

— Ino niech wasza wielbność, ojcze kaznodziejo, wyrozumie, jaką to robotę Hincz Bartnik swojemu słudze doradza...

⁵¹⁰*armata manu* (łac.: uzbrojoną ręką) — zbrojnie.

⁵¹¹*mężobójstwo* (daw.) — zabójstwo, morderstwo.

⁵¹²*recente* (łac.) — ostatnio.

⁵¹³*w lesiech* (daw.) — dziś popr. forma Ms. Im: w lasach.

⁵¹⁴*na kupce Ormiany* (daw.) — dziś popr. forma B. Im: na kupców Ormian.

⁵¹⁵*pacholki* — dziś popr. forma B. Im: pacholków.

⁵¹⁶*umarty* (gw.) — umarły.

— I tyś go słuchał? Znowu kradłeś?

— Niech jutra nie doczekam, jeżeli aby jedną nitkę komu wziął! Od tego dnia w kościele... Jak Boga najświętszego miłuję! Wawrzus, ty mi wierzysz?

— Wierzę.

— Chodziłem od domu do domu, od zajazdu do zajazdu, rąbałem drwa, nosiłem wodę, dźwigałem wory z mąką piekarzom. Co pod ręce popadło, niczemu nie minął, ino tego... co wiesz... tego nigdy. Pan przyjechał i plecy mi zerznął w porządku, że jednego grosza dla siebie z mojej pracy nie dostał.

— Biegnijże w swoją drogę, a ja w swoją. Zmitrężyliśmy niemało czasu, dostaniemy oba po uszach... bądźź zdrów.

— Czekaj, czekaj, kiedyż przyjdiesz?

— Wszystko jedno; mogę i jutro po robocie.

— A mego pana się nie bój, nie taki on straszny. Cóż mu to wadzi, że czasem jakowys kamrat zajrzy do mnie? Zresztą, kręcił się będę po sieni, ino zbyrkniesz klamkę, otworzę ci, pójdziemy se do kuchenki, ani cię ujrzyć nie musi. Jedno źle się składa, że odkąd z Węgier powrócił, furtkę z podwórza także zamyka i klucz w kieszeni nosi. Będę go musiał prosić jutro, może mi da.

— No, to do widzenia! Już lecę.

*

Widno jeszcze było, gdy Wawrzus dochodził do dworku Bartnika. Tatarak na mokradłach zaczynał się już zielenić; pierwsze kwiatki wiosenne, jaskrawożółte kaczeńce, rozsypały się gęsto po łące świętego Sebastiana, wierzby okryte puszystymi baziami i aksamitnymi kotkami drżały poruszane wietrzykiem. Nawet cmentarzyk świętej Gertrudy ze swą zaniedbaną kapliczką nie budził takiej grozy w sercu przechodnia, bo na bezlistnych jeszcze gałęziach drzew i na ramionach pochyłych krzyżów rozsiadały się chmury wróbli i świergotały zawzięcie, przeskakując z gałązki na gałązkę. Niski mur cmentarny, wyszczerbiony w wielu miejscach, przydostał się jak mógł nikłymi trawkami: na gontowym daszku bramy zieleniły się kępki mchu.

„Przecie co wiosna, to wiosna — myślał Wawrzus oparty łokciami na wyrwie w murze — jak też tu straszno było wtedy w zimie, gdym chodził z Jaśkiem po łące. Straszno było, a teraz ino⁵¹⁷ smutno... Och, Boże, Boże, co tu krzyżów, jeden wedle drugiego... Dlaczego tyle złych ludzi na świecie? O Matko Boska... święci aniołowie, dopomóżcie mi wyratować Jaśka!”

Przeżegnał się, jak po pacierzu, i spojrzął na niebo.

Ściemnia się, pójde; on tam już pewno w sieni nasłuchuje. Za nic bym tu nie mieszkał; domosko⁵¹⁸ w ziemię wpadł, cmentarz pod bokiem... i to jeszcze *taki* cmentarz! Pustka przestraszna... ilem tu razy przychodził, nigdy żywego ducha.”

Poruszył ostrożnie klamkę — nic. Wziął młotek wiszący na sznurku i zakolał z cicha. Ktoś uchylił okienko w górze drzwi, światło latarni błysło chłopcu w oczy.

— Jasiek... czy to ty?

Klucz zgrzytnął, drzwi otwarły się z nagłą. Wawrzus wszedł. Łojowa świeczka w latarni, postawionej na podłodze, ledwie tyle dawała światła, że można było widzieć postać wysokiego mężczyzny.

— Jaśka nie ma? — spytał Wawrzus znowu.

W odpowiedzi ów ktoś obrócił klucz w zamku dwa razy i schował go do kieszeni. Zrobiło się chłopcu trochę nieswojo.

— Do Jaśka chciałbym... — powtórzył nieśmiało.

Gospodarz schylił się i podniósł latarnię na wysokość swej twarzy.

— Je... Je... Je... Jezus Maryjaa! Pielgrzym! — wrzasnął Wawrzus nieludzkim głosem.

— Krzycz, krzycz, synku; nie żałuj sobie, krzycz co sił — z ohydny śmiechem rzekł Bartnik — gdybym ja był na twoim miejscu, tobym był jak pies. Aaa! — odetchnął

⁵¹⁷ino (gw.) — tylko.

⁵¹⁸domosko (gw.) — domisko, domiszcz; wielki, ponury dom.

pełną piersią. — Teraz mi jest dobrze na świecie... a cale⁵¹⁹ błogo mi będzie, gdy tobie gardło poderżnę. Ino ci się jeszcze muszę napatrzeć do syta, szczenię przekłete! — Zawiesił latarnię na ścianie i wziął się pod boki. — Przysiągłem sobie tego wieczora, co mnie za twoją sprawą do miejskiego lochu zamknięto, że kropli wina nie przełknę, póki cię w moje ręce nie dostanę. Pięć lat czekam... ale za to dziś tak się spiję, aż pod ławą leżał będę, cha! cha! cha!

Wawrzus milczał. Straszne wstrząśnienie przemijało, a z powracającą przytomnością budziła się naturalnie myśl obrony, ucieczki, wyrwania się z mocy dzikiego zwierza. „Za mną się, drzwi od podwórza... mur cmentarny niski... jednym susem przeskoczę...” Nie było czasu na długie myślenie; a nuż porwie noża i zabije... uciekać... uciekać w tej chwili.

Czarny Rafał przechylił głowę na bok i wpijał w chłopca wzrok coraz nabiegający wściekłością.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdzie. Spod kościołaś mi uciekł, na krakowskim rynku inoś mi się mignął; w Kuźnicy wierzyleś się pod moim nożem, jak robak pod butem, i wyratował cię psi syn jakowyś, bodaj z piekła nie wy-lazł! Dziś sprawię sobie łaźnię z krwi gorącej... cały się twoją posoką umyję... od dziś ja Czerwony Rafał, nie Czarny! Cha! cha! cha!

Wawrzus nie spuszczał oka z potwora i nieznacznie usuwał się w głąb sieni. Rafał nie zauważył tego, ryczał dalej dzikim śmiechem... nagle wyciągnął ręce i rzucił się na chłopca. Lecz nie dosięgnął go, Wawrzus bowiem równocześnie dał olbrzymiego susa wstecz i już miał wpaść na podwórze, gdy wtem zdało mu się, że ziemia się pod nim rozstępuje, wleciał w jakąś czeluść... i zemdlał.

Kiedy się ocknął, poczuł ból w kolanie i ręka zadrapana do krwi piekła go trochę. Pomacał dokoła siebie: futra, tkaniny grube... powietrze zalatywało stęchlizną.

„Wpadłem do jakiegoś lochu — pomyślał — dlaczegoż ten okrutnik nie zabił mnie jeszcze? Ciemno, cicho... a może on tu jest w kącie i czeka mego zbudzenia?... — Przycisnął usta rękoma, by oddechu nie było słyhać. — Za mało mu uciechy pchnąć nożem zemdlałego; chce się najeść mego strachu, mego krzyku, będzie mnie żywcem na kawałki krajał... wszystką krew ze mnie wypuści.. Dy⁵²⁰ mówił, że... o Jezu... ani się obronić, ani uciec... A może z tego zakamarka jest jakie drugie wyjście?”

Wstał powoli, bojąc się wyprostować, żeby głową o jaki mur nie uderzyć; stawiał małe kroki, a ręce wyciągał przed siebie. Natrafił na jakiś schodek... drugi, trzeci, było ich z piętnaście... Jakaś zaporą...

„Aha, drzwi w podłodze! Pewno były otwarte i dlatego wpadłem; szczęściem, że na kozuchy, tom się nie potłukł... Zamknął mnie... ma zabawkę, jak kot z myszą; raduje się, że ja tu zębami dzwonię i śmierć przede mną straszna stoi”.

Usiadł na przedostatnim schodku i zgięty wpół, nasłuchiwał.

„Cichusieńko... wyszedł z domu? Już wiem... Zabrał Jaśka i wyjechał, a mnie tu w ciemnicy zostawił. Powróci za dwa tygodnie”.

*

„Boże, dzięki Ci!... jakies kroki! ktoś bliźutko drzwi otwiera... Gdzie idzie? Aha... brząka kluczami, otwiera drugie, wychodzi? Nie!

— A ty darmozjadzie, trutniu jeden, gdzie się włóczysz do tej pory? — dał się słyszeć gniewny głos Czarnego Rafała.

— Posyłacie mnie tyle pędy na Kleparz, a potem się dziwujecie, że ptakiem nie wracam — odpowiedział głos Jaśka. — Rano „Pod Czerwonego Konia”, wieczór „Pod Czerwonego Konia”, ile już dni łązę! Psu by się sprzykrzyło. Kupiec przyjechał, ale go nie ma w gospodzie.

— Ale go nie ma, ale go nie ma — szyderczo powtórzył Rafał. — Od kiedy już u mnie siedzi! Biegaj do zimnej komórki, przynieś miodu gąsiorek, tego, co w kącie na lewo. O kubkach nie zapomnij! Słyszysz?

— Abom to głuchy? Zaraz idę.

⁵¹⁹cale (daw.) — wcale, zupełnie.

⁵²⁰dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

— Próźniaczysko... musiałem sam napalić w alkierzu, bo ręce grabieją.

— W kwietniu? Zimnica się wam wraca, ja temu nie winien.

— No, śpiesz się, cobyśmy nie czekali długo.

Ucichło.

„Jezu najmilejszy... gdybym go mógł przywołać... Idzie!” — drżącą z niepewności i strachu ręką zapukał kilka razy w drzwi od piwnicy.

— Jasiak... słyszysz mnie? To ja... Wawrzek...

— O rety...

Jasiak przyklęknął, schylił się i przyłożył usta do szpary.

— Na miły Bóg... cóż ty tam robisz?

— Chciał mnie zabić, uciekłem, drzwi były otwarte, wpadłem w dziurę.

— O łajdak! Zamknął cię na kłódkę!

— Nie potrafisz otworzyć?

— Jakżeż? Klucze zawdy⁵²¹ trzyma w kieszeni.

— Zlituj się... ratuj!

— Czekaj no... dobra nasza! Abom to na darmo na dzwoniącej kukle terminował? Niosę im napitek, żrą się tam oba z kupcem w alkierzu, aż tu słysząc. Sprzątnę mu klucze, ani się opatrzy. Siedź spokojnie, zaraz wracam.

— Ach, ino się śpiesz, bo mi się serce potarga od strachu...

„Królowo nieba i ziemi, nie daj mi ginąć tak marnie! Siedzi i siedzi... może mu się nie udało... zbój go za rękę przyłapał... przyjdzie z nożem... o... kroki słysząc... nareszcie!”

Jasiak otworzył kłódkę.

— Poprzyj sobą krzyżę, bo drzwi ciężkie... wyślijnij się... O matko, gdzież ja cię schowam?... O rety... już idą! Wtul się do kąta za beczkę, przykucnij... uciekam do kuchni... może cię jako później wypuszczę.

Ledwie że Wawrzus połą od kożuszka ku ścianie podsunął, głosy rozmawiających zbliżyły się ku drzwiom od pierwszej izby, naprzód wyszedł kupiec, za nim Hincz Bartnik — Czarny Rafał. Sprzecali się głośno i wymachiwali rękami.

— Myślicie, że ja kuję czerwone złote? — krzyczał brodaty kupiec ze złością — sto dukatów za trzy sznury pereł! Śmieszno posłuchać.

— U Balcera w bogatym kramie zapłacilibyście dwa razy tyle albo i więcej — dowodził gospodarz zachrypłym głosem.

— Sprawiedliwe słowo... idźcie se do Balcera, niech od was kupi. Piękny towar, bez przygany, ino go się sprzedaje w nocy, nie w dzień, i w zamkniętym alkierzu, nie w Su-kiennicach.

— Ostatnie słowo?

— Dwadzieścia czerwienców.

— Bodajęs siedem lat konał na jednym boku i skonać nie mógł, Judaszu!

— Za takie dobre życzenie należy się jeszcze lepsze: Niech pan Bartnik ma letkie⁵²² skonanie, i to nie za siedem lat, ale na ten przykład za siedem dni. Dobranoc.

— Dawaj dukaty, zdrajco, bierz perły.

— Nu, po co było tego hałasu? Ja wiedział, co wasza miłość bardzo zgodliwy człowiek, ino sobie czasem lubi pożartować z Abramkiem. Żeby tak zdrow był, ile ja już lat z panem Bartnikiem handluję!

— Skórę ze mnie drzesz, niewiarno jedna! Teraz się wynoś, mam ważną sprawę do załatwienia.

Wyciągnął z bocznej kieszeni wielki, ciężki klucz, otworzył i silnym uderzeniem w plecy wyrzucił kupca za drzwi.

— Jasiak!

— Czego chcecie? — rzekł chłopak niechętnie, wychodząc z kuchni powoli i udając zaspanego.

— Przynieś mi nóż z izby sypialnej; na skrzyni leży.

— Nie pójdę... boję się... w waszej izbie straszy.

⁵²¹zawdy (daw.) — zawsze.

⁵²²letki (gw.) — lekki.

— Głupiś; zresztą, wszystko jedno, mam ich kilka i w lochu. Weź z kuchni kaganek, poświęcisz mi na dół... albo nie, daj mi latarnię, sam pójdę. — I mruknął przez zęby: — Mazgaj gotów by... słuchaj no — mówił dalej głośno — idź zaraz na strych, przy ostatnim kominie za krokwią wisi worek nieduży, przynieś mi go. No, czego stoisz?

— Takim zmęczony... jutro rano przyniosę.

— Idź mi w te pędy, bo rzemień zedrę na tobie, smyku jeden!

Nie było rady, musiał iść na strych. Szczęściem schody znajdowały się blisko drzwi od piwnicy, po drugiej stronie ściany. Poszedł. Czarny Rafał ukląkł i syknął z podziwu:

— Tysiąc diabłów! Byłbym przysięgał, że klucze mam w kieszeni, a one przy kłodce... no, no, starzeje się człowiek czy co!

Odłożył kłodkę na bok, z trudem dźwignął drzwi do góry i oparł je o ścianę. Stąpał powoli, świecąc sobie kagankiem.

Jasiek zawrócił czym prędzej; czupryna Wawrusia i palające oczy wyrosły ponad beczkę. Starszy chłopiec dał znak ręką i zsunął się po poręczu na ziemię. Z głębi piwnicy słychać było drwiący głos Bartnika:

— Ptaszczku, a gdzieżeś? Najdę cię, najdę, nie bój się, zakamarków tu nie ma; jak cię pogłaskam po gardziółku, to zaśpiewasz niczym słowik...

Szarpnęli drzwi od ściany, zapadły z trzaskiem i łomotem...

— Hej... A tam co się dzieje? — krzyknął Rafał z lochu. — Jasiek, zleż no ze strychu. Jasiek!

— Rety... trzęsą mi się ręce... kluczyk się zaciął czy co? — szepnął Jasiek, duże krople potu wystąpiły mu na czoło. — Poświeć prędko... o Jezu... nie mogę... już jest!

— Czegóż te drzwi zleciały? Dźwignij trochę, ja pomogę z dołu; no, cóżeś tak zesłabł, durniu jeden?

— Matko... a jak wyważy plecami? Chłop silny, a zawiasa jedna zardzewiała.

— Przystawić czym ciężkim — odparł Wawruś.

— Ha... łotry... hultaje... złodzieje! Toście sobie zadrwali ze mnie! — ryczał pod ziemią zbój. — Nie radujcie się jeszcze przed czasem... choćbyście zdolili uciec, zanim drzwi wyważę, nie skryjecie się przede mną. Mam w Krakowie dwudziestu na usługi; na jutrzejszą noc dostawią mi was obu.

— Jasiek... przepadliśmy! Wywali drzwi, jak Bóg na niebie.

Istotnie, pchane mocarnymi plecami Rafała dębowe deski zaczęły się jakby wzdymać, zardzewiała zawiasa chrzęściła.

— Beczka! — zawołał Jasiek.

— Ale czy ciężka?

— Nie ruszałem jej nigdy, stoi w tym miejscu, odkąd tu jestem.

— Ani mi się ważcie tykać beczki! — wyło spod ziemi.

— Nie mogę ruszyć.

— Dawaj zaraz!

Przysadzili się obaj i z trudem dotoczyli ciężar na środek drzwi. Czas już był wielki: gwoździe od zawiasów ruszyły się.

— No... ale mi też ulżyło! — westchnął Jasiek. — Jednego nie rozumiem, czego on chciał od ciebie? Pierwszy raz chłopca widzi i zaraz zabijać. Chyba cię chciał postraszyć dla śmiechu?

— Ależ, Jasiek, słuchaj, kiedyżem ci miał tłumaczyć? Twój Hincz Bartnik to mój Pielgrzym, to... Czarny Rafał!

— Jezusie Nazareński! Co za szczęście, żeś wpadł do lochu!

— A juźci; już leciał na mnie, jak wtedy przed laty pod kościołem.

— Chłopcy, puście... jacy wy głupi, to śmiechu warte, doprawdy! Odwalcie beczkę, drzwi otwórzcie, dy wam nic nie zrobię! — prosił więzień, śmiejąc się. — Ten mały niech se idzie spokojnie do domu; tobie by się należały baty, ale ci ten raz daruję. Stchórzyliście z głupoty, nie ma za co karcić tak srodze.

— Aha, gadajcie, ile wola; na nic się to nie przyda; nam życie miłe.

— Jak Boga kocham, puszcze was zdrowo!

— Ty Boga kochasz? — wrzasnął Wawruś, schylając się do szpary — ty Boga kochasz? A święte kielichy kto pokradł Panu Jezusowi?

— Alem oddał co do jednego.

Świętoszek, Złodziej

— Chi, chi, chi!... a to ci dobrodziej! Rzucił do rowu świętości, a gada, że oddał.

— Uciszcie się, posłuchajcie. Na moje życie przysięgam, że wam włos z głowy nie spadnie, ino mnie puśćcie! Zapomnę o wszystkim. Daruję i tobie, Jaśku, i tobie, co nawet miana twego nie znam. Skończone rachunki, ani was palcem tknę!

— A słyszeliście ogłoszenie pana burmistrzowe?

— Milion tysięcy diabłów!

— No widzicie. Mnie ta na złotych pieniądzech nie zależy; do tej pory podarunek od królewicza nietknięty w kalecie⁵²³. Ino trząść się ze strachu przed wami już dłużej nie chcę, Jaśka mi pilno wyratować, i cobyście ludzisków nie rabowali i nie uśmiercali.

— Głupiś, boś młody — łagodnie perswadował Rafał. — Ino wyjdę z lochu, to wam dam po worku dukatów, że je ledwo udźwigniecie.

— Dziękujemy; nie trza nam.

— Po dwie garści drogich kamieni... diamentów iskrzących, szmaragdów zielonych jak trawa, szafirów jak niebo w nocy, rubinów czerwonych jak krew.

— Takich jak moja, coście się w niej myć chcieli? Dziękujemy za wszystko; już darmo nie gadajcie, odchodzimy. Patrzaj no, Jasiiek... tu, gdzie beczka stała, dziura okragła.

— Widzicie, ludzie! To on pewnikiem miał tędy drugie wyjście abo schowek!

— Zobaczymy. Poświęć ino; nie można tak schodzić lekkomyślnie; a nuż to studnia z wodą? Kto go wie, na co takiej dziury potrzebował.

Zajrzeli w głąb; drabina stroma.

— Nie łaźcie tam! — krzyczał Rafał — przy samych schodach niedźwiadka trzymam na łańcuchu. Mnie ino zna... was podusi i pożre!

— O rety!... — wrzasnął Jasiiek i cofnął się.

Wawrzuś parsknął śmiechem.

— Właśnie teraz pójdziemy śmieie. Nie rozumiesz, że plecie byle co, aby nas odstraszyć? Zejdźmy powoli, ja naprzód, nie boję się niedźwiedzia.

Spuścili się po drabince na dół i szli wąziutkim, niskim korytarzykiem.

— Słyszysz, jak pięściami o drzwi tłucze?

— Ojoj... drzwi na kłódkę zamknięte!

— Masz tobie! A teraz co?

— Ukręcić.

— Nie da się; za mocna.

— Ano, to wracajmy jak niepyszni.

— A nie. Kiedy się tak bał, widno jest sposób dotrzeć... aha! Jakiś piwnicę zamykał, widziałem kilka kluczy na rzemyczku.

— A prawda! To te będą.

— Skocz i przynieś.

Z łatwością dobrali klucz i drzwi otwarli; znowu korytarz bardzo długi, na końcu drzwi żelazem okute, z dwoma zamkami.

— Są większe klucze?

— Są.

— No, to otwieraj. Spiżarnia czy co?

Na ziemi, dokoła ścian stały szklane gąsiory i ciężkie baniate kamionki; pewno ze starym winem albo miodem. Wyżej dwie długie półki; na jednej mniejsze i większe woreczki ciasno trzema rzędami ustawione. Zajrzeli do któregoś: same złote pieniądze. Na drugiej półce kilka drewnianych szkatulek. Jasiiek postawił latarnię i podniósł wieko jednej skrzyneczki.

— O dlaboga świętego!... To te kamienie drogie, co je nam obiecował! Phi... teraz bez pozwolenia nabierzemy se, ile dusza zapagnie.

Wawrzuś splunął z obrzydzeniem.

— Tom ja się cieszył jak głupi, żeś ty ino z musu źle robił, a w sercu pocziwość chowasz, a tobie łupy złodziejskie pachną? Bierz... kradnij... najedz się onych skarbów... znać cię nie chcę!

Przypadł twarzą do ziemi i zaniósł się płaczem.

⁵²³ *kaleta* (daw.) — torebka, sakiewka.

— O Jezu, Wawrzus! Cichaj... to nieprawda... to ino pokusa diabelska... nie płacz tak strasznie... bodaj te drogości smołą się rozpląnęły! Już nigdy, przenigdy ździebelka cudzego nie tknę! Niech mnie Pan Jezus tutaj zaraz śmiercią skarże, jeśli bym miał słowa nie dotrzymać. O, Wawrzus, Wawrzus, ino tego nie gadaj, że mnie znać nie chcesz! Ja cię tak okrutnie miłuję.

— A ja ciebie jeszcze bardziej, dlatego płakał. Idźmy stąd; trza dać znać na strażnicę.

Idąc z powrotem, spostrzegli w korytarzu mały kuferek, którego poprzednio w pośpiechu nie zauważyli.

— A to co? Zobaczymy.

— Dziękuję Ci, Panie Boże... moja odświętna przyodziewa. Sukmanka od pana miecznika, a tu kozuch, buty, koszula, o... i pasik z trzosem, wszystko! Pozwolisz mi to zabrać?

— Dy twoje własne, uczciwie zapracowane, bierz.

— Oj, Wawrzus... bieda...

— Jaka? Tak nam się wszystko po myśli składa, jakby aniołowie stróże za rękę nas wiedli.

— Ta ono prawda. Ale drzwi od ulicy na dwa spusty i na sztabę zamknięte, klucz u... onego, od furtki tak samo, parkan wysoki, jeszcze i gwoździami najeżony. Którędyż się wydostaniemy z tego więzienia?

— Niechże cię głowa nie boli o takie drobiazgi! Parkan wysoki, za to mur cmentarny niski i poszczerbany; przejdziemy jak po schodkach.

— O Matko... przez cmentarz? W nocy?

— Ij... durnyś ty. Za żywota źle robili, wtedy byli straszni. Pod krzyżami cichuśko leżą, nic nam nie robią. Nawet koniecznie nam przejść tamtędy, bo swoich rzeczy nie możesz tu zostawić⁵²⁴.

— Abo co?

— Abo to, że jak po zbója przyjdą, wszystkie jego sprzęty i majątności do sądu oddadzą; jakożbyś im dowiódł, które rzeczy są twoje? A tak, przetrzucisz przez mur, schowasz w jakim kątku, a jutro albo pojutrze zabierzesz tobolek i mnie oddasz do przechowania, póki sobie służby nie najdziesz.

— Kto przyjmie złodziejskiego parobka! — szepnął Jasiek.

— Idź do pana miecznika, opowiedz mu wszystko, ani słówka nie zataj, przyjmie cię na powrót, zobaczysz.

Jasiek zabrał swoje zawiniątko, przeleźli z łatwością na cmentarz i szli w milczeniu ku przeciwnemu murowi.

— Coś się ruchu...

— Wiatr gałęzmi rzuca.

— Coś szepce...

— Suche liście pod nogami.

— Jezus, Maryja, ktoś idzie ku nam!

— Wstydz się, tchórz! Gdzie? Kto idzie?

— O... tam od kapliczki...

— Stańże spokojnie i patrz śmiało. Daj mi rękę; jak nas upiór chyci, to obu razem. Cóż? Jeszcze ci się zwiduje?

— O... tam... takie długie, czarne...

— Ciężko od tego wysokiego krzyża; prawieś jak dziecko trzyletnie, co się strachów boi! No pójdź, nie ma czasu do stracenia. Pewno wszystkie bramy miejskie pozamykane.

— Już nam ani święty Boże nie pomoże; nie wpuszczą nas — westchnął Jasiek.

— Ee... gdzie tam, z muzyką, bębnami i chorągwiami na ratusz nas zawiodą — żartował Wawrzus. — Toli wczoraj dopiero czytał ów pan list o Czarnym Rafale, a dziś naszą ciężką pracę przylapaliśmy zbója.

— No, to drała do Nowej Bramy!

Pobiegli.

— Stukajmy oba na raz, prędzej nas usłyszą.

Cmentarz, Zabobony

⁵²⁴ostawić (daw.) — zostawić.

Zalomotali kołatką. Strażnicy, przyzwyczajeni do tego rodzaju figlów pijackich, nie odpowiadali wcale, a chłopcy dobijali się natarczywie. Wreszcie pan Onufer otworzył pamiętne dla Wawrusia okienko i krzyknął ze złością:

— Precz mi stąd, urwipolcie przejęte! Wracajcie pod wiechę⁵²⁵, kiedyście jeszcze nie dopili, a nam dajcie spokój!

— Pod nijaką wiechą nie byliśmy ani nie pójdziemy; gadaj do niego, Wawrusz, może se przypomni.

— Kiedy to nie wachmistrz. Otwórzcie, wasza miłość. Pożądaną wieść niesiemy. Czarny Rafał w naszym ręku!

Ceklarz⁵²⁶ rozśmiał się głośno.

— Mogłeś co mędrszego wymyślić, tobym cię może wpuścił. Czarny Rafał... proszę ja kogo! Jak już łąć, to dobrze, prawda? Starostowie se zęby na nim połomili⁵²⁷, a dwóch wyrostków go trzyma! Idźcie se do Rafała, może was przenocuje.

— Zaklinamy waszą miłość, wpuśćcie nas do miasta! Sprawa tak wielkiej wagi...

— Będziemy się póty tłukli, aż nas...

— Wawrusz... straż miejska pod murami... prosto ku nam...

— Co tam za gwałty o północy? Bramę chcecie rozwalić? Stój! Ani kroku! — zawołał rotmistrz ceklarzy.

— Nie w głowie nam uciekać; łaska Boska, żeście, wasze miłości, nadeszli, może się przecie doprosimy jakiej pomocy.

— Bierzcie chłopaków na strażnicę. Jak dostaną po dwadzieścia pięć odlewanych, to im się odechce burdy robić. No, marsz!

— Ależ ulitujcie się, wasza miłość...

— Idziesz czy nie, łobuzie jeden z drugim!

— Złapaliśmy Czarnego Rafała! Bóg świadkiem, że prawdę mówię! — zawołał Wawrusz, podnosząc rękę jak do przysięgi.

— Jeszcze imienia Boskiego wzywa, zuchwalec jeden!

— Pójdźcież się przekonać, macie nas w ręku. Wyliczycie nam po pięćdziesiąt, nie po dwadzieścia pięć, jeśli nie jest tak, jako mówimy.

— Uczciwie chłopcu z oczu patrzy; cóżes ty za jeden? — spytał dowódca.

— Mistrza Wita uczeń. Chciejcież uwierzyć i pójść z nami.

— Daleko?

— Na Brzegach; pod cmentarzem świętej Gertrudy.

— Prowadź.

Przez drogę chłopcy opowiedzieli, co tylko wiedzieli o Czarnym Rafale, bez ładu i składu; to jedno mógł rotmistrz zrozumieć, że człowiek zamknięty przez nich w piwnicy musi być jeśli nie tym samym, przez sądy poszukiwanym, to w każdym razie zbójem godnym szubienicy.

Gdy zaszli na miejsce, żołnierze wyważyli furtkę od podwórza, bo nie było inaczej dostępu, i cały oddział wszedł do sieni. Jasek wskazał beczkę na drzwiach, za czym obaj z Wawrusiem cofnęli się do kuchni, by tam pod dozorem strażnika czekać, aż się rotmistrz przekona, że całe ich doniesienie było prawdziwe.

Słyszeli wrzaski, szamotanie się, przekleństwa, ciężkie kroki żołnierzy niosących skrupowanego zbrodniarza; potem brzęk kajdan i rozkazy wydawane przez dowódcę straży.

— Ja sam z Piotrem, Kubą i Mateuszem odprowadzę ptaszka do klatki, a jutro rano wręcę klucze od skarbów panu burmistrzowi. Choć jednak drzwi od korytarzy pozamykane, mógłby kto, świadomy onej barci⁵²⁸, chcieć się wedle niej zakrzętnąć pod nieobecność bartnika; tedy Marcin, Tomasz, Krzysztof i Paweł zostaną tu na noc. A ty, Szymek, odstawisz chłopców do cekhauzu⁵²⁹.

Wawrusz aż podskoczył, słysząc to rozporządzenie.

⁵²⁵ *pod wiechę* — do karczmy, której znakiem rozpoznawczym była wiecha, tj. wiązanka gałęzi lub małe drzewko, przybrane i przybite nad wejściem.

⁵²⁶ *ceklarz* — strażnik.

⁵²⁷ *połomić* (gw.) — połamać.

⁵²⁸ *barć* — dziupla z gniazdem pszczół w pniu drzewa w lesie; tu przen.: miejsce pełne skarbów.

⁵²⁹ *cekhauz* (daw., z niem.) — arsenał, strażnica.

— A cóżemy to okradli czy zabili kogo, że nas więzić chcecie? — krzyknął, zrywając się z ławy. — Pójdę do rotmistrza; za co nam taką krzywdę wyrządza?

— Nie bądźże głupi i siedź spokojnie — tłumaczył mu strażnik. — Gdzieś przecie nocować musicie, a tu was nie ostawią i pewno sami byście nie chcieli. Rano się pośle do mistrza Wita, a skoro zaświadczy, żeś jego czeladnik, a ten drugi twój przyjaciel, tej godziny będziecie wolni. Nijaka wam się krzywda nie dzieje.

— Wyjrzyjmy do sieni — szepnął Jasiek — chciałbym pojrzeć na onego.

Wawrzus się wzdrygnął.

— Za nic w świecie!

— Dy skrępowany...

— Jużem się mu napatrzył aż zanadto; mam dość na całe życie.

*

Proces Czarnego Rafała trwał długo, coraz to nowe zbrodnie wychodziły na jaw, udało się złapać kilku z jego bandy, sąd przesłuchiwał świadków, okazało się, że popełnił rabunków, kradzieży mnóstwo; grabił kościoły, mordował podróżnych bez litości, słowem, dziesięciokrotnie na karę śmierci zasłużył.

We dwa miesiące po strasznej przygodzie i szczęśliwym ocaleniu Wawrusia przybył nowy biały krzyż na cmentarzu świętej Gertrudy.

PORĘBA

Podstarości z Niegoszowic i jego miłość pan Wawrzyniec. — Drewniany konik, brat drewnianej jaszczurki. — Do Poręby! — Skowronek w gnieździe. — Jasiek nie je klusek, Marysia skubie róg zapaski.

Czeladnicy mistrza Wita poskładali narzędzia, odpasali fartuchy, kilku wykwintni-siów skoczyło do sypialni za pracownią zmienić podniszczoną odzież i przeczesać zapyłone włosy, inni wybiegli na miasto, nie umywszy nawet rąk po robocie, a wszystkim pilno było uciec z warsztatu. Ci, co się postroili, zawrócili z ulicy Poselskiej w Grodzką i podążyli spiesźnie do gospody „Pod Srebrną Gruszą”, gdzie właśnie odbywał się poczęstunek wyzwolinowy⁵³⁰ Pietrka z Myślenic, pozłotnika, na którą to zabawę solenizant zaprosił kilku dobrych znajomych z innych pokrewnych cechów.

W pustej i wyjątkowo cichej czeladnej izbie siedział przy stole Wawrzus i rysował kredą na tabliczce jakąś postać wysmukłą w powłóczyściej szacie. Pocierał czoło lewą ręką, to znów zmazывał rysunek mokrą szmatą, nie szła mu robota.

„Ściemnia się, dam spokój; trza będzie jutro próbować, może lepiej pójdzie. Kto tam? Czego?”

W uchylonych drzwiach od sieni ukazała się jakaś jasna głowa.

— Chciałbym się wi... jesteś w domu!

Wysoki, ogorzały chłopak po wiejsku ubrany wskoczył do izby, nie prosząc o pozwolenie, i chwycił siedzącego z tyłu za ramiona.

— Cóż tam za głupie krotchwile?... Puszczaj! — odwrócił się i skoczył na równe nogi z krzykiem: — O rety... Jasiek!

— A ja!

— Skądś się wziął?

— Przyjechałem z końmi na jarmark. Chłopców i Kaspra zostawiłem w stajni, a sam co tchu do ciebie... Aj, Wawrzus, Wawrzus... tyle lat, jakem poszedł z Krakowa! Gadaj no... to już będzie... chyba...

— Ano, ni mniej, ni więcej, ino⁵³¹ pięć років⁵³² i trzy miesiące.

— Jak ten czas leci, aż się w głowie zawraca! Ale skądże tak dokumentnie pamiętasz? Nawet miesiące?

⁵³⁰wyzwolinowy — z okazji wyzwoliny, tj. zakończenia służby u majstra, momentu, od którego młody rzemieślnik z terminatora staje się czeladnikiem, może już pracować sam i decydować o sobie.

⁵³¹ino (gw.) — tylko.

⁵³²roki, років (gw.) — lata, lat.

— Bo widzisz, ów ten rok srodze był dla mnie ważny. Cała przeprawa z Czarnym Rafałem... jeszcze mi dziś włosy stoją na głowie...

— Oj i mnie!

— No, a przedtem nasza droga do Wilna z ołtarzem dla królewica. Widziałem go tak z bliska, jak ciebie teraz; kolana jego całowałem, do śmierci tego dnia, tego miesiąca i tego roku nie zapomnę. No... ale co z tobą się dzieje? Czemużeś nigdy nie zajrzał?

— Nie mogłem; jakoś we dwa czy we trzy tygodnie... wiesz, Wawrusz, do dzisiejszego dnia ci dziękuję, żeś mię⁵³³ namówił wrócić się do pana miecznika.

— Dobrze, dobrze; cóż było we dwa tygodnie?

— Pojechali państwo pod Piotrków, do ojców⁵³⁴ pani, ma się wiedzieć, ja z nimi. Tamem się bardzo prosił, coby mi wolno było przy gospodarzu posługować.

— Przy jakim gospodarzu?

— Tak się nazywa najstarszy z parobków, co dozór ma nad żniwem, orką, siejbą; nieco karbowy⁵³⁵, nieco podstarości, ot, politycznie⁵³⁶ się go zowie gospodarz. Pan miecznik, zawdy⁵³⁷ jednak łaskaw na mnie, zezwolił chętnie, bom się mu też i przyznał w pokornej poufałości, że całe myślenie mam ino ku temu, by se gdzie na wsi gruntu kupić i kmieciem być, jako dziad i pradziad.

— A daleko ci jeszcze do tego?

— Niewiele już braknie; ściskam każdy grosz, jak ino mogę, na przyodziewę jak najmniej wydaję, ot, byle oberwano nie chodzić. To się i zasług⁵³⁸ za kilka lat sporo uskładało. A dodawszy one dwadzieścia dukatów, co mi w ratuszu za schwytanie Czarnego Rafała wypłacono, to już bez mała wystarczy. Ino Bogiem a prawdą, nie mnie się one czerwienice⁵³⁹ należały, ino tobie; przeciwnie ja ani we śnie o tym nie pomyślał, że Hincz Bartnik a Czarny Rafał to jedność.

— Baj baj; tobie grosz potrzebniejszy, kiedy se na gospodarstwo zbierasz, ja już na wieś nigdy nie wrócę... — urwał, machnął ręką i odetchnął głęboko.

— Juści⁵⁴⁰, do roli toś ty, prawdę rzekłszy, niewydarzony; stań no przy mnie; po ramię mi ino sięgasz, a ręce małe i niespracowane, niczym u panny miecznikówny. Ale w tych rękach rzemiosło masz piękne, za jeden tydzień więcej zarobisz niż ja za rok. Tedy nie mamy se co przyganiać, obu nam dobrze na tym świecie.

— No tak... Aleś nie skończył o tym Piotrkowie?

— Ano, krótko, nie długo dokończę, że mię w owym Grodzisku państwo ostawi-
li⁵⁴¹, abym się wszystkiego, co mi trzeba, w porządku wyuczył, jako że u pana podsto-
lego, rodzica pani miecznikowej, gospodarka na dziesięć mil wkoło była sławna, a u nas
w Niegoszowicach więcej mokrych łąk i bajorów⁵⁴² niż ornej ziemi; państwu zaś zabawa
bardziej w głowie i jazdy do Krakowa, a nie co inszego. Tedy całe te lata wybyłem
w Grodzisku, dopiero na wiosnę dali mi państwo rozkaz wrócić do dawnej służby i ja-
kom się u nich nauczył, u pana miecznika próbować. Pismo dostałem od pana podstolego
okrutnie chwalące, no i... zgadnij, Wawrzek, co dalej?

— Ożeniłeś się abo⁵⁴³ co?

— Ee... zaraz bym się ta żenił... ciekawość, z kim i za co? Nie zgadłeś, więc ci powiem:
od świętego Jana jam ci jest podstarościem albo, jeśli wolisz, gospodarzem w Niegoszo-
wicach!

— Ojoj... to ci się muszę w pas kłaniać i „wasza miłość” gadać?

— Pewno, pewno, zbytnio se nie pozwalaj ze mną.

Objęli się za szyję jak bracia i pocałowali się ze śmiechem.

⁵³³mię — dziś popr.: mnie.

⁵³⁴ojcowie (gw.) — rodzice.

⁵³⁵karbowy (daw.) — nadzorca robotników rolnych; nazwa pochodzi od kija, na którym nacinano karby, zapisując w ten sposób ilość wykonanej pracy.

⁵³⁶politycznie (daw.) — grzecznościowo, uprzejmie.

⁵³⁷zawdy (daw.) — zawsze.

⁵³⁸zasługa (daw.) — wypłata, wynagrodzenie za wykonaną pracę.

⁵³⁹czerwieniec — czerwone, czerwony złoty: nazwa złotego pieniądza o wartości zbliżonej do dukata.

⁵⁴⁰juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

⁵⁴¹ostawić (daw.) — zostawić.

⁵⁴²bajorów — dziś popr. forma D. lm: bajor.

⁵⁴³abo (daw.) — albo.

— No, a ty? Gadaj o sobie.
— Cóż powiem? Ino rok śmierci królewica zapisany mam w sercu; potem dzień za dniem, tygodnie, lata miały, ani nawet nie było sposobności korzystać z podarunku od kniazia.

— Z jakiego podarunku?

— Nie spominałem ci?

— Jak żywo!

— Ano, to czekajże, zacznę od początku. Trzeciego marca to było, wszystko mi stoi przed oczyma, jakby się wczoraj działo. Trzeciego marca tedy, czyli nazajutrz po przyjeździe do Wilna, roztwieramy⁵⁴⁴ paki, wyjmujemy święte figury. Stanko z Jurkiem na wyrupy⁵⁴⁵ ołtarzową szafę zbijają, aż tu drzwi służba na rozcież otwiera i wnoszą królewica Kazimierza⁵⁴⁶. Srodze się radował Panienką Najświętszą i przecudnymi aniołami, aż pokraśniał na obliczu i ręce raz wraz w górę wznosił z podziwienia. Wszystko mu Stanko musiał tłumaczyć, jak będzie ustawione, a ja mu się podsuwam przed oczy z małuskim aniołkiem, com go sam rzeźbił. Tak się też onym dzieciątkiem ucieszył, aż strach. Wrzcił rękę do kieszeni, podarował mi dwa czerwienice na pamiątkę i pyta: „Cóż se kupisz za te pieniądze?” Anim się zająknął, ino krzycząc: żółte ciżemki! A on, choć niemal umierający, jeszcze się moją głupotą ozweselił⁵⁴⁷, śmiał się nawet. Kazał paziowi przynieść ze sypialni⁵⁴⁸ swoje własne, co mu były niewygodne, i mnie je podarował. Do tej pory nie miałem ich na nogach.

— Na wesele je chowasz czy co?

— Nie; na nabożeństwo u Panny Maryi w dzień poświęcenia naszego ołtarza. Ale gdy o to pytasz, było i wesele, a jakże.

— Czyje?

— Stanka Stwosza z Jadwisią, Macieja Stwosza jedynaczką.

— Zaprosili cię?

— Niech no by nie zaprosili! Družbą mu byłem, pannę do ołtarza prowadziłem.

— Dworujesz sobie ze mnie? Taki chrobaczek⁵⁴⁹?

— Żeś sam wielki niczym Wyrwidąb, to ci każdy za mały. Przecie urosłem sporo przez tych kilka років⁵⁵⁰, a wesele było w kwietniu.

— Dobrzeć to, ale taki Stanko, mistrza Wita syn...

— Ojoj... straszne mi cuda! Czelaadnik jako i ja.

— Co ty gadasz? Toś ty już wyzwolony?

— Chyba się nie ma czemu dziwować; dy⁵⁵¹ dziesięć lat we warsztacie⁵⁵² jestem. Chłopaki wołają na mnie „wy”⁵⁵³ albo „pan Wawrzyniec”. W dodatku rzekę ci jeszcze, że mnie mistrz cale⁵⁵⁴ jawnie chwali, przed ludźmi się mną chlubi i prawą ręką swoją zowie.

— Cie wy, cie wy...⁵⁵⁵ a toś ty urośł nie na żarty! Teraz na mnie kolej w pas się kłaniać waszej wielmożności. Wędrówkę do obcych krajów odprawileś?

— Jeszcze nie; mistrz mię nie chce puścić, bo to już za kilkanaście dni ołtarz ustawiamy w kościele, więc przy wykończeniu naszemu panu... prawa ręka się przyda.

Mówiąc, zaśmiał się wesoło.

— A ja se myślał...

— Że co?

⁵⁴⁴roztwierać (daw.) — otwierać.

⁵⁴⁵na wyrupy (gw.) — tu: w pośpiechu.

⁵⁴⁶święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

⁵⁴⁷ozweselić się (gw.) — rozweselić się, rozbawić się.

⁵⁴⁸ze sypialni (gw.) — z sypialni.

⁵⁴⁹chrobaczek (gw.) — robaczek.

⁵⁵⁰roki, років (gw.) — lata, lat.

⁵⁵¹dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

⁵⁵²we warsztacie (gw.) — dziś popr.: w warsztacie.

⁵⁵³wołają na mnie „wy” — zwracają się do mnie grzecznościowo w liczbie mnogiej.

⁵⁵⁴cale (daw.) — wcale, zupełnie.

⁵⁵⁵Cie wy? — „Widzicie wy?": skrócenie używane w Krakowskiem. [przypis autorski]

— Że jak konie zbędę⁵⁵⁶ na jarmarku i pieniądze panu miecznikowi odwiozę, to se razem...

— O jakie też to ciężkie takie powolne gadanie! Ady⁵⁵⁷ kończ, kiedyś zaczął!

— Myślałem, że se razem choć na dwa, trzy dni do Poręby pójdziemy.

— O Jezu Nazareński! — krzyknął Wawrzus i zasłonił twarz rękoma.

— No co? Poszedłbyś, prawda? Czego się nie odzywasz?... Ludzie... dy on płacze jak baba! Nie wstyd ci! wás się chłopu sypie... i beczy!

— Już nie... jużem się całę uspokoił... ach, mójes ty kochany... jaki ja głupi, głupi, głupi... Ani razu się nie spytałem, czy znasz, kędy się idzie do naszej wsi. Od dziecka, jakby mi kto gwóźdz w głowę zabił, nie śmiałem nawet pomyśleć o Porębie. Ledwie wskoczył w tę puszcę zatraconą, jużem zgubił drogę do domu. A potem ojciec Szymon i ksiądz kanonik persadowali mi tyle razy, że jest kilkanaście Poręb w polskim kraju; skąd wiedzieć, która moja? Ach, Jasiek, Jasiek... gdyby mi dziś kto zabronił, z łańcucha bym się urwał, spod ziemi bym się wykopał, a leciałbym z tobą jak ten wicher! Tęgo nikt nie wyrozumie, ile ja się bez⁵⁵⁸ te dziesięć lat napłakał za matusią. No, gadaj, kiedy pojedziemy?

— Cichaj, cichaj, nie bądź taki nagły; nie umarłeś do tej pory, to jeszcze kilka dni poczekasz. Z koniami⁵⁵⁹ muszę skończyć, pieniądze do domu odwieźć, pozwolenie od pana dostać i dopiero przyszedłbym po ciebie. A mistrz co na to?

— Mistrz dobry; będę go strasznie prosił, to się dwa dni obejdą beze mnie. Stanko mu równie dobrze pomoże. Zresztą, ołtarz już tak jakby skończony, złocą go tylko i malują... Jasiek, Jasiek, już mię ani ciżemki od królewica tak nie radują, jak ta nadzieja, ta nadzieja! O Matko Boska z matusinego obrazka... dziękuję ci!

*

— Patrzajże, to ja właśnie tą samą drogą szedłem do Krakowa — dziwił się Wawrzus — Łobzów, Balice, Rudawa, Pisary, ino⁵⁶⁰ przed Pisarami to już se nie spomnę. Daleko jeszcze?

— Nie bardzo. Ino⁵⁶¹ lasem w bok od Tenczyna, potem Brodła, znowu krzynę lasem i już my doma⁵⁶².

— Raju, raju... co oni powiedzą, jak nas zobaczą!

— Ciekawość, czy poznają? Dziecko się więcej przeinacza z latami niż starszy człek. Ileżes to miał wtedy?

— Coś ponad osiem lat.

— No a teraz osiemnaście, to kawał czasu. Ludzie gadają, co matka dziecko po trzydziestu latach zdoła poznać. Zobaczymy.

— No prędzej, prędzej; ino byś przysiadł co sto kroków.

— A, bo mnie w Porębie nikt nie czeka — odparł Jasiek cicho. — Tedy chodźmy dalej, kiedy ci tak pilno.

O ileż miłsza była ta wędrówka dwóch przyjaciół od błakania się samotnego dziecka, udręczonego strachem i głodem!

Szli, śpiewając wesołe krakowiaki, pogoda jak na zamówienie, a gdy im lipcowe słońce nadto dopiekało, kładli się w lesie na mchu i odpoczywali. Chleba, sera, wędzonki mieli obaj zapas potężny, źródelka po drodze częste, słowem, gdyby nie tęsknota Wawrzusia, miگیem zleciałyby im te mile z Krakowa do Poręby.

W Brodłach uczynili sobie ostatni popas; Jasiek obiecywał, że za dnia jeszcze staną na miejscu. Przed wschodem słońca wyszli, a choć młodzi i silni, zaczęli ucyuwać zmęczenie; aż tu, jak na szczęście, turkot wozu rozległ się za nimi. Przystanęli.

— W którą stronę jedziecie, gospodarzu? — spytał Jasiek.

⁵⁵⁶zbyć — tu: sprzedać.

⁵⁵⁷ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

⁵⁵⁸bez (daw.) — przez.

⁵⁵⁹koniami (gw.) — dziś popr. forma N. lm: końmi.

⁵⁶⁰ino (gw.) — tylko.

⁵⁶¹ino (gw.) — tylko.

⁵⁶²doma (gw.) — w domu.

Tęsknota

Łzy

— Kazbym jechał? Toli do porębskiego lasa⁵⁶³.

— Może byście nas podwieźli krzynę? Od Krakowa piechotą idziemy, tak nogi bolą...

— A siadajcie; wozu mi nie ubędzie i konie nie poczuja.

Wskoczyli uszczęśliwieni, że im się taka gratka trafiła. Wóz się toczył cicho, koła grzęzły w piasku.

— A wy dokąd? — spytał chłop.

— Także do Poręby.

— Odwiedzić kogo albo do księdza może?

— Do krewnych — krótko odpowiedział Jasiek; ale Wawrzus nie mógł się powstrzymać i spytał drżącym głosem:

— Nie znacie przypadkiem Wojciecha, tego, co jego chałupa czwarta z kraja?

— Wojciecha Skowronka? Juści⁵⁶⁴, że go znam; krowę u mnie kupił dopiero w tamten czwartek. Skądże mnie o niego pytacie? Po pańsku odziany... a możecie syn dziedzica z Poręby?

— Nie; z Krakowa jestem — odparł Wawrzus. Serce mu waliło ciężko, aż się bał, że tamci ten łomot posłyszają.

— A co się dzieje z Mikołajową Śliwiną? — zapytał Jasiek.

— Ano, bieduje baba przez chłopą. Rady sobie dać nie może; rolę pospuszczała sąsiadom, bo jakoż będzie sama wedle ziemi robić?

— Nie wydała się?

Chłop splunął.

— Ij... kto by ta brał takową sekutnicę? Męża zatrapila, pasierba z domu wygryzła, z piekła rodem baba i tyle. Dziewczyna z pierwszego małżeństwa też bez jej niedozór⁵⁶⁵ zaziębła się i pomarła. Znają ludzie Śliwinę, każdy jej z drogi schodzi.

— A synka ponoś miała?

— Miała i ma do tej pory. Pan Jezus sprawiedliwy za biednego Jaśka na własnym dziecku ją pokarał... cherlawe toto, ani jeszcze nie gada po ludzku, ino mamroce jakosi nieskładnie, ciężko wyrozumieć, czego chce. Musicie tutaj wysiąść, bo ja do tracza jadę, drzewa se wybrać na stodołę.

— Bóg zapłać za przysługę!

— Za mało, za mało⁵⁶⁶ — odpowiada gospodarz, skracając w lewo ku lasowi.

— Daleko jeszcze? — niecierpliwił się Wawrzus.

— Ino ta górka zasłania — odpowiedział Jasiek.

— No to biegnijmy. Wypoczęliśmy na wozie, a ty się wleciesz jak ten ślimak.

— Biegaj sam, kiedyś taki chybki; ja już nie mogę prędejsz.

Szli pod górę w milczeniu.

— Jasiek... ta wieś... tam... czy to...

— Juści, że Poręba. Idźże se do domu, a ja popytam się o wójta i z nim pierwej pogadam. Kiedy macosze niedola, to może bym ja od niej ojcowiznę wykupił.

Wawrzus nie słyszał już ani słowa... biegł ku wsi nieprzytomny z radości. Ach, co tam matusia teraz robi? Ani się domyśla, że jej synek stracony, już-już... za chwilę... za pół chwili do nóg jej upadnie.

Przystanął. W oczach mu się mieniło, w uszach dudniało, oparł się o drzewo, bo się czegoś nogi pod nim uginały.

„O raju... tak blisko, a ja stoję i ruszyć się nie mogę”.

Przetarł oczy, otrząsnął się powoli, nieśmiało szedł w ulicę. Minął chatę Bartoszków, sad, stodołę...

„A jak zmyle?... Ta druga, Macieja Kowala, teraz Marka Walecnego, teraz... teraz... teraz nasza!”

Jakby mu kto kamienie do nóg przywiązał, włókł się ociężale, potykał się jak pijany...

Na przyzbie przed domem siedział ośmioletni jasnowłosy chłopczyna i kozikiem grubym kij oskrobywał.

⁵⁶³do lasa (gw.) — dziś popr. forma D. lp: do lasu.

⁵⁶⁴juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

⁵⁶⁵bez jej niedozór (gw.) — przez jej zaniedbanie.

⁵⁶⁶za mało (gw.) — tu: nie ma za co.

„W imię Ojca i Syna... dy⁵⁶⁷ to ja! Jak raz moje lata, moje włosy, oczy, całe liczko moje... dobrzem się sobie naprzyapatrował w zwierciadle u księdza kanonika... E... coś mi się zwiduje... mamidło⁵⁶⁸... dziecka bym się bał?”

— Niech będzie pochwalony; czy dobrze trafiłem do Wojciecha Skowronka?

Chłopczyk spojrział nań nieufnie, głowy nie podnosząc, i mruknął:

— Na wieki; juści tutaj.

— A czy gospodarz w domu?

— Nie, w polu.

— A gospodyni?

— Do dworu posli.

— A czyjżeś ty?

Malec odpowiadał niechętnie, badawczo tylko przypatrując się nieznajomemu; ostatnie pytanie wydało mu się zapewne bardzo niemądre, bo zapomniał o wszelkiej przezorności wobec obcego człowieka i parsknął śmiechem.

— A cyjze by? Tatusiów i matusin.

— A po cóżeś tu przyszedł?

— Kazem miał być? Chi! chi! chi!... ja se ta we swoim domu siedzę; ale wy, panicku, cegoj tu chcecie?

— Matko Najświętsza, rozumiem... — lzy mu się zakłęciły w oczach; przysiadł się na przyzbę do dzieciaka, ten mu jakoś nie bronił i dalej swój patyk obrabiał.

— Toś ty synek Wojciechów?

— No.

— A siostry masz?

— Jakże; Marysię i Kondusię.

— A braci?

— Był jeden, ale dawno zmarł.

— Cóż skrobiesz tym kozikiem?

— Kunia⁵⁶⁹; cobym miał na cym za krowami na paświsko⁵⁷⁰ jechać.

— Pokaż no; nie bój się, nie wezmę ci, ino coś zobaczę. Widzisz, z tego końca jest gruby i zakrzywiony, a ja mam w kieszeni taki sprawny, ostry nożyk, co wszystko zdoli. Wyrzeżam końską główkę, dopiero będziesz miał żróbka⁵⁷¹ jak się patrzy, dobrze?

— Róbcie. A piękny będzie?

— Jak żywy.

Nigdy w ciągu dziesięciu lat pracy u mistrza Wita nie rzeźbił Wawruś z takim zapalem, jak dziś końską główkę dla braciszka. Malec ukląkł na przyzbie, przytulił się do nieznajomego i patrzył mu przez ramię z gorączkowym przejęciem.

— O, jakie to uska... i grzywka... a chrapy ci rozwalil, pilno mu wyskakować⁵⁷²! Retyści, jaki to smysny⁵⁷³ nożyk! Od carownika go macie?

— Podoba ci się konik? Czekaj, czekaj, jeszcze mi go nie wydzieraj... muszę skończyć porządnie.

W niecałą godzinę wierzchowiec był gotów. Uwiązano mu postronek do szyi i malec objechał podwórko. Zatrzymał się przed podróżnym, popatrzył nań rozjaśnionymi uciechą oczkami, objął nagle za szyję i zaczął całować.

Wawrusia znowu niemoc ogarnęła... Ale w uszach śpiewały mu jakieś anielskie głosy: „Jesteś w domu, w domu... ojca masz i matusię, i braciszka, i siostry; skończyła się tęsknota, na całym bożym świecie nie ma szczęśliwszego od ciebie”.

Wziął chłopca na kolana, głaskał go po głowie i buzi, chciało mu się płakać, śmiać i znowu płakać.

— Widzisz, jakiś niedobry, jeszcześ mi nie powiedział, jak cię wołają.

— Jakże? Jędre.

Szczęście, Rodzina,
Spotkanie

⁵⁶⁷dy a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

⁵⁶⁸*mamidło* — zjawą.

⁵⁶⁹*kuń* (gw.) — koń.

⁵⁷⁰*paświsko* (gw.) — pastwisko.

⁵⁷¹*żróbek* (gw.) — żrebak, konik.

⁵⁷²*wyskakować* (gw.) — skakać, wyskakiwać.

⁵⁷³*smysny* (gw.) — tu: zręczny, zmyślny, sprytny.

— Nie wiesz, rychło tatuś wróci?
— Zarożicki⁵⁷⁴; siano bez cały dzień przewracali, słońce się chowa, to i przydą⁵⁷⁵ wiecerać. O... widzicie, jak raz⁵⁷⁶ na przełaj miedzą idą!

Wawrzus się zerwał, postąpił krok i stanął... gospodarz dochodził już do wrót.

— Niech będzie pochwalony... — zdławionym, nieswoim głosem wyszeptał chłopak, zdejmując czapkę.

— Na wieki. Podróżny? A skąd?

— Z Krakowa. Strudzonym srodze, od świtu idę, nie przenocowalibyście mnie?

— Gość w dom, Bóg w dom; wejdźcie do izby, paniczu.

— Nie żaden ja panicz, gospodarzu, ino prosty czeladnik; dopraszam się waszej łaski, cobyście mi nie dwoili⁵⁷⁷, ino po imieniu gadajcie, Wawrzek.

Kmieć drgnął i bystro popatrzył na chłopaka.

— Siadajże na ławie, spocznij, wnetki⁵⁷⁸ przyjdą i matka, dostaniemy wieceżyć.
A gdzie droga?

— Daleko; wracam do ojców, com ich dziesięć lat nie widział.

— Dziesięć lat... — powtórzył Wojciech i westchnął.

— Tatusiu, patrzcie ino, jakiego mi ślicznego kunia ten panic wyrzezał!

Gospodarz przesunął ręką po czole i znowu patrzył na nieznajomego lęklwym, pytającym wzrokiem... Podróżny spuścił oczy i czapkę w rękach obracał. W tej chwili dały się słyszeć z pola wesołe głosy, żywa rozmowa przeplatana śmiechem doleciała ich uszu i goniąc jedna drugą, wpadły do izby dwie młodzietkie dziewczuszki. Na widok nieznajomego stropiły się i poskoczyły za piec.

W progu stanęła gospodyni.

— Sprzedałam całe płótno dziedzicze; kazała se tkać drugą sztu... — urwała, teraz dopiero spostrzegłszy obcego. Obrzuciła go wzrokiem, zmrużyła oczy, jakby ją nagle słońce olśniło, i oparła się ramieniem o odrzwia.

Wawrzus wstał z ławy, kobieta weszła do izby.

Tak jak przed chwilą gospodarz, spytała i ona:

— Podróżny?

Nikt nie odpowiedział... niepokój drżał w powietrzu... Wojciechowa podeszła bliżej; chciała pewno zagadać do chłopca, ale nim usta otworzyła, Wawrzus runął na ziemię, obejmując ją za kolana.

— Matusiu najmilejsza... matusiu!

— Dziecko moje zaginione! Mój Wawrzus! Moje umiłowanie! Ady⁵⁷⁹ żem nikady⁵⁸⁰ nie dawała wiary, cobyś ty miał nie żyć!

Chwyliła go rękoma za głowę i jak to ślepi czynią, macała go po czole, po oczach, po ustach, czy ten sam, czy żywy, czy jej się nie śni...

Skoczył i Wojciech ku nim, a Wawrzus, nie wstając z klęczek, witał ojca i po nogach go całował.

— Oj, synku, synku, a czemużeś się ty przede mną zataił? — pytał ojciec na wpół z wyrzutem.

— Tak mnie coś za gardło ścisnęło, nijak nie wiedziałem, od czego zacząć. Imię swoje wam powiedziałem i że do domu wracam po dziesięciu latach, mniemałem, że sami zmiarkujecie. Ale jakem zoczył matusię, potargały się wszystkie zapory, byłbym od razu krzyczał, ktom jest, ino mi coś szepnęło w ucho, że z nagłości przełknięcia zasłabnąć gotowa, tedyś się ino patrzył; czułem, że odgaduje, i... już nie mogłem zdzierżyć dłużej.

Marysia i Konda wyglądały zza pieca na tego brata po miejsku odzianego, z gładką, nieopaloną twarzą i białymi rękami; nie śmiały się zbliżyć, sam pobiegł do nich i wycalował za całe dziesięć lat. A Jędrech chodził dumny, bo to on pierwszy z braciszkiem gadał i jemu Wawrzus, a nie tatusiowi ani matusi, konika wyrzeźbił.

⁵⁷⁴zarożicki (gw.) — już zaraz, bardzo niedługo.

⁵⁷⁵przydą (gw.) — przyjdą.

⁵⁷⁶jak raz (gw.) — akurat, właśnie.

⁵⁷⁷dwoić komuś — zwracać się do kogoś w formie grzecznościowej przez „wy”.

⁵⁷⁸wnetki (gw.) — wnet, zaraz, niebawem.

⁵⁷⁹ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

⁵⁸⁰nikady (gw.) — nigdy.

Dopiero przy wieczerzy nie było końca pytaniom. Wawrzus opowiedział całą swoją historię z najdrobniejszymi szczegółami, a rodzice znów mówili, jak im straszno było myśleć, że on tam w puszczy o głodzie się błąka, że go dzikie zwierzęta rozszarpały, jak ojciec nazajutrz po jego zniknięciu wybrał się konno skoro świt i szukał po lesie nadaremnie... wszystko sobie rozpowiadali. Wojciechowa popłakiwała nad niedolą swego biednego dziecka, to znowu wybuchali wszyscy śmiechem, gdy była mowa o figlach Beksy i brzuchomówstwie Grzegorza. Wawrzus zataił w swym opowiadaniu, jak nieraz okrutnie się z nim stary kuglarz obchodził, a tylko chwalił serdeczną opiekę i dobroć Grzegorzowej. I o księdzu kanoniku mówił im dużo, i o ojcu Szymonie ze łzami wspominał, a wszystkiego tak ciekawie słuchali, nawet mały Jędrzek oczy wypatrywał na ślicznego panicza, co jest naprawdę jego braciszkiem.

Aż tu w otwartych drzwiach, stanął nagle Jasiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a mnie też ta biednego nie napędzicie⁵⁸¹ od siebie?

— Na wieki. — Wojciechowie spojrzeli na syna pytająco.

— Nie poznajecie go, tatusiu? Dy to Jasiek Mikołajów. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu dzisiaj; drogi nie znałem ani nazwiska swego nie wiedziałem; on mię⁵⁸² tu przyprowadził.

— A toś nam, Jasiu, miły jak niejrodzeńszy! — zawołała Wojciechowa. — Cały wiek kochania ledwie zdoli zapłacić za ten podarunek, jakiśmy dziś od ciebie dostali. Siadajże przy mnie, synku. Maryś... podaj wieczerzę gościowi; jeszcze kluski ciepłe, jedz z Panem Jezusem.

Marysia postawiła przed Jaśkiem misę pełną po brzegi, chleba ukroiła serdecznie, jakby dla czterech, nie dla jednego, i byłby jadł ze smakiem, gdyby mu czegoś oczy nie skakały raz po raz ku dziewczętom. Czy na małą Kondusię poglądał, czy na szesnastoletnią Marysię, nie wiadomo; dość że klusek bardzo powoli ubywało, a Maryśka, czerwona jak piwonia, poskubała cały rożek od zapaski na strzępy.

Czasem przychodzi taka ciekawość na ludzi, że się jedno drugiemu nie może napatrzeć. Marysia miała oczy jak smoła czarne, a Jasiek jasnosiwe jak woda wiślana. Siwe dziwowały się czarnym, co takie bystre, a czarne siwym, że z nich uciecha tryska. Szczęście, że matka wpatrywała się cały wieczór w syna jak w cudowny obraz, bo niechybnie dostałaby się Maryśce bura za... potarganą zapaskę.

Rozmowa przeszła i na sprawy Jaśka.

— No, jakże, widziałeś się z wójtem? — spytał Wojciech, powiadomiony przedtem przez Wawrzusia o zamysłach przyjaciela.

— Dziękować Bogu, zastałem go doma⁵⁸³; wszystkośmy obgadali, obradzili dokumentnie; pocziwy człek, że się to lubili oba z tatusiem, zawziął się okrutnie, coby mi dopomóc. Od razu gada: „Idźmy do macochy”. I poszliśmy.

— Poznała cię? — spytał Wawrzus.

— Ale gdzie! Dopiero jak jej wójt powiedział, kto i co, to się aż załękła. Myślała, żećm się przyszedł ojcowizny dopominać; od razu uderzyła w płacz, jako z głodu ginie, kożucha na zimę nie ma, dziecko chore, krowa się sterała⁵⁸⁴, strzecha gnije, stajenka się wali... jak rozpuściła język, to dudniało niczym we młynie. Dopiero wójt do niej, że ja nie myślę nic wydzierać, choć po sprawiedliwości połowa mi się należy, ino przyszedłem wykupić od niej wszystek grunt, chałupę i sad za gotowe pieniądze: skoro się ugodzimy, zapłacę od razu.

— Ino się upewnij, coby se poszła z Poręby, bo jakby została, nie pozbyłbyś się baby do śmierci.

— A jakże; pamiętam ja dobrze, co ona za jedna. Tośmy też sprowadzili Walantego organistę i kościelnego Pietra, tedy przy nich obu i przy wójcie zaprzysięgła się, że precz pójdzie do Aleksandrowic, skąd jest rodem, i tam sobie siedziała będzie przy bracie, a czerwieniec po połowie bratu, po połowie na dziecko przepisze. Tak my i skończyli

⁵⁸¹napędzić (gw.) — wypędzić.

⁵⁸²mię — dziś popr.: mnie.

⁵⁸³doma (gw.) — w domu.

⁵⁸⁴sterać się — zużyć się, zmarnieć.

w prędkości, bo wszystkim nam wiadomo było, ile tatuś mieli gruntu, a wójt obrachował, co to razem z chałupą warte. Wyplaciłem przy świadkach, i spokój.

— Cóż, kiedy rola w dzierżawie — rzekł Wojciech.

— Poczekawszy, to się poodbiera; a mnie znowu nie tak pilno, mam dobrą służbę; chyba że...

I znowu mu coś szarpnęło oczy ku Marysi.

— A dużo zapłaciłeś za ojcowiznę?

— Oj, dużo! Trzydzieści cztery czerwone. Jeszcze chciała wydrzeć więcej, ino wójt i tamci wzięli mnie w opiekę i przeperswadowali⁵⁸⁵ macosze, że gdybym się chciał prawować⁵⁸⁶, toby nigdy tyle na jej dziecko nie przypadło.

— Toś ty teraz pan całą gębą — rzekł Wojciech — ino czy będziesz umiał gospodarować?

— Oho, tatusiu — za Jaśka odpowiedział Wawrzus, rad, że go może pochwalić — żebyście wiedzieli, jak on się na wszystkim rozumie! U pana miecznika w Niegoszowicach całym majątkiem zarządza. Uczyl się przez pięć lat w Grodzisku, a jakże!

— Łaska Boska; kiedy tak, może i my starsi dowiemy się czego nowego od ciebie, hę?

— E... ja bym ta przez⁵⁸⁷ zapłaty za parobka do was przysłał, ino mnie weźcie — odparł Jasiak niby żartem, ale Wojciecha pokornie za nogi objął i w kolano pocałował. Spojrzał ukradkiem ku ławie przy piecu, a stary, nie w ciemną bity, odchrząknął srogo i palcem mu pokivał. Ale że się zaraz potem zaśmiał wcale wesoło, to i Jaśkowi niestraszna była owa groźba.

— Kiedyśmy se już powiedzieli wszystko, co było, to trza się wziąć do tego, co będzie — odezwał się Wawrzus. — Ino się z wami przez jutrzejszy dzionek nacieszę, pilno mi wracać do roboty, bo i te godziny ledwie gwałtem wydarł mistrzowi.

— To się wie — rzekł Wojciech — słowo święta rzecz; ino raz nie dotrzymaj, to ci nikt wiary nie da.

— Posłuchajcie więc. Ponieważ główny wizerunek w ołtarzu przedstawia śmierć, wniebowzięcie i ukoronowanie Matki Boskiej, przeto mistrz na swoją cześć przysiągł, że poświęcenie ołtarza i pierwsze nabożeństwo odbędzie się 15 sierpnia, czyli w święto Wniebowzięcia. Już się ino złości, poleruje, szafa gotowa; za jaki tydzień zaczniemy w kościele figury ustawiać i boczne obrazy na śrubach mocować.

— Żeby choć raz w życiu pomodlić się przed takim ołtarzem! — westchnęła Wojciechowa.

— Do tegoż i moja mowa wiedzie, matusiu. Musicie przyjść oboje z ojcem do Krakowa i na własne oczy widzieć wszystko.

— Czy się to biedny chłop docisnie między pany⁵⁸⁸? — rzekł Wojciech.

— Juści pewno, że tłumy tam senatorów będą wedle króla miłościwego; sławetna rada miasta, jego wielmożność pan burmistrz i kupców najprzedniejszych i mieszczanów⁵⁸⁹ znakomitych nieprzeliczony zastęp, jako że i głównie ono mieszczaństwo własnym sumptem⁵⁹⁰ ołtarz fundowało. Będzie i biskupów kilku, i księży co niemiara... Ale nie troskajcie się, tatusiu, źle by było, gdybym ja swoich rodziców nie mógł wpuścić do kościoła! Ady pięć aniołów te moje ręce wyrzeźbiły i proroków trzech, i świętego Wojciecha. A fi-larków, kroksztynów⁵⁹¹ i baldachimów anibym się doliczył. Ino se przyjdźcie we wilię święta pod wieczór, a rano pilnujcie tego wejścia, co od strony świętej Barbary. Już ja będę wybiegał co chwila i upatrywał was.

— Nie wpuszczają nas...

— Wpuszczają, jako żywo! Jużem se to wymówił u mistrza, a ten postara się o pozwolenie u infulata. Książd infulat wie dobrze, w jakiej ja łasce u mistrza Wita i że mojej

⁵⁸⁵perswadować coś komuś — przekonać kogoś do czegoś.

⁵⁸⁶prawować się (gw.) — dochodzić sądownie.

⁵⁸⁷przez (gw.) — bez.

⁵⁸⁸między pany — dziś popr. forma B. lm: między panów.

⁵⁸⁹mieszczanów — dziś popr. forma D. lm: mieszczan.

⁵⁹⁰własnym sumptem — na własny koszt.

⁵⁹¹kroksztyn — pólecza, na której stoi figura.

pracy niemało tkwi w onym ołtarzu. Chociażbym u książąt i królów nadwornym snycerzem był, większej chluby do śmierci nie dostąpię, jako ta jest, że pospołu z Witem Stwoszem pracowałem i najcelniejszym jego uczniem jestem.

— Bogu niech będą dzięki! Wyrosłeś mi na wielką pociechę, synku — rzekł Wojciech serdecznie.

Wawrzus pocałował ojca w rękę, ale nie mógł się wstrzymać od małej zemsty za bolesne cięgi sprzed lat dziesięciu i rzekł, śmiejąc się:

— A pamiętacie, tatusiu, jakieście rzemień strzępili na mnie? Jak was ten mój kozik mierzył, a markociliście się, że nic uczciwego nie wyrosnie z „niedojdy”?

— Nie po naszej woli się stało — wtrąciła swoje słowo matka — ino tak, jako chciał Pan Jezus i jako jest najlepiej dla ciebie i dla nas.

— No, jeszcze całe jutro przed nami — zawołał ojciec. — Nocyśmy zarwali niemało, kiedyż się wyśpimy? Chłopcy, na siano do stodoły. Jutro skoro świt budzę obu, jęczmień będziemy wozic.

ZAKOŃCZENIE

Odsłonięcie wielkiego ołtarza w kościele Mariackim miało nastąpić w dniu 15 sierpnia 1489 roku, jako w święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi.

Od dwóch tygodni już pracowała czeladź mistrza Wita pod jego okiem i rozkazami w prezbiterium oddzielonym szarą oponą⁵⁹² od reszty kościoła. Raz po raz stawały wozy ładowne przed bocznym wejściem od strony świętej Barbary. Zdejmowano z nich rzeźby większe i mniejsze, troskliwie sianem i pakułami owiązane, i wnoszono ostrożnie do kościoła.

Najpierwszym i może najtrudniejszym zadaniem było ustawienie olbrzymiego tryptyku⁵⁹³ i związanie go potężnymi żelaznymi ankrami⁵⁹⁴ z murem kościoła. Gdy bowiem sama szafa⁵⁹⁵, w której znajdować się miała główna środkowa grupa, ważyła przeszło 18 cetnarów⁵⁹⁶, gdy każdą z kolosalnych postaci apostołów dźwigało z trudem po sześciu ludzi, a figur tych miało być dwanaście, rzeczą najwyższej doniosłości było utwierdzenie wiecznotrwałe tych niezmiernych ciężarów. Starszy cechu kowali, Jan Borg, zawiadował tą robotą; obliczył wszystko skrupulatnie i stosował siłę ankrów do wagi ołtarza, dodając jeszcze dla spokoju mistrza haki i klamry ponad obrachunek. Stwosz nie dowierzał, bał się, tracił głowę; wszystkiego musiał dotknąć własną ręką, słyszeć każde uderzenie młota, każdy zgrzyt świdra i chrzęst wkręcanych śrub. Skrzydła tryptyku, czyli drzwi tej wielkiej szafy, okute żelaznymi sztabami, zawieszono na monstrualnych zawiasach o 257 funtach⁵⁹⁷ wagi. Dopiero gdy tę najważniejszą czynność ukończono, można było przystąpić do złożenia w całość większych i mniejszych części ołtarza.

Wawrzus, jak się to z dumą Jaśkowi zwierzał, istotnie mógł się nazwać prawą ręką mistrza Wita. On to doglądał w warsztacie opakowania rzeźb, on szedł za każdym wozem, przestrzegając, by jechano powoli a wybierano jak najrówniej brukowane ulice; potem pomagał słowem i ręką przy wnoszeniu figur na rusztowanie, umieszczał figury w takim porządku, jak miały być do skrzydeł wstawiane; drobniejsze ornamenta⁵⁹⁸ kładł osobno, by się nie połamały, a wszystko szło mu sprawnie, bez najmniejszej szkody. Z nim razem pracowali gorliwie Stanko i Jurek, a reszta czeladzi pod ich dozorem.

Nareszcie zaświtał ranek wielkiego dnia... pogodny, słoneczny, złocisty ranek!

Wczoraj do późna uwijali się robotnicy, słychać było gniewny głos mistrza, któremu na ostatek nikt nie mógł dogodzić i który sam biegał po rusztowaniu ze światłem, sprawdzając, czy wszystko w należytym porządku. Przez całą noc uprzęta cięła drągi

⁵⁹²*opona* (daw.) — zasłona.

⁵⁹³*tryptyk* — obraz a. płaskorzeźba, składająca się z trzech części.

⁵⁹⁴*ankier* — klamra, zakotwiczenie.

⁵⁹⁵*szafa* — Wszystkie cyfry dotyczące ciężaru ołtarza, zawias, pojedynczych figur itd. tudzież opis związania tryptyku z murem kościelnym wzięty jest ze sprawozdań komitetu restauracji ołtarza, w słusznym przekonaniu, że tak samo rzecz się dziać musiała i przed czterystu laty. [przypis autorski]

⁵⁹⁶*cetnar* — daw. jednostka masy, od 45 do 65 kg.

⁵⁹⁷*funt* — jednostka masy, ok. 300–500 g.

⁵⁹⁸*ornamenta* (daw.) — ornamenty, ozdoby.

i deski rusztowania, wymieciono wióry, trociny i śmiecie; ołtarz, gotowy i zestawiony w umówionym terminie, czekał już tylko poświęcenia.

Potężne dźwięki dzwonów kościelnych głosiły miastu wieść radosną. Sam król najmłodszy miał przybyć z rodziną na uroczystość odsłonięcia wielkiego ołtarza; a królewicz Fryderyk Jagiellończyk, biskup krakowski, zaproszony przez księdza Jorka Szwarca, archiprezbitera, proboszcza mariackiego, przyrzekł odprawić pierwsze nabożeństwo.

Przed szóstą rano przybieżał Stwosz do kościoła, choć właściwie nic tam już nie miał do roboty, ale niepokój i rozdrażnienie pędziły go z miejsca na miejsce; spodziewał się, że jeszcze najprędzej doczeka upragnionej godziny u stóp ołtarza, sam na sam ze swym dziełem.

Usiadł w jednej z dolnych stall⁵⁹⁹ i patrzył. Wzrok jego przesuwiał się z wolna po rzeźbie predelli⁶⁰⁰ tuż ponad mensą⁶⁰¹, gdzie rozgałęzione drzewo Jessego przedstawiało na swych konarach genealogię Najświętszej Maryi Panny. Podniósł oczy ku głównej, środkowej grupie... Poważne postacie apostołów, obecnych wedle legendy przy zaśnięciu Matki-Dziewicy, proste, naturalne w ruchu, a pełne godności, świadczyły o potężnym geniuszu twórcy. Cała tajemnica odkupienia, od jasełek począwszy aż do ukrzyżowania Chrystusa, cały szereg radości i boleści Maryi Panny, wszystko znajdowało się wyraźnie przedstawione na bocznych skrzydłach tryptyku. Przepyszne ostrołukowe zdobienia wiązały cudnymi gałęzmi te obrazy. Święci biskupi Wojciech i Stanisław, wierni słudzy Maryi, po obu stronach tryptyku; skrzydlate cherubiny słały się pod stopy Matki Bożej, unoszącej się wraz z Synem ku niebu. A tam wysoko... u samego szczytu... majestat Przenajświętszej Trójcy i Maryja w chwale wiekuistej, królowa nieba i ziemi.

Oczy mistrza Wita jaśniały weselem i dumą. Po długiej chwili przysłonił twarz ręką i szukał w myśli obrazu, jaki pierwsza iskra natchnienia zbudziła w jego duszy... Czy rzeczywistość odtwarzała wiernie ten ideał?

Artysta

Odetchnął ciężko; jednym rzutem oka objął całość ołtarza i znowu twarz zasłonił. To wspaniałe, olbrzymie dzieło, kwiat jego talentu, korona jego życia, to tylko blade odbicie cudnej prawdy zamkniętej w jego piersi, nikomu nie znanej, żadnym dłutem nie tkniętej na wieki.

W godzinę później wsunęli się po cichu Stanko i Wawrzus, obaj strojni świątecznie, i usiedli z brzegu stall, nie śmiejąc rozmawiać, by nie przerywać zamyślenia mistrza.

Wawrzus spuścił oczy i spoglądał z błogim uśmiechem na podarunek świętego królewicza — złote safianowe ciżemki. Wysuwał raz lewą nogę spod ławki, to znów prawą...

„Ach, jak ta skóra połyskuje! Niczym atlas... nosy długie, spiczasto zakończone, prawdziwie pańskie obuwie. Choćbym sobie dał szyc trzewice najpierwszemu szewcowi w Krakowie, jeszcze by tak piękne nie były. I nie dziwota... wiadomo, dla kniazia inszy towar, insze staranie niżli dla jakiegoś tam sobie czeladnika”.

Drzwi skrzypnęły lekko, Wawrzus odwrócił głowę; Tomek, najmłodszy terminator, zaglądał przez szparę w oponie, dawał mu jakieś znaki, wytrzeszczał oczy i robił tajemnicze miny. Nie było rady, musiał wstać i podejść ku chłopcu.

— Przecz⁶⁰² cię tu licha niesie nie wołanego? — ofuknął go niechętnie.

— Pan Wawrzyniec swarzą, a niesprawiedliwie — odparł malec, nie tracąc fantazji — chybaście zabaczyli⁶⁰³, com miał wczoraj przykazane? Dy⁶⁰⁴ wasi rodziciele szukali pana Wawrzyńca w mistrza Witowej kamienicy, tom ich też przywiódł pod sam kościół, iżeście mi wyraźnie i dokumentnie gadali.

Wawrzus nie dosłuchał końca, jednym susem już był za drzwiami.

Wojciech w nowej sukmanie, Wojciechowa w białej namitce na głowie, w szerokim zgrzebnym rańtuchu, używanym naówczas przez wieśniaczki jako zwierzchnia chustka, i w krasnej samodziałowej spódnicy a zapasce, czekali pokornie w kruchcie.

— O matusieńko złota... o mój tatusiu! Takem się lękał, że nie traficie do mnie, abo się gdzie zagubicie w onym ludzkim mrowisku, a tu przychodzicie właśnie w sam czas.

⁵⁹⁹stalle — zdobione ławki w prezbiterium, blisko ołtarza, przeznaczone głównie dla duchownych.

⁶⁰⁰predella — część ołtarza ponad mensą, a poniżej nastawy.

⁶⁰¹mensa — główna część ołtarza w formie płyty lub skrzyni na nóżkach.

⁶⁰²przech (daw.) — po co, dlaczego.

⁶⁰³zabaczyć (daw.) — zapomnieć.

⁶⁰⁴dy a. ady (daw.) — przecież, ależ.

— Synku, a może cię kara spotka?

— Gdzie zaś kara! Z pozwoleniem samego proboszcza, u którego się ksiądz Heydek za mną wstawiał, śmiało was do kościoła wprowadzę. — I dodał żartując: — Juści, w kanonicznych ławach nie będziecie się rozpierali, ale i sam pan miłościwy lepiej od was widział nie będzie. Pójdźcież, to was wetknę w dobry kącik.

Aliści zza węgła od strony rynku wysunął się Jasiak, ciągnąc Marysię i Kondę za ręce.

— A my?

— Oho, ho! jeszcze czego! — ruszając ramionami, rozśmiał się Wawrzus. — Idźcie se do dominikanów albo do Bożego Ciała, tam bez pozwolenia wejść można; a po południu, skoro się ciżba zmniejszy, to i wy się napatrzycie mariackiemu ołtarzowi.

Kondusia wykrzywiła buzię.

— E... ja chcę zaraz, teraz.

— Nikt się tu nie pyta o twoje chcenie — zgromił ją ojciec. — Jasiak, zabieraj dziewczuchy i wynoście się, a duchem; ino⁶⁰⁵ mi ich strzeż jak oka w głowie, co by gdzie nie poginęły.

— Nie turbujcie się, tatusiu; dy ja prawie krakowskie dziecko — odparł Jasiak — tylem tu lat przesłu... — urwał w pół słowa, gorący rumieniec wstydu zalał mu twarz... na szczęście nikt nie zauważył jego zmieszania prócz Wawrzusia, a ten poskoczył przyjacielowi na ratunek i zawołał wesoło:

— Tatusiu? A odkądże się to przypytał do moich ojców za syna, zbereźniku jeden!

— Ciekawys, to ci powiem: od tej niedzieli, co ksiądz proboszcz zapowiedzi z kazalnicy czytał Jana Śliwy z Maryjanną Skowronkówną!

— Raju! Nie darmo mi od rana w lewym uchu dzwoniło... dobra nowina. Ale teraz, to już naprawdę uciekajcie precz, bo nie ma czasu na gawędę.

Marysia pociągnęła Jaska za rękaw, przechyliła głowę na lewe ramię i szepnęła:

— Mójś ty⁶⁰⁶...

Na taką prośbę człowiek gotów wspinać się po gładkim murze na szczyt wieży, a tu przecie chodzi ino o szparkę we drzwiach, maluśką szpareczkę... ot, aby się dwa czerwone gorsecki przesliznęły. Jasiak objął Wawrzusia wpół i zatrzymał przemocą:

— Słuchaj no, rzekę ci mądre słowo: masz ty sumienie rodzone siostry od boskiego proga odganiać? Jeśli cię pycha rozpiera, co byś swoją moc okazał, dobrze, zaprzyj drzwi przede mną; ale tym chrobaczkom krzywdy nie czyn. Uśłuchaj po dobroci, bo...

— Bo co mi zrobisz? — krzyknął Wawrzus grubym głosem, niby srodze rozsierdzony, ale nie mógł się wstrzymać i parsknął śmiechem. — Dobrze, dobrze, już was wszystkich pięcioro jakoś przecuduję, ino cichusko, powoli, a skryjcie się za ojca i matusię.

Wprowadził całą rodzinę do kościoła; wskazał im kącik tuż obok drzwi, na podwyższeniu przy stallach.

— Tymczasem usiądźcie se na schodku, a jak się nabożeństwo rozpocznie, to wstaniecie i wszystko ujrzyście jak przez okno: całe święte obrzędy, królewica Fryderyka, co choć niewielu starszy ode mnie, już biskupem jest krakowskim; i samego pana miłościwego, i królowę, no, jednym słowem, napatrzycie się za wszystkie czasy i na resztę cichego żywota w Porębie.

— A po cóż, synku, ta wielka płachta aż do ziemi zwisa? — spytała Wojciechowa.

— Po to, matusiu, aby ludzie przed czasem nie podpatrowali⁶⁰⁷, a nam przy robocie nie przeszkadzali. Cały kościół mają otwarty, przejście dla księży od drzwi do zakrystii wolno zostawione; ino ten kawałek, co się prezbiterium nazywa, zasłonięty. Sam nasz mistrz i my starsi z czeladzi od rana do nocy tyleśmy tu dni pracowali nad złożeniem ołtarza, ustawieniem świętych apostołów i umocowaniem drobniejszych obrazów i aniołów; niech będzie Bożej Matce pokorna dzięki, iżę dozwoliła mistrzowi Stwoszowi dożyć tak wielkiej chluby za dwanaście lat znoјnej pracy ku Jej czci podjętej.

— O Jezu wszechmogący... dwanaście lat!

— A jakże, tatusiu, a jakże! I sprawdzą się te słowa mistrza, którem usłyszał, gdym pierwszy raz przestępował próg jego warsztatu: „Ołtarz stać będzie sto, dwieście, trzysta

⁶⁰⁵ino (gw.) — tylko.

⁶⁰⁶mójś ty (gw.) — jesteś mój.

⁶⁰⁷podpatrować (gw.) — podpatrywać.

lat... Nasze kości dawno w proch się rozsypią, a sława mistrza Wita nie zaginie przez wieki”.

— Ach, żeby to już co prędzej oną zaslonę zerwali! — westchnęła Wojciechowa.

— Rany Boga mojego... nie zdzierzę! Ratuj kto żyw! Stanko... Wawrzus... do mnie!
— dał się słyszeć spoza opony głos jakiś gniewny i żałosliwy.

— Chryste Panie... mistrz! Co mu się stać mogło?

Wawrzus prześliznął się migiem popod⁶⁰⁸ płachtę i poskoczył do Stwosza. Ten stał w pośrodku⁶⁰⁹ prezbiterium naprzeciw ołtarza i gorączkowym ruchem przesuwając palce obu rąk po gęstej siwiejącej czuprynie, wicherząc ją i wyrывая sobie włosy.

— Wołaliście mnie, mistrzu? Tę jest, co rozkażecie?

— Co rozkażę? Albo ja wiem?... Za pół godziny rozpocznie się nabożeństwo, zjedzie biskup, dwór, pan miłościwy, a mnie chyba uciekać z kościoła!

— Ależ, ojcie... — ośmielił się odezwać Stanko.

— Uciekać, powiadam! O mur głowę rozwalić... w ziemię się zapaść... wstydem spłonąć!

— Tedy rzeknijcie raz, o co wam chodzi?

— Nie widzisz? Ślepy?... Ach, przecz się mam dziwować, skoro i mnie samego szatan oślepił.

To mówiąc, wyciągnął rękę w stronę ołtarza.

— Nie widzę nic.

— Nie widzisz? Święty Stanisław stoi z próżnymi rękoma, niczym żak szkolny, a pastorał leży jak długi na ziemi pod ścianą.

— Jakaż na to rada? Rusztowanie usunięte...

— Powiedziałem, w ziemię się zapaść.

— Ej, rzekłbym ja słowo, ino się nie pogniewajcie...

— Gadaż — rzekł Stwosz krótko, spokojniejszym trochę głosem.

— Wierzajcie mi, ojcie, to taka drobnostka, żaden człowiek nie zauważy, czy jest pastorał, czy go nie masz.

— Dość mi na tym, że ja sam wiedział będę, a całe święto dzisiejsze mam popsowane⁶¹⁰. Drabiny nie przystawię.

— A czemu nie! — wykrzyknął nagle Wawrzus. — Jest w zakrystii drabina, sami ją zeprzycie ostrożnie o listwę szafy.

— No, a potem co? Szczepana tam poślę, coby nożyskami ornamenta misterne po-utrącał; czy może Stanko wylezie? Chłop jak tur...

— A mnie to nie macie? Ja mały, lekuśki, jak ten kot się wywspinam, coby najmniejszego listeczka nie uszkodzić, pozłoty nie zetrzeć; a gdy będę już na gzymsie, chycę⁶¹¹ się płaszcza świętego Stanisława i stanę se jedną nogą tuż przy nim. Stanko mi poda pastorał, wsunę go księdzu biskupowi w rękę... i po krzyku.

— Tak wysoko na jednej nodze? Spadniesz i szyję złomiesz.

— Ino się o mnie nie turbujcie. Na linie mię wiły⁶¹² tańcować przyuczały, umiem po drabinie na rękach⁶¹³ chodzić, a nie dopiero na nogach. Ino sami trzymajcie mocno, coby się drażki na gładkiej posadzce nie skielży⁶¹⁴, boby się gdzie niektóry obraz mógł uszkodzić.

A Stanko, niewiele myśląc, skoczył do zakrystii, przywłókł olbrzymią drabinę i czekał rozkazów.

— Kamień mi zdjąłeś z serca, chłopcze — rzekł Stwosz, rozchmurzając oblicze. — Ino czyś pewny swego? Nie spadniesz? Wołałbym sam zginąć, niż być przyczyną...

— O Jezu miłosierny... nie traćmy czasu! Mówiliście co tylko, że za pół godziny...

— Ano, to w imię Boże!

⁶⁰⁸popod (gw.) — pod.

⁶⁰⁹w pośrodku — dziś popr.: pośrodku a. w środku.

⁶¹⁰popsować, popsowany (daw.) — popsuć, popsuty.

⁶¹¹chycić (gw.) — chwycić.

⁶¹²wiła — błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata.

⁶¹³na rękach (gw.) — na rękach.

⁶¹⁴skielznąć się — nie udać się; tu: pośliznąć się, przewrócić się.

— Ach, dobrze, żem se spomniał! Jest tam za stallami zwój powrózka mocnego, wezmę go ze sobą.

— A po co?

— Puszczę ci jeden koniec, uwiążesz pastorał, a ja go wyciągnę na górę.

Przeżegnali się wszyscy trzej, mistrz ustawił drabinę w głębokiej szparze między dwiema taflami posadзки, oparł ją z biciem serca o górną listwę drzwi ołtarza, a Wawrzus, istotnie jak kot, niemal jak kocię, mknął po szczeblach, prawie ich nie tykając. Z ostatniego postawił leciuchno lewą nogę na szerokim obramieniu drzwi, prawą ręką chwycił się galeryjki ponad środkową częścią tryptyku, coś migło, jakby kto w powietrzu łuk zarysował, i już małe, żywe stworzenie stało na postumencie u stóp drewnianego posągu.

— No, Stanko, dawaj pastorał!

— Królowo Anielska, ratuj nas! — wołał Stwosz ochryplym głosem. — Trzymaj się, nieszczęśniku, filarka!

— Po co filarka? — zaśmiał się zuchwalec z góry — na jednej nodze miałem się zeprzeć, a tu, widzę, aż na dwie miejsca starczy. Dajecie ten pastorał abo⁶¹⁵ nie?

— Już uwiązałem. Ino powołusku ciągnij, co byś nie uwadził o jaką gałązkę.

— Bogiem a prawdą, bieda...

— Co? Zemdlilo cię? — zawołał Stwosz. — Ino mi nie poglądaj w dół... usiądź, przymknij oczy... spocznij...

— Ady⁶¹⁶ się nie troskajcie o mnie, mistrzu! Zalim⁶¹⁷ to nie Skowronek? A onemu⁶¹⁸ czym wyżej, tym weselej. O co inszego mi chodzi. Nie mogę wetknąć pastorału, bo ręka świętego za wysoko. Pozwolicie wypinać się po filarku? Nie uszkodzę, jak Boga Kocham!

— Nie wolno... nie wolno... zabijesz się!

— Ale... cobym się miał zabijać! Ino ciżmy zezuję⁶¹⁹, bo mi te długie nosy gawędzą⁶²⁰.

Postawił trzewiki na brzegu postumentu, pastorał oparł o posąg, objął rękoma i kolanami filar wspierający baldachim nad świętym Stanisławem i posunął się o stopę wyżej... znowu o stopę, jeszcze troszkę...

Stwosz przymknął oczy; żyły, nabrzmiałe na skroniach, drgały gorączkowym tętnem.

— No, pojrzyjcie teraz, mistrzu! Już i po całym frasunku! Świętemu posłużyłem, was pocieszyłem, a sam w te pędy... o rety!

— Co... co... Stanko... czy Wawrzus spadł?

— Ależ nie, ojczę; stoi ano jeszcze na górze i beczy. Co ci się stało?

— O rety, rety... święci anieli!

— Rękes złamał? Abo nogę?

— Ee... żebyć to ino ręka... żeby noga...

— Więc co?

— Jedna ciżma za ołtarz... o Jezu!

— W tej chwili mi złazuj⁶²¹! Słyszysz?... Ja tu czyścicowe męki o łotra cierpię, a on mi będzie krotchwile⁶²² pokazował⁶²³!

Wawrzus stał już na ziemi bosy, z jedną złotą ciżemką w rękę i zanosił się od płaczu.

— Cichajże, mazgaju! Widział kto coś podobnego? Cichaj, nie becz! Sprawię ci cztery pary za tę jedną. Sprawię ci czerwone, zielone, modre i złote.

— Bóg wam zapłać... nie chcę nijakich... te były od... O Jezu, Jezu... od królewica Kazimierza⁶²⁴!

— Ano darmo; stało się. Sam przecie rozumiesz, że ołtarza nie odhaczę od muru i nie zwołam stu ludzi, co by go odsuwali, a twego trzewika szukali.

⁶¹⁵abo (daw.) — albo; tu: czy.

⁶¹⁶ady a. dyć (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

⁶¹⁷zali (daw.) — czy; *Zalim to ja nie Skowronek* — jestem przecież Skowronek.

⁶¹⁸on, onemu (daw.) — ten, temu a. on, jemu.

⁶¹⁹zezuc a. zzuć — zdjąć, ściągnąć (buty).

⁶²⁰gawędzić — tu: przeszkadzać.

⁶²¹złazuj (gw.) — złaż.

⁶²²krotchwila (daw.) — żart.

⁶²³pokazować (gw.) — pokazywać.

⁶²⁴święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

— Prawda; już on tam do sądnego dnia leżał będzie — szepnął smutno Wawrzus. — Słuszną mię kara spotkała; jak śmiałem przywdziewać obuwie świętego kniazia! Pamiątką mi winno było pozostać do śmierci.

— No widzisz — pocieszał go Stanko — dla pamiątki to właśnie lepiej, że ino jeden, nie para, bo cię już nie będzie kusiło.

— Prawda...

Otarł oczy i ciżemkę sierotę wsunął w zanadrze⁶²⁵.

— Pobiegnę do domu i sam ci insze przyniosę.

— Dobrze, stoją tam nowe pod łóżkiem. A tę zabierz ze sobą i schowaj do skrzyni na samo dno. Ino nie zgub! Na Boga świętego!

— Nie bójże się, wszystko tak zrobię, jako chcesz.

Wybiegł spiesźnie, bo lada chwila mógł nadjechać król i ksiądz biskup, nawet już słyhać było ruch w zakrystii i głośnie rozkazy księdza proboszcza wydawane klerykom. Więc też leciał Stanko, nie biegł do domu; widno aniołowie, których złocił z takim zapalem, pożyczili mu niewidzialnych swych skrzydeł, bo nim Wawrzusiowi oczy z płaczu oschły, przyjaciel już był z powrotem.

Tedy pan *Wawrzyniec*, obuty w przyniesione ciżmy, przebił się przez tłumy zalegające cmentarz mariacki. Halabardnicy utrzymywali wolny przejazd od zamku i ulicy Grodzkiej aż do kościoła. Chłopiec, dorobiwszy się łokciami miejsca w pierwszych szeregach widzów, stanął na palcach i wyścił ciekawie głowę przez ramię rosnącego ceklarza, by się napatrzeć królestwu nadjeżdżającym w otoczeniu dworu.

Od Szarej Kamienicy zbliżał się już istotnie orszak, witany okrzykami ludu. Poprzedzony zastępem pieszych i konnych dworzan, przybranych odświętnie w jaskrawe szaty i czapki z piórami, jechał na koniu król Kazimierz, strojny w długą ciemną szatę z tkaniny przerabianej w złote gałazki; a że było lato, więc obramienie sobolowe okalało tylko kraj szaty i wysoko rozciętych rękawów. Na głowie miał okrągłą aksamitną czapkę, dokoła której biegła taśma z drucików złotych i drogich kamieni.

Zdziwił się Wawrzus, że od czasu, gdy go widział, będąc na Wawelu z Długoszem, król postarzał się niewiele. Ta sama fraszobliwa, znękana twarz, te same bystre, smutne oczy; przybyło nieco zmarszczek i grzbiet się jeszcze przygarbił.

Przy ojcu, po lewicy, toczył koniem królewicz Zygmunt (Aleksander przebywał wtedy na Litwie). Poznał go Wawrzus od razu po rysach prostych, jakby z kamienia wykutych, i po tej wardze dolnej, dumnie naprzód wysuniętej, która cechowała stateczną twarz młodziutkiego księcia.

Za małżonkiem i synem jechała w kolasie na pasach królowa Elżbieta z dwiema pannami dworskimi. Po obu stronach pojazdu postępowali paziowie. Wawrzus nie miał czasu napatrzeć się miłościwej pani, bo z przeciwnej strony, od ulicy Floriańskiej, rozległy się dźwięki surm i fletni zmieszane z głośnym zgłębieniem tłumów. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co to znaczy, lecz wnet przypomniał sobie, że to chyba królewicz Olbracht nadjeżdża na czele wojska, po walnym zwycięstwie nad Tatarami u rzeki Szawrany, niedaleko wsi Kopestrzyna. Od dwóch dni głośnie już było po mieście, że ciągnie pośpiesznie do Krakowa, by zdążyć na święto Wniebowzięcia i na uroczyste poświęcenie wielkiego ołtarza u Panny Maryi. Mówiono, że zabrał 10 000 jeńców tatarskich, których po drodze rozsyła do robót przy budowie twierdz i zamków, a resztę pohańców⁶²⁶ z całą starszyzną przyprowadza w triumfie miłościwemu rodzicowi.

Jakoż nadjeżdżał.

Najurodziwszy z synów królewskich, zdolny, świetny, mężny, miał w obliczu coś lwiego; zwłaszcza że gęste włosy wymykały mu się spod szyszaka. Zbroja na nim paradna, szmelcowana na niebiesko, usiana złotymi ozdoby⁶²⁷, rumak pod nim idący w podskokach, wszystko to składało się na obraz jakiegoś rycerza z bajki. Jak pochodnie błędą przy słońcu, tak wobec wspaniałej postaci królewicza marnie wyglądali otaczający go rycerze.

Ale ciekawość ludu zwracała się przede wszystkim ku pojmanym Tatarom. Pędziła

Obcy

⁶²⁵zanadrze (daw.) — miejsce pod wierzchnim ubraniem na piersi.

⁶²⁶pobaniec (daw., pogard.) — poganin; tu: muzułmanin, Tatar.

⁶²⁷ozdoby — popr. forma N. Im: ozdobami (daw. forma N. Im z końcówką -y była używana w rzecz. r.m. i r.n., zanim wyparła ją końcówka -ami, właściwa dotąd tylko dla r.ż.)

ich jazda polska ciągnąca środkiem ulicy. Żołnierze prowadzili po kilku, przywiązanych na smyczy do sodeł.

Szło tedy niskie, barczyste, poczerńiałe od stepowych wichrów tatarskie plemię, z rękoma skrępowanymi w tył, z pochylonymi głowami. Kozuchy na nich baranie, kudłami na wierzch obrócone, na wygolonych głowach skórzane szłyki⁶²⁸, nogi bose lub w łapciach rzemiennych; zmęczenie, brud i dzikość malowały się w całej postawie. Lecz lud krakowski najchętniej zaglądał im w twarze o wystających kościach policzkowych i spłaszczonych nosach. Chciał wyczytać z tych czarnych, kosych oczu, co się dzieje w duszach tatarskich. Lecz ani twarze, ani oczy nic nie mówiły. Ślepa wiara w przeznaczenie zamroziła w nich wszystkie uczucia i myśli i przebiegała się w znieruchomionych rysach i w półprzymkniętych powiekach. Tylko niekiedy spod spuszczonej rzęsy bezwiednie wybiegały chciwe błyski ku bogactwom tego miasta i tego ludu: zwierzęcy instynkt drapieżców, to jedno, co nie skamieniało w ich duszach.

W tej chwili królewicz Olbracht zeskoczył z konia, wodze rzucił jednemu z otaczających rycerzy a hełm pacholęciu, i biegł ku rodzicom. Ucałowawszy rękę ojcowską, która go potem przeżegnała krzyżem świętym, ulubieniec matki przypadł do kolasy; na stopniu z wyciągniętymi ramionami stała królowa Elżbieta. Chwyliła w objęcia głowę synowską i przytuliła ją do piersi. Za czym bracia uścisnęli się za ręce i rodzina królewska, witana okrzykami ludu, podążyła ku drzwiom kościelnym.

W kruchcie czekał na monarszych swoich rodziców dwudziestoletni biskup krakowski a niebawem kardynał — królewicz Fryderyk.

Dziwnie odbijała powaga złotolitych szat liturgicznych i drogocennej infuły od drobnej, niemal dziecięcej twarzy młodzieniaszka. Fryderyk jednak umiał w takich chwilach poskramiać swą żywość i nadrabiając uroczystą miną, niósł się powoli i majestatycznie.

Srebrnym kropidłem w kształcie buławy, z sitkiem na wodę święconą, kropił rodziców i braci, po czym w orszaku duchowieństwa i panów wprowadził ich pod baldachimem do świątyni, krocząc po lewicy ojca. Po prawej miał Kazimierz małżonkę.

Królowa Elżbieta nie była wcale urodziwą niewiastą. Już wtedy, przed laty blisko czterdziestu, gdy jako młodzianka narzeczona wjeżdżała do Krakowa, nie wrócono królowi szczęścia w małżeństwie z tak bardzo nieładną księżniczką; a jednak... nie spełniły się przepowiednie, Kazimierz pokochał żonę całym sercem. Kronikarz pisze: „Miłował ją ponad miarę”.

Dziś, jako niewiasta pięćdziesięcioletnia, szła strojna pod baldachimem, nie z powagą a majestatem monarchini, ale z wyrazem zadowolenia i szczęścia w twarzy: wszak miała obok siebie męża najlepszego i trzech synów umiłowanych.

Niska, otyła, o twarzy okrągłej i policzkach wydatnych, wyrazem oczu płaciła za wszystkie niedostatki oblicza i postaci. W tych oczach dużych, ciemnosiwych odzwierciedlała się dusza czysta i rozum niepospolity. Czasem jakiś złoty ognik strzelał z głębi szarych źrenic... może iskierka dumy... córa cesarzów, matka królów...

Na głowie miała czepiec biały atlasowy, złotem gęsto zahaftowany, tak ciasno do czoła przylegający, że ani pasemka włosów nie było widać; wierzch czepca zdobiła mała korona z diamentów i szafirów. Naszyjnik bardzo misternie pleciony z pereł układanych w gwiazdy, a łączonych ze sobą podwójnym rzędem szafirów. Widno te były ulubione klejnoty królowej, bo i od środkowej gwiazdy naszyjnika spadał na piersi ogromny szafir w kwadrat szlifowany, grubą złotą ramką objęty. Stanik ze złotej lamy⁶²⁹, wycięty w okrąg, naszywany był górą drogimi kamieniami na dwa palce szeroko; listwa gronostajowa łączyła go poniżej bioder z brokatową błękitną spódnicą; dołem sukni bielily się także gronostaje.

Skoro tylko miłośnicy państwo przestąpili próg kościoła, zabrzmiały organy i z chóru popłynęła pieśń starodawna do Najświętszej Panny: „O Gospodzie⁶³⁰ uwielbiona”... Olbrzymi kościół przepełniony był dostojnikami państwa, konsulami miejskimi, z burmistrzem na czele, i potężnym zastępem kupiectwa a mieszczan krakowskich, co w dniu dzisiejszym święcili chlubę swej ofiarności dla Matki Boskiej. Oni to, bez udziału innych stanów, hojnymi składkami dali sposobność mistrzowi do stworzenia arcydzieła.

Chciwość

Rodzina, Król, Syn

Książd, Młodość

Uroda, Kobieta, Król,
Miłość spełniona

Szczęście, Małżeństwo

Strój

Mieszczanin

⁶²⁸szłyk (daw.) — wysoka czapka.

⁶²⁹lama — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami.

⁶³⁰Gospodź a. *Gospodzin* (daw.) — Pan Bóg.

Postroili się też na to swoje święto w co najbogatsze żupany, szuby, kiereje; złote łańcuchy błyszcząły na piersiach mężczyzn, kosztowne manele⁶³¹ na rękach, wspaniałe kolce⁶³² w uszach kobiet...

Szmer czci serdecznej powitał najmiłościwszych państwa, głowy pochyliły się nisko, baldachim posuwał się z wolna ku prezbiterium.

— Gdzie Wawrzek? — szepnął Stwosz do Stanka.

— Właśnie co wbiegł bocznymi drzwiami; stoi po prawej, przy swoich ojcach⁶³³.

— Powiedź mu, aby miał nóż w pogotowiu; ty stań po lewej, nie spuszczaście oka ze mnie.

Wyjrzał przez szparę.

— No w imię Boże... przycinać sznury!

Z chrzęstem i łomotem opadła olbrzymia płachta płócienna na ziemię; służba kościelna zasunęła ją w kąt.

Z tysiąca piersi ludzkich, ściśnionych nagle świętą grozą, wydarł się stłumiony okrzyk... potem westchnienie jęklawe poszło ku ołtarzowi, potem cisza; nawet organy oniemiały.

Chyba to nie kościół, a przedsionek nieba... grzeszne, niegodne tak wielkiego szczęścia oczy ludzkie oglądają Matkę Zbawiciela w blasku chwały wiekuistej! Zgromadzony tłum utkwiał palające uwielbieniem oczy w ołtarzu i trwał bez ruchu w świętym zapamiętaniu.

Król Kazimierz przesunął rękę po oczach, odetchnął głęboko i postawił parę kroków; Wit Stwosz podszedł również i schylił się, dotykając ziemi beretem.

— Niech was Bóg w zdrowiu chowa do setnych lat, mistrzu! — rzekł król serdecznie wzruszony — nijaka pochwała, nijaka podzięką nie wypowie tego, co człek uczuwa, stojąc przed waszym dziełem. Słowa krzepną na ustach; co byś rzekł, wszystko za mało.

— W łaskawości wielkiej oceniacie moją pracę ponad zasługę, miłościwy panie — odpowiedział Stwosz — atoli z niezmierną uciechą słucham waszej mowy, lękałem się bowiem, czy nie jest pychą a próżnym zarozumieniem to, com myślał, poglądając sam na te wizerunki. Dzięki waszym słowom mogę się radować spokojnie.

— Za dzieło tak wielkiego kunsztu podziękuje wam potomność — ciągnął dalej król — ja zaś ino za to wdzięczny jestem, żeście przysporzyli blasku memu panowaniu. Kto wspomni imię mistrza Wita, chyba i o Kazimierzu nie zabaczy. Bóg wam zapłać.

Zdjął z siebie złoty łańcuch włoskiej roboty i włożył go na szyję Stwosza; ten zaś chwycił oburącz rękę królewską i całował ją ze łzami w oczach.

— Miłościwy, najdobrotliwszy królu... czymże się za tyle łaski odwdzięczę!

— Niedługo już mego przebywania na ziemi — rzekł król cichym i drżącym głosem — niechby wasze dłuto obraz mojej osoby na grobowym kamieniu wyrzezało. Uczynicie mi to?

Wit Stwosz ze zwykłą sobie żywością zaprzeczył głową i rękami.

— Nie, nie, tego momentu nie chcę dożyć... toli⁶³⁴ bez mała w jednych leciech jesteśmy; niechże mnie Bóg pierwszego zawoła! Wyście świata potrzebniejsi ode mnie.

Kazimierz położył mu rękę na ramieniu.

— Nie odmawiajcie mi. Niech mam tę pociechę przy śmierci, że w majestacie królewskim spoczywał będę.

Stwosz popatrzył na króla smutnie i wymówił jedno słowo:

— Przyrzekam.

— A teraz — rzekł Kazimierz swobodnym tonem — zechciejcie mi być przewodnikiem w oglądaniu ołtarza.

Zbliżyli się obaj na tyle, by nie tracić całosci, a widzieć dokładnie szczegóły, i Stwosz wskazywał ręką pojedyncze figury, tłumaczył i opowiadał.

Wawrzus wtulił twarz we fałdy matczynego rańtucha i nie myślał o niczym, nie patrzył na nikogo, jedno tylko wiedział, że po tylu, tylu takich strasznie długich latach tęsknoty jest przy matysi, ma ją dziś i jutro, i zawsze mieć może, kiedy tylko zechce... Poręba tak blisko!

Podniósł głowę, spojrział.

⁶³¹ *manela* (daw.) — metalowa bransoleta.

⁶³² *kolce* — tu: kolczyki.

⁶³³ *ojcowie* (daw.) — rodzice.

⁶³⁴ *tol* (daw.) — tu: przecież.

— Matusiu... co wam?

Wojciechowa patrzyła w ołtarz; z oczu jej ciche, kropelka za kropelką, spływały łzy.

— Matusieńko, co wam?

— Nie wiem, synku...

Król Kazimierz zasiadł na podwyższeniu naprzeciw ołtarza, obok miał żonę i synów, a ksiądz biskup dopełniał poświęcenia.

Przez wysokie, wydłużone okna, zaszkłone stubarwnymi szybami, sączyło się złociste słońce, nabierając głębokich, przyćmionych kolorów, jakby promienie jego przenikały przez płatki kwiatów lub skrzydła motyle. Tęczowe smugi padały na strzeliste kwiatony tryptyku, ślizgały się po fałdzystych szatach i brodatych twarzach apostołów, skrzyły w klejnotach zdobiących monarszą parę, igrały na łańcuchach mieszczan i złotogłowach⁶³⁵ mieszczek. Cały kościół tonął w tych bajecznych blaskach, mienił się i płonął, i grzmiał dźwiękami organów, które uderzały o sklepienie. Była w tym wszystkim odświętna, triumfalna radość tych błogosławionych jagiellońskich czasów, gdy zwycięstwa nad wrogiem, wewnętrzne bogactwo i bujność duchowego życia dochodziły w Polsce do szczytu potęgi i chwały.

Złamany zakon krzyżacki, świeże trzechkrotne⁶³⁶ zwycięstwo Olbrachta nad Tatarami, plemię jagiellońskie na czeskim tronie, kraj kwitnący, miasta zasobne, drogi handlowe otwarte na wschód i zachód; w podziemiach kościelnych Na Skałce niedawna jeszcze trumna pierwszego dziejopisa⁶³⁷ Polski, Długosza⁶³⁸, tu, przed wiekopomnym swym dziełem, Wit Stwosz, artysta największy w całej ówczesnej Europie; a gdzieś może w tłumie, nie znany nikomu, szesnastoletni długowłosy młodzieniaszek, żak⁶³⁹ przesławnej Akademii Krakowskiej — Mikołaj Kopernik.

A z tej ziemi płodnej w tyle wielkich dusz i wielkich dzieł wykwitają w tym pokoleniu kwiaty niebieskie... jedne zerwane już dłonią śmierci, inne rozsiewające jeszcze świętość dokoła siebie.

Jan Kanty⁶⁴⁰, Szymon z Lipnicy⁶⁴¹, królewicz Kazimierz⁶⁴², Izajasz Boner⁶⁴³, Stanisław Kazimierzczak⁶⁴⁴, Michał Gedroyc⁶⁴⁵, Ładysław z Gielniowa⁶⁴⁶, Jan z Dukli⁶⁴⁷.

Biskup Fryderyk na stopniach ołtarza podniósł oburącz promienistą monstrancję⁶⁴⁸, która jak słońce przez chmury przeświecała przez gęste kłęby kadzidła. Pobłogosławił nią cały lud, rozmodlony na klęczkach, po czym postawił ją na ołtarzu i zaintonował hymn świętego Ambrożego.

⁶³⁵złotogłów — tkanina ze złotych nici.

⁶³⁶trzechkrotny — dziś popr.: trzykrotny.

⁶³⁷pierwszego dziejopisa — autorka pomija tutaj dwóch poprzednich wielkich kronikarzy dziejów polskich: Galla Anonima, nieznanego z imienia mnicha benedyktyńskiego, który żył w czasach Bolesława III Krzywoustego (na przełomie XI i XII w.), oraz Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego z przełomu XII i XIII w. Być może autorka miała na uwadze to, że Jan Długosz w swojej pracy starał się być obiektywny i korzystał z dokumentów, podczas gdy jego poprzednicy tworzyli dzieła, których charakter moralizatorski górował nad ścisłością faktów historycznych.

⁶³⁸Jan Długosz *herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

⁶³⁹żak (daw.) — student.

⁶⁴⁰Jan Kanty (1390–1473) — Jan z Kęt, święty Kościoła katolickiego, ksiądz, wykładowca Akademii Krakowskiej.

⁶⁴¹Szymon z Lipnicy (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, zaraził się cholerą od chorych, którymi opiekował się podczas zarazy.

⁶⁴²święty Kazimierz Jagiellończyk (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

⁶⁴³Izajasz Boner (ok. 1400–1471) — sługa Boży Kościoła katolickiego, augustianin, kierownik katedry teologii Akademii Krakowskiej.

⁶⁴⁴Stanisław Kazimierzczak (1433–1489) — święty Kościoła katolickiego, kaznodzieja krakowski.

⁶⁴⁵Michał Gedroyc (ok. 1420–1485) — sługa Boży Kościoła katolickiego, bakałarz sztuk wyzwolonych Akademii Krakowskiej.

⁶⁴⁶Ładysław z Gielniowa a. Władysław z Gielniowa (ok. 1440–1505) — bernardyn, błogosławiony Kościoła katolickiego, jeden z najwybitniejszych poetów średniowiecznych, autor m.in. pieśni *Jezusa Judasz sprzedał za pieniądze nędzne*.

⁶⁴⁷Jan z Dukli (ok. 1414–1484) — święty Kościoła katolickiego, kaznodzieja franciszkański.

⁶⁴⁸monstrancja — naczynie liturgiczne w kształcie słońca na nóżce, w którym wystawia się hostię podczas mszy i procesji.

Potężny chór tysięcznych głosów z wonnym tumanem kadzidel wzbijał się w górę i płynął w tęczową glorię, w łunę blasków i kolorów, pod sklepienie błękitne, usiane gwiazdami... zdawało się, że pójdzie aż w niebo, do stóp tronu Bożego, niosąc słowa podzięków i chwały:

*TE DEUM LAUDAMUS*⁶⁴⁹!

⁶⁴⁹*Te Deum laudamus* (łac.) — Ciebie, Boga, wysławiamy; hymn kościelny, śpiewany przy szczególnie uroczystych okazjach.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/historia-zoltej-cizemki>

Tekst opracowany na podstawie: Antonina Domańska, *Historia żółtej ciżemki*, Czytelnik, Warszawa 1961

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Weronika /Trzeciak.

Okładka na podstawie: [sludgegulper@Flickr](https://www.flickr.com/photos/sludgegulper/), CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).